

Amanda PROWSE

*Jeśli kochasz prozę Jojo Moyes, to znaczy, że ta książka
jest właśnie dla Ciebie – „CLOSER”*



Świąteczna kafejka



Amanda
PROWSE
Świąteczna kafejka

Przełożyła
ANNA SAUVIGNON

Prolog

Bea stała w świetle wczesnego wieczoru, a południowoaustralijski wiatr muskał jej twarz i rozwiewał długie, siwe włosy. O tej porze roku robiło się już przyjemnie i w mieście wyczuwało się atmosferę radosnego podekscytowania. Mieszkańcy Sydney z natury uwielbiali słońce i cieszyli się z każdej okazji, żeby wylec na dwór. Kobieta przez chwilę wpatrywała się przed siebie, w figurę dzika z brązu. Il Porcellino odwzajemnił jej spojrzenie, aż poruszyła palcami w kieszeniach fantazyjnej bluzy koloru trawy. Za jej plecami wzdłuż Macquarie Street ciągnął się strumień ludzi, którzy wracali z pracy z kurtkami pod pachą i podwiniętymi rękawami koszul, spiesząc do domu, żeby jeszcze skorzystać z wieczornego słońca – czy to podczas spaceru brzegiem plaży, czy przy kolacji w ogrodzie. Biurowi koledzy, już w radosnym, gwiazdkowym nastroju, maszerowali w grupach pod rękę, będąc znacznie bliźsi sobie dzięki rozweselającym napojom niż jakimkolwiek szkoleniom integracyjnym. Bea zazdrościła im tych zwykłych, codziennych spraw. Rozejrzawszy się dookoła, przemogła nieśmiałość, postąpiła krok naprzód i niepewnie pogłaskała błyszczący nos bestii z wielkimi łkami.

– Proszę – wyszeptala i na moment zamknęła oczy, po czym wrzuciła niewielką, okrągłą monetę z kwadratową dziurką do wody u stóp pomnika. Gdy ponownie podniosła głowę, westchnęła ciężko i objęła wzrokiem imponujące arkady i ozdobne, zielone balustrady z kutego żelaza, za którymi rozciągały się tarasy i ogrody. To był piękny budynek w mieście, które oboje kochali. Istniało wiele znacznie gorszych miejsc, gdzie jej mąż mógłby umrzeć.

– A, już pani wróciła. Poszła się pani przejść?

Miała pielęgniarka zgasiła górne jarzeniówki i pokój zatonął w łagodnym półmroku rozpraszanym jedynie słabym światłem lampki nad umywalką. Tak było najprzyjemniej – zacisznie i przytulnie.

– Właściwie to nie, wyszłam się tylko przewietrzyć. Ciepło dziś. – Bea wstrząsnęła sobie przód bluzy.

Pielęgniarka skinęła głową. Kończyła zmianę dopiero rano, więc pogoda na zewnątrz nie miała dla niej większego znaczenia. Zakrzywionym palcem ujęła nadgarstek Petera i przyłożyła mu dłoń do czoła, spoglądając życzliwie w jego zmętniałe oczy.

– Zaraz wracam, Peter – powiedziała.

Bea była bardzo wdzięczna za to, jak kulturalnie pielęgniarki odnosiły się do jej męża. Być może w ogóle ich nie słyszał ani nie rozumiał, ale, ku jej radości, one zachowywały się tak, jakby tak było.

Usiadła znowu na winylowym krześle nieopodal łóżka, ciągle w tym samym ubraniu, które nosiła przez ostatnie siedemdziesiąt dwie godziny – wymiętym i poplamionym kawą i smugami tuszu do rzęs przeniesionymi przez zmęczone palce z zapłakanej twarzy.

– Gdyby pani czegokolwiek potrzebowała, proszę tylko zadzwonić – przypomniała pielęgniarka, kierując się do drzwi.

Bea skinęła głową.

– Tak, dziękuję bardzo. Czy jemu niczego nie trzeba? Może podać lekarstwo?

Pielęgniarka uśmiechnęła się i odpowiedziała powoli i łagodnie, jakby mówiła do małego dziecka:

– Nie. Już wystarczy. Najlepiej, jeżeli pozwolimy działać naturze.

– Jak pani myśli, jak długo? – odezwała się Bea cicho i odwróciła wzrok, zawstydzona własnym pytaniem.

Pielęgniarka potrząsnęła głową i odparła tym samym serdecznym tonem:

– Naprawdę trudno powiedzieć. Czasami to może przebiec bardzo szybko, ale są ludzie, którzy potrafią opierać się nawet kilka dni. Niczego nie można przewidzieć, chociaż w przypadku Petera powiedziałabym, że to potrwa raczej krócej niż dłużej. Dobrze, że pani tu jest. – Zmrużyła oczy w uśmiechu i zamknęła za sobą drzwi.

Bea doceniała jej życzliwą szczerłość. Pochyliła się na krzesło do przodu i oparła łokcie na szczupłych kolanach.

– Słyszałeś, Kochany? Dobrze, że tu jestem. Chociaż osobiście wolałabym, żeby żadnego z nas tu nie było. Moglibyśmy na przykład zeglować sobie teraz gdzieś u brzegów Whitsunday, wsuwać świeżo złowione rybki i popijać dobrze schłodzone wino. Potem moglibyśmy uciąć sobie drzemkę w słońcu na pokładzie, a po przebudzeniu poplaskać się w morzu, wyjść na brzeg, usiąść na tym drobnutkim, białym piaseczku i patrzeć, jak mija dzień. – Na twarz wypłynął jej uśmiech. – Pamiętasz tamto Boże Narodzenie? Tylko ty i ja. Było cudownie, prawda? Najlepsze święta w całym moim życiu.

Wzięła do ręki dłoń męża i nachyliła się nad nim jeszcze niżej. Oczy zasnutę miał mgłą, ale głowa poruszała się nieznacznie to w lewo, to w prawo, jakby szukał twarzy, której już nie mógł dostrzec.

– Wszystko w porządku, najdroższy, jestem tu. Nigdzie się nie wybieram.

Kącik ust drgnął mu prawie niezauważalnie. W półmroku spowijającym całe skrzydło szpitala Bei wydawało się, że posłał jej ostatni, pożegnalny uśmiech, ale może po prostu bardzo chciała w to wierzyć. Toczył ciężką walkę. Na skórze połyskiwał mu niezdrowy pot, podczas gdy ciało broniło się przed nieuniknionym. W powietrzu unosił się mdły, nieprzyjemny zapach, który Bea miała później poczuć jeszcze nieraz w niektórych odmianach kwiatów i w oddechu starych, schorowanych ludzi. Już zawsze kojarzył jej się potem z tą chwilą i z tą salą szpitala.

Pomyślała o scenach śmierci, które widywała często w kinie albo w teatrze – dramatyczne wyznania lub deklaracje miłości wyszeptane ostatnim tchem na tle narastającej muzyki skrzypcowej. To była oczywiście jedna wielka bujda. Bea już raz widziała umierającego człowieka po wypadku drogowym na rogu Elizabeth Street i Park Street. Nawet nie zdążył mrugnąć, a już go nie było. Peter natomiast walczył o każdą sekundę, jaka mu została, twardo i zaciekle do samego końca. Żałowała, że sceny w filmach nie były prawdziwe. Tak by chciała, żeby uniósł się teraz zaróżowiony z wysiłku, spojrzął jej prosto w oczy, położył jej dłoń na policzku i zapewnił, że wszystko będzie dobrze, że miał wspaniałe życie i że zawsze ją kochał. Co do tego ostatniego nie miała wątpliwości, ale na myśl, że nigdy już tych słów nie usłyszy, ogarniał ją niepomierny smutek.

Naraz wezbrała w niej gwałtowna fala miłości i wdzięczności do tego mężczyzny, który pokochał ją ponad wszystko i zaopiekował się nią, mimo że dla niej był dopiero na trzecim miejscu, po synu i wspomnieniu innego, któremu oddała serce dawno temu. Nawet teraz, już na sam koniec, odchodził bezgłośnie, jakby troszczył się przede wszystkim o nią i starał się jej sprawić jak najmniej kłopotu. Nie trzeba jej było skrzypiec.

– Miałam wielkie szczęście, że cię spotkałam, Peter. Jesteś wspaniałym człowiekiem, wspaniałym przyjacielem. Tak bardzo cię kocham, wiesz o tym, prawda? – Westchnęła. – Co ja mam teraz zrobić, najdroższy? Jak mam teraz żyć?

W głowie zadźwięczały jej wyraźnie jego słowa, jego maksyma życiowa, którą powtarzał jak mantrę: „Nigdy nie zapominaj, że życie jest wyłącznie dla odważnych. Mamy tylko tę jedną jedyną szansę do wykorzystania!”.

– Wiem... – Pokiwała głową, a liczne bransoletki na jej przedramieniu zakołysały się, przecinając ciszę metalicznym brzękiem. Ścisnęła go za rękę z nadzieją, że odpowie tym samym.

– Och, kochanie, jakie masz zimne ręce. – Pochyliła się i pocałowała go w nos, także chłodny w dotyku, chociaż ciało nadal produkowało ciepło. Jakby energia z jego centralnego pieca już nie docierała do najdalszych członków.

Peter przekręcił minimalnie głowę i z najwyższym wysiłkiem podniósł rękę, skupiony na czymś na prawo od jej głowy. Jego wychudzone nogi także zwróciły się w bok, jakby gdzieś się wybierał ze swego łoża śmierci.

– Dokąd idziesz? – Rozpląkała się, bo wiedziała, że tam, dokąd zmierza, nie może jej zabrać ze sobą. – Idź, mój kochany. Idź tam, dokąd musisz. Wszystko w porządku. Po prostu zaśnij i pamiętaj, że bardzo cię kocham.

Peter opadł na płaską poduszkę i oddychał ciężko, a potem poruszył ustami, jakby chcąc coś powiedzieć. Nachyliła się nisko i, z uchem przy jego wargach, pochwyciła jego ostatni, ledwie słyszalny szept.

– Było wspaniale.

– Tak, Peter. Było absolutnie wspaniale.

Odstępy między jednym a drugim świszczącym oddechem stawały się coraz dłuższe, aż w końcu zupełnie się pochłonęły.

Bea czekała ze wzrokiem utkwionym w jego woskową skórę u nasady szyi z nadzieją, że dostrzeże tam jeszcze jakiś ruch – znak, że nadal jest przy niej, że to jeszcze nie koniec. Ale nic już nie drgnęło.

Powiedziano jej, że kiedy przyjdzie czas albo gdyby czegoś potrzebowała, ma wezwać pielęgniarkę. Ale zamiast tego siedziała nieruchomo, trzymając go za rękę, z drugą dłonią wciśniętą w zgięcie jego łokcia, gdzie utrzymywało się jeszcze trochę ciepła. Chciała tak zostać, dopóki całkiem się nie rozproszy, niczym matka, która układając dziecko do snu, wyczekuje na odpowiedni moment, żeby wymknąć się cicho z pokoju, zostawiając uchylone drzwi.

Było już grubo po północy, gdy wreszcie odeszła od łóżka ukochanego i cicho zamknęła drzwi, zostawiając za sobą blisko trzydzieści lat małżeństwa.

W szpitalnej stołówce panowała cisza przerywana od czasu do czasu przez jakiegoś lekarza w pogniecionym fartuchu i z podkrążonymi oczami. Pozdrawiali ją dyskretnym skinieniem głowy, wiedząc, że nikt nie przesiaduje tu samotnie nad kubkiem parującej, mdłej kawy z automatu w wesołych okolicznościach. Była wdzięczna za to, że dawali jej spokój. Chciała być sama z myślami, które stopniowo krystalizowały się w jej głowie. Jego ostatnie minuty zapadały jej w pamięci, żeby łatwo było je przywołać później, w trudnych chwilach.

Omiotła wzrokiem ściany stołówki, która stała się jej schronieniem w ciągu ostatnich dziesięciu dni. Ukrywała się tu co godzinę, kiedy w sali pojawiały się pielęgniarki, żeby „doprowadzić go do porządku”. Dawała im dziesięć minut na czynności, przy których wołała nie asystować – bynajmniej nie ze względu na siebie, ale na Petera. Dziwnie było pomyśleć, że teraz ktoś inny będzie siedział na tym plastikowym krześle w środku nocy, próbując nie popaść w kompletne odrętwienie. Kobiety takie jak ona będą przechodzić dokładnie przez to samo: przeglądać ulotki dostawców włoskich kanapek, wybierać czekoladowe batony z automatu i przetrząsać kieszenie w poszukiwaniu drobnych. Zrobiło jej się ich żal, bo nie wiedziały, jak straszne chwile mają przed sobą.

– Tu jesteś! – Wyrwał ją z rozmyślań głos Wyatta. Miał na sobie białą koszulę z krótkim rękawem, której rozpięty kołnierz odsłaniał nieco zbyt dużo ciała, a ze zgniłozielonych spodenek sterczały mu żółta trawy. Wyglądał, jakby właśnie wracał z ogrodu. Sprawiał wrażenie lekko poirytowanego, zarówno tonem głosu, jak i całą postawą dając do zrozumienia, że nie w smak mu takie podchody, jakby Bea rozmyślnie się przed nim ukrywała.

– Nawet o tej porze nie można zaparkować. Mamy rok 2013, umiemy wysłać

wahadłowiec w kosmos i zmieścić w cyfrowym znaczku więcej danych niż w całej Bibliotece Narodowej, ale nie potrafimy wymyślić sposobu, żeby dało się wjechać na zamknięty parking po godzinach. Pokręcony system. – Mówiąc to, podrzucał w ręce kluczyki, dopóki nie ułożyły mu się dobrze w zagłębieniu dłoni.

Bea kiwnęła głową. To prawda. Pokręcony.

– Jak on się czuje? – Wyatt wziął się pod boki, znów jakby o coś na nią zły.

Spojrzała na niego i przesunęła sobie bransoletki na przedramieniu.

– Nie żyje, Wyatt. Umarł kilka godzin temu. – Po raz pierwszy powiedziała to na głos. – Wszystko to stało się bardzo spokojnie. Tak po prostu zasnął. Trzymałam go za rękę. Próbował sięgnąć gdzieś poza mną, jakby chciał dokądś iść. Powiedziałam mu, że może iść. Jakbym dawała mu pozwolenie, żeby mnie zostawił. I odszedł. – Uśmiechnęła się blado.

– Och, mamó – rzekł Wyatt bezbarwnie.

Nie wiedziała, co to miało znaczyć. *Och, mamó, tak mi przykro czy Szkoda, że nie zdążyłem wcześniej, czy Mamó, proszę, nie dramatyzuj.* Trudno było powiedzieć. Wyatt nie należał do wylewnych osób, odznaczał się raczej zmysłem praktycznym. Z pewnością wolałby porozmawiać o organizacji pogrzebu i kwestiach finansowych – sprawach, w których umiał się odnaleźć – niż o tym, co ona czuła. To go przerażało.

– Nie wiedziałam, co robić, więc zadzwoniłam do ciebie. – Poczua się niezręcznie, że musi przeproszać za kłopot.

– No pewnie. – Kiwnął głową. – Jak tylko będziesz gotowa, zawiozę cię do domu. – Na ułamek sekundy położył jej dłoń na ramieniu, ale zaraz ją cofnął.

Odniosła wrażenie, że dotyk jego palców wypalił jej ślad na skórze. Ugryzła się w język, żeby nie wytknąć mu, że ani choroby nie są zaraźliwe, ani tym bardziej ból serca nie jest zaraźliwy, więc nie musi obawiać się żadnego z nich. Poczua jednocześnie żal i ulgę. Z jednej strony miło byłoby, gdyby przytulił ją w serdecznym uścisku, ale z drugiej mogłoby to być nieznośnie krępujące, bo za bardzo już od tego odwykli.

Dwadzieścia minut później wielki, błyszczący holden storm Wyatta o miłym, skórzanym wnętrzu i skomplikowanej desce rozdzielczej jak z promu kosmicznego sunął pod górę Elizabeth Street, by następnie skręcić w Reservoir Street, w samym sercu zasobnej dzielnicy Surry Hills. Ani na jednej, ani na drugiej ulicy nie było żywej duszy. Światła samochodu omiatały ściany mijanych domów i Bea skrzywiła się na myśl, że pewnie obudzili co niektórych mieszkańców.

Wyatt zaparkował przy krawężniku i odwrócił się w kierunku matki.

– Na pewno nie chcesz, żebym wszedł z tobą na górę? – To, że nie rozpiął pasa i nie zgasił silnika, było dla niej wystarczającym sygnałem.

– Nie, nie trzeba, Wyatt, wszystko w porządku. Wracaj do Sarah i Flory. I dziękuję, że przyjechałeś po mnie taki kawał drogi o tej porze.

– Na pewno?

– Oczywiście. Do Manly czeka cię dobre pół godziny drogi. Zbieraj się, kochanie.

Widocznie się odprężył i Bea uprzytomniła sobie, że ona też wolałaby nie znaleźć się na wprost niego nad kubkiem herbaty, rozmawiając o niczym i zmagając się z chwilami krępującej ciszy.

Weszła po schodach i przekręciła klucz w zamku. Mieszkanie było ciemne i ciche. W ciągu tych ostatnich dziesięciu dni pobytu Petera w szpitalu wpadła tu dwa razy wziąć prysznic i zmienić ubranie. Mimo to dzisiaj pokoje zdawały się bardziej opustoszałe niż wcześniej, jakby nawet ściany czuły, że on już nie wróci. Opadła na kanapę i znieruchomiała w ciemności, znajdując ulgę w ciszy i spokoju późnych nocnych godzin.

Na podłodze w łazience stały równo ułożone tenisówki Petera. W koszu na brudną

bieliznę wciąż była jego piżama, a na szafce przy łóżku po jego stronie leżały dwie kupki jego książek. Jeden stos zawierał książki do przeczytania, a drugi te najukochańsze, które lubił mieć zawsze pod ręką. Była tam między innymi *Księga dżungli* Rudyarda Kiplinga, którą uwielbiał od czasów młodości. Myśli Bei uleciały w przeszłość, do innej książki Kiplinga, innego mężczyzny i innego życia. Wysokiego mężczyzny w zielonym szaliku, który swoją dłoń wyznaczył rytm jej serca. Upłynęły trzydzieści cztery lata, a ona wciąż pamiętała, jakby to było wczoraj.

Sięgnęła po zieloną, jedwabną poduszeczkę i przycisnęła do piersi, przesuając wzrokiem po rzeczach Petera, teraz nagle zupełnie niepotrzebnych, jak okulary leżące na futerale na stoliku do kawy. Wydało jej się dziwne, że te niewinne przedmioty nabrały ni stąd, ni zowąd tak symbolicznego znaczenia i że zwykłych rzeczy codziennego użytku stały się cennymi talizmanami. Ogarnęła ją przemożna fala żalu i zmęczenia i rozpłakała się rozpaczliwie. Nie płakała jedynie nad tym absolutnie cudownym człowiekiem, którego utraciła, ale też nad prawdziwą, bezwarunkową miłością, której nigdy nie była w stanie mu ofiarować.

– Przepraszam cię, Peter. Strasznie cię przepraszam.

Jeden

Bea niespiesznie otworzyła jedno oko i wyjrzała znad poduszki na nowy dzień. W świadomości unosiły się jeszcze pozostałości snu, który przeniósł ją w przeszłość na wysoki, rozłożysty jacht z sykiem prujący fale przy głuchych dźwiękach bębna. Powróciło wspomnienie wrzenia młodego ciała spragnionego dotyku wybranego mężczyzny, tańca na chybottliwym pokładzie pod rozgwieżdżonym niebem, miękkości jego bawełnianej koszuli pod palcami i oczu zapatrzonych w nią, pochłaniających ją. I jego głos, głęboki i zdecydowany, słowa dźwięczące czysto w łagodnym ciepłe letniego wieczoru przy akompaniamencie jazgoczących cykad i z czarnymi nietoperzami furkoczącymi nad głową. „Chciałbym cię stąd zabrać. Chciałbym znaleźć dom, w którym mógłbym cię kochać otwarcie i bez wyrzutów sumienia. Chciałbym się z tobą ożenić tu i teraz. Nigdy cię nie zapomnę. Będiesz przy mnie zawsze, tu, głęboko w środku...”. Przyłożył sobie dwa palce do piersi i postukał, naśladując rytm uderzeń serca.

Westchnęła. Słońce wpadało do pokoju przez otwarte okno, rzucając na nagą podłogę kolczasty cień obsypanej kwiatami hoherii. Odruchowo sięgnęła na drugą stronę łóżka. Trudno było uwierzyć, że minął już rok, odkąd pozwoliła Peterowi odejść w tamtej mrocznej szpitalnej sali. Wprawdzie ból zaczynał już stopniowo słabnąć, ale cały czas zaskakiwały ją takie chwile jak ta, kiedy wyciągała rękę i nie znajdowała go obok w niebieskiej, pasiastej piżamie albo gdy miała ochotę zadzwonić do niego z czymś ważnym.

Zerknęła na miejsce Petera ze skrucą. Nawet po tylu latach ten sen wciąż tak samo wytrącał ją z równowagi. Wystarczyło proste wspomnienie, jakaś scenka lub jedno słowo, żeby wracała do czasu na długo przed poznaniem Petera, czasu, zanim jej świat się zawalił. A potem, chwała Bogu, pojawił się on i uratował ją swoją dobrocią.

Odrzuciła chłodną, bawełnianą kołdrę i spuściła stopy na parkiet. Fałdy jedwabnej piżamy ześlizgły się gładko wzdłuż nóg, a rozkloszowane rękawy opadły równo po bokach. Kremowy materiał ładnie kontrastował z pokrytą jasnymi przebarwieniami skórą jej dłoni. Nie zakładając oryginalnego kimono z jedwabiu, którego używała jako szlafroka, stanęła przed wielkim lustrem, wyciągnęła ręce nad głowę i gwałtownie skrzyła ją w bok, aż rozległo się znajome chrupnięcie. Następnie złączyła dłonie, pochyliła się nad podłogą i zawisła bez ruchu, dopóki jej plecy nie rozprostowały się tak samo jak wcześniej piżama. To była jej rutynowa seria ćwiczeń, od których rozpoczynała każdy dzień.

Podniosła rolety i wstrzymała oddech. Za każdym razem, gdy spoglądała z okna na Reservoir Street, tak odmiennej od tamtej zapyziałej kawalerki w Kings Cross, w której przez sześć lat mieszkali z Wyattem, doznawała uczucia niezmiernej radości i ulgi. Mimo że od tamtej pory minęło już kilkadziesiąt lat, nadal czuła mrowienie na skórze na myśl o tym ciasnym, zatęchłym pokoiku. Z uśmiechem powiodła wzrokiem w dół stromej ulicy, po obu stronach której ciągnęły się szeregi pastelowych wiktoriańskich domów z pięknymi balkonami o kunsztownie wykutych, żelaznych balustradach. Po przeciwnej stronie piął się pod górę biegacz ze słuchawkami w uszach. Na jej widok uniósł rękę w geście pozdrowienia. Zabawne, jaka się stała popularna dzięki kawiarence.

Westchnęła. To był rozkoszny poranek, pełen obietnicy lata i – pomimo nieodstępującej jej na krok zmory samotności – było coś magicznego w tym bezruchu panującym dookoła, zanim jeszcze rozpoczął się zgiełk dnia codziennego. Zawsze wstawała wcześniej, co okazało się wyjątkowo praktyczne w Kuchni Reservoir Street. O świcie, jeszcze zanim pojawili się Kim i Tait, u niej już paliło się światło, piece były nagrzane i gotowe, czajniki pełne wrzątku, chleb

przygotowany, a dostawy posortowane i poukładane na swoich miejscach.

Bea jeszcze raz popatrzyła z czułością na wgniecenie materaca po stronie Petera. Miała nadzieję, że nigdy nie wróci do pierwotnego kształtu. W ten sposób mogła udawać sama przed sobą, że on niedawno wstał i albo popija kawę gdzieś w The Rocks, albo poszedł po poranną gazetę. Było jej jakoś łatwiej wyobrażać sobie, że lada chwila wróci.

Gdzieś w sąsiedztwie pomrukiwało radio 2GB i charakterystyczny głos Alana Jonesa wypełnił pokój wiadomościami ze świata. To wystarczyło, żeby odzyskała równowagę i pogodny nastrój. Wyatt i Sarah nadal nie dawali znaku życia w kwestii świąt i to poczucie zawieszenia i zależności od ich widzimisie zaczęło ją powoli irytować. Próbowwała zachować spokój i nie skarżyć się, że odwiedzali ją lub dzwoniли najwyżej raz w miesiącu, ale tak naprawdę miała do nich żal, szczególnie, że te niezdrowo luźne relacje trzymały ją z daleka od Flory, energicznej trzynastolatki, którą Bea ubóstwiała ponad wszystko. W ostatnich latach w każde urodziny Flory starała się być w Manly dwadzieścia minut przed czasem, żeby móc spędzić kilka chwil sam na sam z wnuczką przed nadejściem pozostałych gości. I co roku na Boże Narodzenie, po grillowej uczcie przygotowanej przez Sarah, siadały we dwie na piasku i gawędziły. Bea pytała Florę, jakie zespoły są teraz „na topie”, a Flora podśmiewała się, że udaje spróchniałą babunię, chociaż w tym roku Bea skończyła dopiero pięćdziesiąt trzy lata. Trudno tu mówić o bliskiej zażyłości, ale Bea próbowała zrozumieć, że wszyscy byli w ciągłym biegu i cieszyła się nawet z tak sporadycznego kontaktu.

Zrobiła sobie kubek earl greya z grubym plasterkiem cytryny i stanęła w otwartym oknie balkonowym z balustradą, spoglądając na budzące się Sydney. Czyste, intensywnie błękitne niebo przypomniało jej podobnie cudowny, letni dzień rok temu, kiedy takie niebo w pewien sposób podziałało na nią kojąco. To było w tydzień po śmierci Petera. Siedziała na kanapie w szykownej, purpurowej sukni, zamknięta i niedostępna jak królowa pszczoł wśród roju odwiedzających. Stanowiła główną atrakcję i, trochę jak na ślubie, wszyscy zabiegali o to, żeby z nią porozmawiać. Sztuka polegała jednak na tym, żeby jej jednocześnie nie przytłoczyć i nie zagadać. Na pogrzebie obowiązywały krótkie, sztamkowe formułki. „Najszczerze kondolencje...”, „Wola opatrności...”, „Dobrze, że już nie cierpi...”, „To był wspaniały człowiek...”. Wyrazy współczucia były w zasadzie identyczne zarówno pod względem treści, jak i sposobu ich komunikowania – z głową przechyloną na bok i zbolalym wyrazem twarzy, nigdy głośniejsz niż nieco ponad szept.

Jedyną osobą, która wniosła pewien powiew świeżości w ten ponury spektakl, była Flora, uroczo nieświadoma tego, że nie jest to po prostu przyjęcie towarzyskie i nie wypada śpiewać, śmiać się na cały głos i rzucać jedzenia małemu koralicowcowi, który akurat zagościł na drzewie pod balkonem. Bea widziała, jak jej syn, Wyatt, gromi córkę spojrzeniem z drugiego końca pokoju, co w sumie zdawało się gorsze, niż gdyby zwyczajnie zwrócił jej uwagę. Wtedy właśnie Bea uświadomiła sobie, że Flora zawsze taka była – jakoś dziwnie obok tego, czego się w danej sytuacji po niej spodziewano. Prawdę mówiąc, Bei podobało się takie podejście – pogrzeb powinien być uhonorowaniem życia zmarłego. Stypa Petera odbyła się w nastroju stanowczo przesadnej powagi, a dyskretny brzęk naczyń i stłumiony szmer rozmów zalegały ciężko w powietrzu. Długą chwilę przyglądała się siostrze i bratu Petera, którzy rozmawiali półgłosem w przerwach pomiędzy kolejnymi łykami wina, zakrywając sobie usta rękami, unosząc brwi i potrząsając konspiracyjnie głowami w sposób, który zdawał się wykluczać i lekceważyć wszystkich dookoła.

Nie było tajemnicą, że jej nie lubili i, szczerze powiedziawszy, ona też nie darzyła ich wielką sympatią. Nadal pamiętała, z jakim chłodem potraktowali ją przy pierwszym spotkaniu dawno temu. Nigdy nie doszło między nimi do otwartych wyjaśnień, dlaczego odnosili się do

niej z taką niechęcią, ale Bea podejrzewała, że w ich oczach nie była dla Petera dość dobra. Była jego pierwszą żoną i to znacznie od niego młodszą, więc fakt, że ich czterdziestosiedmioletni brat związał się z dwudziestopięcioletką zapewne dodatkowo ich raził. Pojawiła się znikąd z małym dzieckiem pod pachą, ale bynajmniej nie z chlubną przeszłością – ani nie owdowiała tragicznie w młodości, ani nie zaopiekowała się niczym podrzutkiem. Była panną z odzysku, wybrakowanym towarem. A teraz, kiedy Peter spoczął cicho w nasłonecznionej części cmentarza South Head nad Morzem Tasmana, ich dawna niechęć przerodziła się wręcz we wrogość, ponieważ – to Bea wiedziała – majątek Petera przechodził teraz na nią, bajerantkę! Nie żeby to były znowu aż takie kokosy, ale z pewnością wystarczy jej na bezpieczne i wygodne życie. Jeszcze jeden powód, dla którego winna była wdzięczność swojemu wspaniałemu mężowi.

Rozejrzała się po pokoju z przekonaniem, że dawna Bea nie miałaby problemu, żeby pogonić całe to towarzystwo: *Wiecie co? Prawdę mówiąc, to chcę zostać sama, a w ogóle to Peter połowy z was nie znosił. Proszę więc udać się do najbliższego wyjścia i wracać do siebie, a ja będę pić wino i tańczyć na bosaka aż do upadłego.* Ale nie była już tą Beą z przeszłości. Miała ponad pięćdziesiąt lat i zdążyła się już nauczyć, że czasem lepiej uznać zasadę, że milczenie jest złotem. Tylko dzięki niej udało jej się przetrwać następną godzinę dalszych komunałów o tym, jak to czas zabił wszelkie rany. Wiedziała już z własnego doświadczenia, że tak nie jest. Upłynęło trzydzieści pięć lat, a jej cały czas łomotało w skroniach na myśl o tym, jak rozdierająco czepiała się ukochanego, błagając i zaklinając, żeby jej nie zostawiał. Czas nie zagoił żadnej z tych ran, jedynie zasklepił je strupem, który po prostu na tyle złagodził ból, że dało się z nim żyć.

Potrząsnęła głową, chcąc się uwolnić od wspomnień. Zrobiła kilka kroków w kierunku kanapy i podniosła do ust kubek cytrynowej herbaty. Na jej lewej ręce rozległ się znajomy brzęk dwunastu przypadkowo ułożonych bransoletek. Każdą z nich dostała od Petera z okazji urodzin albo rocznicy ślubu i na każdej, po wewnętrznej stronie, wygrawerowane było miłosne wyznanie lub jakiś zabawny tekścik. Napis na tej, którą podarował jej na pięćdziesiąte urodziny, głosił: „Gratulacje! Właśnie oficjalnie dołączyłaś do grona Starych Pierników. Witamy w klubie!”

Uśmiechnęła się na wspomnienie jego uroczego poczucia humoru i po raz kolejny ogarnął ją żal, że nie była zdolna dać mu takiej miłości jak ta, którą on ją obdarzył. Była z nim szczęśliwa. Był dobrym ojcem dla Wyatta i bardzo jej pomógł przy otwarciu Kuchni Reservoir Street, która stała się przedmiotem jej największej dumy i radości. Ale bez względu na to, jak bardzo by chciała, nie mogła wykrzesać dla niego więcej uczucia niż tylko blade odbicie tego, co czuła do tamtego pierwszego, kiedy, trzymając się za ręce, sunęli przez pokład statku przy pełni księżyca. Serce jej buzowało, stopy wystukiwały rytm i niczego wtedy tak bardzo nie pragnęła, jak tego, żeby ta noc nigdy się nie skończyła. Bea pogłaskała zieloną poduszeczkę, pozwalając palcom wolnej ręki błędzić machinalnie po jedwabnej tkaninie.

Wzięła prysznic i wysuszyła gęste, siwe włosy, których puszyste fale upięła następnie w luźny wąż. Umalowała usta karminową pomadką w płynie i starannie wytuszczyła swoje długie rzęsy. Włożyła tunikę bez rękawów i oliwkowe rybaczki, a wokół szyi omotała sobie trzy sznury grubych koralików z kości słoniowej, jeszcze raz rozmyślając o tym, jak wielkie miała szczęście. Gdyby nie Peter, jej życie potoczyłoby się zupełnie inaczej. Na koniec wsunęła na stopy soczyście błękitne converse’y i odegnała wspomnienie wcześniejszego snu gdzieś na tył głowy.

Ruszyła w stronę drzwi, żeby zejść na dół i otworzyć kawiarnię, ale po drodze przystanąła na wprost zdjęcia wiszącego na ścianie i w pogodnym świetle poranka wypowiedziała te same słowa, co przez ostatnich trzysta sześćdziesiąt cztery dni co rano:

– Przepraszam cię, Peter. Przepraszam.

1 Szaro-brązowy ptak o charakterystycznych czerwonych koralikach po obu stronach szyi
(przyp. red.).

Dwa

– O, pan Giraldi, witam. Jak się pan dziś miewa? – Poma-chała spod masywnej, starej biblioteki, gdzie próbowała wcisnąć pomiędzy sfatygowane egzemplarze *Małych kobietek*, *Moby Dicka* i innych powieści drewnianą figurkę konia na biegunach. Chciała znaleźć dla niej jak najkorzystniejszą pozycję, żeby ukryć obłazącą farbę i ubytki w grzywie.

– Dobrze, dobrze, dziękuję, tyle tylko, że ktoś zajął mój stolik! – Zdjął słomkowy kapelusz, który nosił dla osłony przed ostrym, australijskim słońcem i potrząsał laską, wskazując dwoje turystów pod dwuskrzydłowym oknem. W pogodne dni okna otwierano na oścież tak, że goście jedli właściwie *al fresco*, spoglądając leniwie na Surry Hills, jedną z najbardziej tętniących życiem dzielnic w centrum miasta. Nieświadoma swojego nietaktu para gawędziła sobie w najlepsze, popijając aromatyczną, mrożoną *chai latte*.

– Jak długo będą tu siedzieć? Prosilili już o rachunek? – krzyknął gromko pan Giraldi w ich stronę.

– Nie wiem, ale może usiądzie pan tutaj? Pogadamy sobie, a potem się pan przeniesie – podsunęła Bea.

Miała nadzieję, że dwójka sympatycznych ludzi, Angielka i Amerykanin, którzy wpadli w absolutny zachwyt przy pierwszej wizycie w Kuchni Reservoir Street, go nie dosłyszała.

– Uwielbiamy takie kawiarenki z przekąskami – wyjaśnił uroczy rudzielec. – To cała nasza historia. W takim właśnie miejscu poznałem moją Megan – dodał z uśmiechem.

– Cicho, Edd! Nikogo nie obchodzi, jak się poznaliśmy! – Kobieta oblała się szkarłatnym rumieńcem, ale promieniała. Bez wątpienia byli w sobie szaleńczo zakochani.

– Znowu znalazła pani jakieś barachło? – zainteresował się pan Giraldi, pokazując głowę konia na biegunach. Położył kapelusz na jednym ze splewiałych, wyszorowanych do czysta stołów i sam opadł na krzesło.

Koń stanowił najnowszy dodatek do specyficznego wystroju pomieszczenia, w którym zbierane przez Beę rękodzieła uzupełniały lśniąca cementową posadzkę, wykończenia z hartowanego szkła i odsłonięte metalowe belki konstrukcyjne. W swoim poprzednim życiu budynek przy Reservoir Street służył jako zakład włókienniczy, zaś Bea i Peter, jakby wyprzedzając epokę, postanowili zachować jego surowy, przemysłowy charakter przy urządzeniu kawiarni. Nie chcieli usuwać pordzewiałych krążków linowych zawieszonych smętnie pod sufitem niczym miniaturowe wagoniki górskie, zasłaniać ścian ze zmurszałych cegieł ani wymieniać obtłuczonych lamp emaliowanych dyndających nisko w zbitych grupkach, za to postarali się wkomponować je w oprawę wnętrza. Pewien recenzent określił ich miejsce jako „cudownie awangardowe, śmiałe i eklektyczne”. Nieźle się z tego wtedy uśmiali z Peterem, otwierając butelkę czerwonego wina, bo w rzeczywistości chcieli tylko trochę przyoszczędzić! To było dwadzieścia lat temu.

Bea roześmiała się.

– Powtarzam panu, to nie jest żadne barachło, tylko najprawdziwsze skarby pamięci. A poza tym to nie ja je znajduję, tylko *one* znajdują mnie. Muszę je jakoś przyciągać. I wydaje mi się, że dzięki nim jest tu o wiele przytulniej. Nie uważa pan?

Pan Giraldi prychnął wymijająco, a Bea powiodła wzrokiem po swojej osobliwej kolekcji rekwizytów zgromadzonych na metalowych regałach piekarniczych, które przywieziono wiele lat temu na statkach z Europy. Na niektórych zostały jeszcze przyschnięte grudki mąki, których nie dało się zdrapać, a pordzewiałe już teraz kółeczka na spodzie pozwalały pewnie piekarzom

przewozić po kaflowych podłogach bochny wiejskiego chleba i inne wypieki, które Bea z chęcią widziała u siebie. W kącie stała zabytkowa maszyna do szycia na ozdobnych, żeliwnych nogach. Otwarte drzwi przytrzymały przestarzałe, mosiężne gaśnice, a rozległą powierzchnię ścian przystrajało praktycznie wszystko: od wypchanej głowy kudu po dziecięcy stół pokryty wyklejankami.

Uśmiechnęła się. Każdy z tych przedmiotów wiązał się z jakimś wyjątkowym wspomnieniem i sprawiał jej przyjemność.

– O, weźmy te zdjęcia. – Wskazała na jedną z nieotynkowanych ścian dźwigającą zbiorowisko czarno-białych fotografii w niejednakowych ramkach. Był wśród nich wymuskany wiktoriański jegomość w kapeluszu i nieostre ujęcie grupki bosych dzieci stłoczonych w progu sąsiedniego domu. Paradoks polegał na tym, że dziś cena tego progu i tego domu szła w ciężkie miliony.

– Na wszystkie trafiłam przypadkiem w sklepie ze starociami albo na pchlim targu.

– Na jedno wychodzi – skwitował pan Giraldi.

Bea przechyliła głowę na bok.

– Być może, ale kojarzy mi się z nimi tyle miłych chwil, kiedy tak beztrudno włoczyłam się po ulicach, grzałam się na słończku albo kryłam się gdzieś przed niespodziewanym deszczem. Chodzi o to, że ja je ratuję. Tych zdjęć nikt już nie chce. Ci ludzie byli przecież czymś ojcem albo czyjąś córką, mieli jakieś życie, byli dla kogoś ważni. Okropnie byłoby tak je po prostu wyrzucić i całkiem o nich zapomnieć.

– Nie jestem przekonany, czy te zabiedzone, utyłane smarki były dla kogoś ważne – przyłączył się Tait, wskazując zdjęcie ruchem brwi, bo obie ręce zajęte miał dużą, okrągłą tacą.

Bea patrzyła, jak schylił się nad stołem i wykladał na blat zamówienie dla grupki czterech dziewcząt: biały, połyskliwy imbryk do herbaty, białe czareczki, szklaną cukierniczkę z dzióbkiem z chromowanej stali i trzypoziomową paterę zapełnioną przekąskami z raków, tartinkami z majonezem cytrynowym oraz czterema porcjami marchewkowego ciasta. Zauważyła, jak wszystkie popatrują na jego opalone ramiona i szeroki tors. Peter twierdził, że to cyniczne z jej strony, żeby zatrudnić zabójczo przystojnego surfera do obsługi gości, z których przeważającą część stanowiły kobiety, ale ona uznała to za genialne posunięcie i miała rację. *Brakuje mi Ciebie, Peter.* Nie było dnia, żeby w pewnym momencie nie rozejrzała się za nim, nie pomyślała o nim albo nie potrzebowała czegoś z nim skonsultować i za każdym razem, gdy przypominała sobie, że go nie ma, czuła w piersi wyrwę żalu i poczucia winy, a potem już tylko bezgraniczną pustkę.

– A ja myślę, że każdy z tych brzdąców był ważny. To przecież tylko dzieci, nie miały wpływu na to, gdzie i w jakich warunkach się urodziły. A kiedy się dobrze przyjrzeć ich buziom, fakt, że trochę mizernym i umorusanym, to widać, że są autentycznie szczęśliwe. – Podeszła do ściany pokrytej zdjęciami ludzi, którzy już dawno nie żyli i których nigdy nie знаła, i przyłożyła palec do fotografii nieco ponad głowę, wskazując na nie więcej niż sześć- lub siedmioletniego chłopca, który opierał się o framugę drzwi, paląc glinianą fajkę, i spoglądał przed siebie spod daszka oprychówki. – Popatrz tylko na te zmarszczki wokół jego oczu. Wygląda przez nie na starszego niż jest, ale od razu widać, że się dużo śmieje.

Miejmy przynajmniej nadzieję. Biedny smyk.

– Skoro tak mówisz. – Tait ukazał w uśmiechu duże, ładne zęby świecące na tle jego opalonej twarzy i typowym dla siebie ruchem odgarnął za uszy niesforne pasma długich, płowych włosów. Bea przyglądała się, jak dziewczyny odprowadzają go wzrokiem, gdy znika za wahadłowymi drzwiami.

– Ja tam nie trzymam zdjęć nawet swojej własnej rodziny, a co dopiero cudzej – burknął

pan Giraldi.

– Przyjeżdżają na święta? – Bea położyła ręce na biodrach, a bransoletki z brzękiem zleciały jej do nadgarstka. Ten dźwięk był niczym jej znak firmowy. Do Gwiazdki pozostały zaledwie cztery tygodnie i każdy robił już plany.

– Giovanni przyjeżdża z żoną i z chłopakami na kilka godzin. Claudia, Roberto i dzieciaki przyjadą na Wigilię, ale Berty nie będzie. Musi pracować, więc zostaje w Melbourne. Mam małe mieszkanie, a sam nigdzie nie będę jeździł. Lubię być tu, gdzie była Angelica, a dla wszystkich nie starczyłoby miejsca. Miło byłoby zebrać wszystkich razem, ale tak to już jest. Nie ma ich gdzie położyć. Ale dzwoniemy się przez komputer. Gio wie, jak to wszystko zaprogramować. Ja tam się na tym nie znam. – Postukał się w pierś szeroką dłonią, jakby pozbywając się w ten sposób problemu kwestii technologicznych.

– Ja mam dokładnie to samo. Ledwo potrafię włączyć i wyłączyć telefon, a co dopiero obsługiwać komputer. Peter się tym zajmował.

– Ciągłe mówią pani, że z czasem będzie lżej? – zadał to pytanie pochylony naprzód, opierając się na rączce laski.

– Tak. – Skinęła głową.

W pierwszą rocznicę śmierci Petera poszła do szpitala, potarła Il Porcellina po nosie i wrzuciła do fontanny pieniążek.

– Co za zgraja kłamczuchów. Wszyscy, co do jednego. Chyba coś o tym wiem, minęło siedemnaście lat. – Wyciągnął z kieszeni spodni wielką, białą chustkę i otarł sobie oczy.

– Pewnie bardzo jej panu brakuje.

– Tak. – Z trudem nabrał powietrza, jakby samo wspomnienie sprawiało mu przykrość. – Była naszym tłumaczem. Rozumie pani?

Przez chwilę Bea sądziła, że chodzi o tłumaczenie z włoskiego na angielski, ale to się wydawało bez sensu. Mówił przecież płynną angielszczyzną z przepięknym akcentem.

– Przepraszam, chyba nie – przyznała.

Pan Giraldi spojrział w niebo, jakby szukając tam odpowiednich słów, żeby wytłumaczyć.

– Rozumiała mnie. Rozumiała nas wszystkich. Na przykład Berta jest cicha i wycofana. Pamiętam, że kiedyś zapytałem Angelicę, dlaczego Berta jest taka oziębła. Cmoknęła z niezadowoleniem, jakbym był jakimś durniem i powiedziała, że to nieprawda. Powiedziała, że Berta jest pełna pasji i ma wielkie serce, ale jest taka nieśmiała i zamknięta w sobie, że nie potrafi sobie z tym poradzić i sama się odgradza. – Pokręcił głową. – Nigdy bym nie potrafił zrozumieć moich dzieci, a one mnie, gdyby nie jej tłumaczenie. Gio wcale nie jest notorycznie wściekły, tylko po prostu się boi! Claudia w ogóle nie jest taka twarda, na jaką wygląda, ale płacze zawsze w samotności i ukrywa swoje uczucia. A ja? Powiedziała im, że nawet jeżeli jestem dla nich surowy i często nie zgadzam się na ich wariackie pomysły, to bez chwili wahania skoczyłbym dla nich w ogień. I to prawda, tak by właśnie było. – Pokiwał głową.

Bea zamyśliła się nad jego słowami. Może tego właśnie było jej potrzeba z Wyattem – tłumacza.

– Z tego, co pan opowiada, byliście świetnym zespołem. – Uśmiechnęła się.

– O tak. Ona była naszym spoiwem. Gdyby ich mama żyła, na pewno nie mieliby tylu trudności, żeby przyjechać na święta. Bez względu na ciasnotę – dodał szeptem. – Brakuje mi nie tylko jej rozwagi, ale też jej widoku. Była nieziemsko piękna. A kiedy z nią tańczyłem... – urwał, lecz po chwili podjął na nowo: – Ciągłe jeszcze śni mi się, że trzymam ją za rękę i kręcimy się razem w rytm muzyki.

Bei zabrzmiało w uszach głucho dudnienie bębna i przypomniała sobie, jak jej serce biło w rytm muzyki.

– Nic nie jest już takie samo. – Pan Giraldi wzruszył ramionami.

Bea pokiwała głową. Rzeczywiście, w jego przypadku tak było.

– Na co ma pan dziś chęć? – Wsunęła ręce w kieszenie biało-niebieskiego fartucha opasującego jej filigranową postać. Peter powiedział jej kiedyś, że w wąskich džinsach i wysokich trampkach wygląda z boku zupełnie jak kij golfowy. Uznała to za komplement, zgodnie zresztą z jego intencją. Nawet jeszcze teraz ciągle się zdarzało, że oglądali się za nią młodzi mężczyźni, szybko kryjąc zawód na widok jej pięćdziesięcioletniej twarzy.

– Niech będzie mleczna kawa i to musli z miodem i owocami. – Pan Giraldi zawsze składał zamówienie, jakby jej wyświadczał przysługę. Jak życzliwy wujaszek, który zgadza się zjeść ostatnią porcję ciasta, żeby się nie zmarnowało.

– Już podaję. Mleczna kawa i musli dla pana Giraldiego – zawołała, wchodząc do kuchni.

Kim potwierdziła głową, pochylona nad talerzem z trzema kromkami pełnoziarnistego razowca, na którym układała zgrabne plasterki awokado. Jak zwykle, kiedy była skoncentrowana, z kącika ust wystawał jej koniuszek języka, a wysoki, koński ogon tańczył jej z tyłu głowy zgodnie z ruchami ciała, kiedy uwijała się między blatem do pracy a lodówką.

– Jakie masz plany na święta? – zapytał Beę Tait, układając stopy naczyń w zlewie. – Wyjeżdżasz do syna?

Bea wyjęła z szafki dzbanek do kawy, zastanawiając się, co odpowiedzieć. W zasadzie to nie była zaproszona... Za każdym razem, kiedy zbliżała się jakaś okazja, powtarzała się ta sama historia. Na przykład kiedy nadchodziły urodziny Flory. Na kilka tygodni wcześniej zaczynała się niecierpliwie i czekać na zaproszenie, aż w końcu nie mogła już dłużej wytrzymać i sama do nich dzwoniła. Sarah odbierała telefon cała uradowana i wybuchała śmiechem, jakby Bea strzeliła piramidalne głupstwo.

– Oczywiście, że jesteś zaproszona! Mam nadzieję, że przyjdiesz?

A wtedy Bea znów czuła się rozdarta, bo bardzo chciała pojechać, spotkać się z wnuczką i spędzić czas z rodziną, ale boleśnie dokuczała jej świadomość, że praktycznie zaprosiła się sama. I to skrępowanie ciążyło jej w końcu niczym ciemna chmura także w trakcie samej wizyty.

– Tak, pewnie tak – odparła nienaturalnie wesołym tonem. – Są jeszcze cztery tygodnie, żeby coś zaplanować. Zobaczmy, jak to będzie. – Uśmiechnęła się, sięgnęła po kawę i nasypała do niebieskiej metalowej kawiarki, którą wyszperała na bazarku staroci w Paddington.

– A ty, Kim? – Tait obejrzał się na dziewczynę, której smukłe palce wiolonczelistki biegały wokół jedzenia z precyzją i namaszczeniem godnym dzieła sztuki.

– J-jaaa... M-moo... – Przełknęła ślinę. – Moi rodzice d-do mnie przyjeżdżają, a p-pootem jedziemy do m-moo... mojej siostry do G-gold Coast. – Odetchnęła z ulgą, że udało jej się dopowiedzieć zdanie do końca.

Tait pokiwał głową i taktownie nie zadał już więcej pytań, żeby oszczędzić na czasie, który zabierała jej każda odpowiedź. Zabrał kawę dla pana Giraldiego i wyniósł się z kuchni.

– Jasny gwint, Bea, co się ze mną dzieje? Ja po prostu nie mogę z nim normalnie rozmawiać! – Kim cisnęła ściereczkę na blat lady. – Nie jestem w stanie wykrztusić jednego słowa. On myśli, że się jąkam!

– Bo tak jest, kiedy z nim rozmawiasz – zauważyła Bea.

– Raczej, kiedy *próbuję* z nim rozmawiać. Nie pomagasz mi, Bea! Rany, jaki on jest piękny. Od tego płaczą mi się jakieś zwoje w mózgu. Idealny do bólu! Nie chodzi tylko o to, że nie mogę się przy nim wysłowić, ale nie mam nawet pojęcia, co powinnam mówić. – Chwyciła młynek do pieprzu i gwałtownie omiotła nim kanapeczki. – Moi znajomi mówią, że mam paranoję. Normalnie jestem straszną gadułą, dosłownie usta mi się nie zamykają. I jestem zabawna. Naprawdę. Ale przy nim wszystko jest nie tak. Nie dość, że jest jak dla mnie o wiele za

przystojny, to jeszcze myśli, że mam wadę wymowy! Brrr!

Wrócił Tait.

– Dla kogo to? – zapytał, podnosząc talerze z kanapkami i spojrzał na Kim.

– Eee... S-stoolik...

– Stolik numer dwanaście – wyręczyła ją Bea.

Tait skinął głową, uśmiechnął się do Kim i wyszedł z zamówieniem.

Bea obejrzała się i, zobaczywszy, jak Kim wali głową w szafkę ponad zlewem, wybuchnęła śmiechem.

Trzy

Bea zamknęła oczy i rozkoszowała się łaskotaniem ciepłego, porannego wietrzyku na skórze. Z bluzą zwiniętą pod pupą siedziała w jednym ze swoich ulubionych miejsc, pod platanem w Parku Księcia Alfreda. W całym mieście nie było lepszego punktu wypoczynkowego przy ładnej pogodzie. Na prawo ciągnęły się połacie przystrzyżonej trawy opadające w stronę dużego, popularnego basenu na świeżym powietrzu, a po drugiej stronie majestatycznie wznosiło się miasto ze strzelistą sylwetką Sydney Tower przypominającą statek kosmiczny, który jakby przycupnął na słupie majowym. Do domu miała stąd zaledwie kilka kroków wzdłuż Elizabeth Street. Wyskoczyła sobie na chwilę, zanim w Kuchni zaczęło się największy ruch, żeby trochę ochłonić i uporządkować myśli. Siedziała teraz w spokoju, z dłonią zanurzoną w trawie, a wiatr przynosił dalekie odgłosy śmiechu dzieci barszkujących nad wodą. To był jeden z najpiękniejszych dźwięków, jakie знаła. Otworzyła oczy i uśmiechnęła się, bo przypomniała sobie leciusięki dotyk na twarzy, którym Wyatt budził ją, kiedy był malutki. Zakradał się do jej sypialni i kładł jej małą rączkę na policzku. „Mama, wstawaj!”, domagał się, owiewając jej twarz ciepłym oddechem. Z czasem przekonała się, że to był najprzyjemniejszy sposób na przebudzenie. Przylgnęła wzrokiem do młodej mamy goniącej malutką dziewczynkę, którą następnie pochwyciła w ramiona i obsypała pocałunkami pod kapelusikiem od słońca. Mała zapiszczała i oplótła ramionkami matczyną szyję. Beę aż ścisnęło w żołądku z tęsknoty, gdy pomyślała o Wyacie mniej więcej w tym wieku. Mimo że okropnie się wtedy szarpała, pod pewnymi względami to był najwspanialszy okres w jej życiu, kiedy jej synek był mały i nie chciał nic więcej, jak tylko być przy niej, grać z nią w karty albo słuchać, jak czyta mu na głos.

Próbowała przypomnieć sobie, kiedy zaczął unikać jej dotyku. Jako dziecko pakował jej się rozkosznie na kolana i okrywał ją buziakami. Jeszcze kiedy był w szkole, przytulał się do niej przed wyjściem i po powrocie, a czasem obejmował ją też za ramiona, kiedy przechadzali się po bulwarze w Manly. Uwielbiała te spontaniczne przejawy czułości. Jakby chciał się poszczycić swoją młodą mamą. Może to się skończyło, kiedy poznał Sarah albo po tym, jak urodziła mu się jego własna córka? Jak gdyby nie był w stanie kochać należycie więcej niż dwóch kobiet naraz. Nie mogła sobie przypomnieć. Chociaż tak naprawdę co za różnica kiedy? Efekt i tak był ten sam.

Bea rzuciła okiem na zegarek. Powinna powoli wracać, ponieważ dochodziła pora obiadowa i będzie potrzebna w Kuchni. Gdy z uczuciem napięcia w łydkach podchodziła pod Reservoir Street, zauważyła, że na wystawie sklepu z odzieżą retro naprzeciwko kawiarni powieszono czerwone chińskie lampiony, a na drzwiach pojawił się napis „Wesołych świąt!”. Na ten widok jak zwykle na twarz wypłynął jej uśmiech. Obiecała sobie później zrobić to samo, czyli wydobyć z piwnicy swoje lampki bożonarodzeniowe i dekorację ze sklepu ze starociami, którą przystrajała kawiarnię wyłącznie w okresie świąt. Było to oprawione w cynkową ramę, przeszklone zdjęcie wiktoriańskiej pokojówki w białym czepku zapalającej świecy na dość wiechciowatym drzewku. Na jej twarzy malował się wyraz tęsknej melancholii. Zdaniem Bei pewnie miała żal o to, że musi pomagać w przygotowaniach, ale nie będzie jej dane cieszyć się choinką i stosem piętrzących się pod nią prezentów.

Wkroczyła zamasyżycie do kuchni, w której Kim, czujnie nachylona nad ladą, odmierzała kuskus do sałatki z grillowanych warzyw i owoców granatu. Bea wzięła się za opłukiwanie grubego pęku rukwi wodnej pod kranem, delikatnie pocierając miękkie liście i wyobrażając je sobie z płatkami uwędzonego na ostro pieczonego łososia, który stanowił wsad do dzisiejszej

kanapki dnia. Potem utrze do tego sos czosnkowy z dodatkiem cytryny i papryki – doskonały do grubych, odsmażanych frytek. Rozmyślanie o tym, co i jak przyrządzi dla gości, sprawiało jej niezmiennie ogromną przyjemność.

Kim przerwała ciszę.

– Szefowo, wiesz, że przyszedł do ciebie list? Prawdziwy list, odręcznie napisany. Ze Szkocji. Strasznie jestem ciekawa, co to może być. – Kim pomachała w powietrzu kremową kopertą, po czym postawiła ją opartą na ladzie. – Przyszedł, jak cię nie było. Gdybym miała pewność, że prędko nie wrócisz, otworzyłabym go nad parą, a potem znów zakleiła. – Mrugnęła figlarnie.

– Ze Szkocji? – spytała Bea cicho i zakręciła kran. Przełknęła ślinę i powoli osuszała liście w palcach. Trzęsły jej się ręce.

– Dobrze się czujesz? Jakoś blado wyglądasz.

Pochwyciła zatroskane spojrzenie Kim i zaczęła układać rukiew na desce do krojenia, a z ust popłynął jej potok chaotycznych zapewnień:

– Tak! Tak, wszystko w porządku. Tak się zamyśliłam... Nad lunchem – skłamała. – Sama nie wiem, czy łosoś to w sumie dobry pomysł. Może lepiej jednak podać serek *halloumi* z konfiturą z czerwonej cebuli albo coś takiego? – Obydwie słyszały, że jej słowa brzmią sztucznie i nieprzekonująco.

– No dalej, otwórz ten list! Ta niepewność mnie zaraz wykończy. Nie znam nikogo ze Szkocji. To znaczy poza Ewanem McGregorem. Jeżeli to od niego, to musisz mi dać adres. Błagam! – Kim się roześmiała.

Bea osuszyła ręce ściereczką, po czym dla pewności wytarła je jeszcze w fartuch, a następnie sięgnęła po kopertę. Przez chwilę błędziła wzrokiem po pająkowatych literach i przesuwiała kciukiem po powierzchni znaczka, a następnie odwróciła list i wpatrywała się w biel koperty po drugiej stronie. Wsunęła palec pod zakładkę i delikatnie poruszyła na boki, starając się jej nie uszkodzić. Wstrzymała oddech i odwróciła się, zasłaniając list sobą.

Po chwili wypuściła głośno powietrze, przywołała na twarz wymuszony uśmiech i rozluźniła ramiona jakby z ulgą.

– Jakaś kobieta, która prowadzi kawiarnię w Edynburgu.

– I czego chce? Może szuka pracy? Miałaby tu do nas kiepski dojazd. – Kim była w szczytowej formie.

– Nie. – Bea zmrużyła oczy i przebiegła tekst wzrokiem. – Nie chodzi o pracę. Zdaje się, że prowadzi coś w rodzaju klubu czy stowarzyszenia...

– Podejrzana sprawa. Bardzo tajemnicza. Musimy wiedzieć więcej. – Kim nachyliła się nad półmiskiem opiekanych warzyw i posypała je pestkami dyni piżmowej, dorzuciła szalotki i marynowane buraczki i doprawiła szczyptą oregano.

Bea roześmiała się z wysiłkiem i odpowiedziała, próbując opanować drżenie w głosie:

– Przykro mi, ale muszę cię rozczarować. To nic z tych rzeczy. – Czytała dalej w skupieniu, poruszając bezgłośnie ustami. – Prowadzi forum dla właścicieli kafejek, herbaciami i cukierenek w butikach na całym świecie. Wymieniają się przepisami w Internecie, publikują zdjęcia czy coś w tym rodzaju. – Bea podniosła wzrok. – To nawet fajna sprawa. W tym biznesie człowiek często czuje się dość samotny.

– Udam, że nie słyszałam. – Kim podniosła ręce do góry i roześmiała się.

– Nie mówię tak na co dzień. – *Mam na myśli wczesnym rankiem albo późno w nocy, kiedy jestem sama. Sama jak palec...* – Ale gdybym chciała na przykład rozszerzyć działalność albo jakoś rozwinąć interes, to może warto byłoby zasięgnąć opinii ludzi w podobnej sytuacji gdzieś na świecie, dowiedzieć się o ich doświadczeniach.

– Aaa, takie małe forum na globalną skalę! Brzmi niezłe. A będziesz umiała odpalić Internet? – Zaśmiała się Kim.

– Udam, że nie słyszałam – odcięła się Bea, choć wiedziała, że Kim ma trochę racji. Chociaż radziła sobie coraz lepiej i nawet umiała już włączyć i wyłączyć komputer bez niczyjej pomocy. – Poza tym ciekawie byłoby dodać do naszej oferty potrawy z jakiegoś Tokio czy innej Tuluzy!

– Z Tuluzy? Czyli kielbasa. Są jacyś członkowie z Tuluzy albo z Tokio?

– Nie wiem, ale to niewykluczone. Mogą być ludzie zewsząd. Z Florydy albo z Berlina.

– Z Berlina? A więc znów kielbasa. Może to jest forum kielbasiane? – Kim zachichotała.

Bea zwinęła list, włożyła go z powrotem do koperty i wsunęła do kieszeni fartucha.

– Bardzo sympatyczny list. Kobieta wydaje się prawdziwą pasjonatką. Podobno znalazła o nas recenzję gdzieś na jakimś portalu podróżniczym i postanowiła zaprosić nas do udziału. I pisze, że mogłabym wpaść z wizytą do Edynburga. Naprawdę miło, jakby mieszkała dosłownie gdzieś za rogiem, a nie piętnaście tysięcy kilometrów stąd.

– Jak się nazywa?

Bea ponownie wyjęła list i pobieżnie przesunęła palcem w dół kartki.

– Alex. Alex McKay.

Kim rozpromieniła się.

– Ooo, pani McKay! Cudownie! Już ją widzę. Niewysoka kobietka przy kości, bo przecież musi próbować tych wszystkich kielbasek, z mocną trwałą, złotymi okularkami i paznokciami pomalowanymi na jaskrawy róż. Na pewno uwielbia koty!

– Skąd wiesz, że jest stara i gruba? A może to właśnie jakaś niebywała piękność? – zaoponowała Bea.

Kim pokręciła głową.

– E-e. Ja tam widzę pulchniutką damulkę zwariowaną na punkcie kotów. I jak widać, nie ma zbyt burzliwego życia towarzyskiego, skoro ma czas, żeby wyszukiwać ludzi w Tokio i w Tuluzie i codziennie gadać z nimi o kielbasie.

– Może ona to samo myśli o mnie! – Bea stanęła z rozłożonymi rękami.

– Niemożliwe. Ty jesteś szalowa! W ogóle to jestem zde gustowana, że to nie Ewan McGregor wysłał ten list, żeby zaprosić cię na herbatę. Mogłabym wtedy pojechać razem z tobą. On jest taki słodki.

Bea ściągnęła usta i utkwiała w Kim wzrok.

– Myślałam, że wzdychasz do Taita?

– Ćśśś! – Kim zamachała rękami i zerknęła na drzwi. – Bo usłyszysz!

– Tym lepiej. Wreszcie wiedziałby biedak, na czym stoi, a ty może przestałabyś się jękać i dwoje moich ulubionych współpracowników mogłoby razem iść naprzód. – Bea się uśmiechnęła.

– Po pierwsze, jesteśmy twoimi jedynymi współpracownikami, więc nie przesadzajmy. A po drugie, nie ma szans, żeby on się mną zainteresował. Widziałaś jego ostatnią dziewczynę, Janine? Była zjawiskowa, z nogami do samej szyi. Nie jestem w jego typie. Wyobrazasz sobie, jak czeka na mnie po próbie, a potem taszczy moją wiolonczelę w jednej ręce, a swoją deskę surfingową w drugiej? – Kim westchnęła. – Nigdy w życiu.

– Prawdę mówiąc, owszem, jak najbardziej jestem to sobie w stanie wyobrazić. Musisz być bardziej pewna siebie, Kim. Jesteś prześliczną, młodą kobietą. A dopóki nie spróbujesz, to się nie dowiesz. Nie możesz całe życie czekać z boku, aż coś ci się przydarzy. Trzeba się przemóc, zebrać na odwagę i zrobić pierwszy krok.

– Wiem. Tylko że mnie nie brakuje odwagi. Raczej jakichś trzydziestu centymetrów

wzrostu i cycków Janine. Tak byłoby łatwiej. No bo założmy, że coś bym zasugerowała, a on by mnie z punktu odpalił. Jak mielibyśmy potem razem pracować? Miałabym ochotę zapaść się pod ziemię na sam jego widok!

– Bo teraz wcale tak nie jest.

Kim westchnęła.

– Możemy zmienić temat? I mówię poważnie, z ciebie jest świetna babka, jedna z najfajniejszych, jakie znam. Superelegancka, z klasą.

Bea roześmiała się.

– A co masz powiedzieć innego? Jestem twoją szefową.

– To fakt, ale w tym przypadku tak się szczęśliwie składa, że naprawdę tak myślę. Jesteś szalową laską, mimo że zachowujesz się, jakbyś miała jakieś sto trzy lata.

– Dokładnie sto cztery.

– Co sto cztery? – Do kuchni wszedł Tait i sięgnął po tablicę, na której kredą wypisane były dania dnia: pyszna zupa z letnich zielonych warzyw oraz domowy pasztet z soczewicy z *quinoa* i nerkowcami podawany z pikantnym sosem jogurtowym.

– Ja właśnie... N-nie... Bo p-przyszedł list... Tylko... – Kim zarumieniła się i zamachała przed sobą trzymanym w ręce nożem, jakby to miało pomóc jej się wysłować.

Tait wpatrywał się w nią przez chwilę i w końcu wyszedł z tablicą pod pachą.

– A niech to jasna cholera! – ryknęła Kim.

– Może mam sto cztery lata, ale jeszcze słyszę! – fuknęła Bea.

Gdy przetoczył się już największy, południowy ruch, Bea wzięła głęboki oddech, wyciągnęła pudło z dekoracjami świątecznymi i, uzbrojona w ostry nóż, rozsiała się na ziemi. Podważyła końcem ostrza zabezpieczający przylepiec, świadoma, że to Peter ostatni je zakleił. Zdierała taśmę i owijała ją sobie wokół dłoni, rozmyślając, że pewnie wciąż znajdują się na niej jego odciski palców, jakiś ślad po nim na przedmiotach, które tak kochał. Już miała zapuścić rękę w głąb kartonu, gdy nagła fala smutku zalała jej serce. *Jeżeli je wyciągnę, to potem ja odłożę je z powrotem do pudełka, co będzie znaczyło, że po raz pierwszy tak naprawdę obchodziłam Gwiazdkę bez ciebie. Rok temu nawet mi do głowy nie przyszło, żeby je zawieszać zaraz po twoim odejściu. Teraz jeszcze nadal coś je z tobą łączy...*

– Pomóc ci? – Zaproponował Tait, widząc szefową zatopioną w myślach nad pudełkiem z napisem LAMPKI ŚWIĄTECZNE skreślonym czarnym flamastrem.

Bea zamrugwała.

– Tak się zastanawiam, czy w ogóle powinniśmy je wieszać.

– No pewnie! Musimy je powiesić i wpuścić ducha świąt! – Tait klasnął w dłonie. – Mam je rozplątać? Kimmy na razie mnie nie potrzebuje.

– Nie, dziękuję. Ja je posegreguję, a potem poproszę cię o pomoc przy rozwieszaniu. Możemy sobie urządzić małą ceremonię.

Tait pojaśniał z radości. *Dobry chłopak.*

Bea rozłożyła tekturowe skrzydelka. Przez chwilę się zawahała, po czym zanurzyła ręce w płataninie zielonych kabli. Peter zawsze bardzo pieczołowicie je związał według dobrze przemyślanego systemu. Nawet przykleił kwadraciki niebieskiej taśmy na końcach, żeby ułatwić jej późniejsze rozpakowywanie.

Bea podzieliła światełka na dwa zwoje i podniosła się, wycierając zakurzone dłonie o fartuch.

– Dobra, Tait, do roboty!

Podawała mu jeden koniuszek łańcucha. Tait wszedł na krzesło i, mocno wychylony, przepuszczał w palcach sznur lampek, żeby przymocować pękatą żarówkę do haka na końcu

belki pod sufitem. Przeciągnął krzesło na środek sali i przyczepił girlandę w drugim punkcie.

– Ale będzie pięknie! – Ucieszyła się Bea i sięgnęła po drugi zwój. Pracowali tak wytrwale przez godzinę. Rozwijali sznury światełek i upinali je krzyżowo pod sufitem, aż pokryli go w całości gęstą mozaiką lampek. Na koniec Bea pobiegła zamknąć drzwi na łańcuch i przekręcić plakietkę z napisem OTWARTE, po czym zawołała Kim na uroczystą inaugurację.

– No! Teraz dopiero czuję, że idą święta. Jak tylko widzę te światełka, od razu wiem, że to szczególny czas. Chyba możemy sobie wszyscy pomyśleć życzenie, jak sądzicie?

– Jasne. – Tait kiwnął głową, błyskając białymi zębami.

Kim niepewnie objęła się ramionami, przygryzła usta i wbiła wzrok w podłogę.

– Zamknijcie oczy – zarządziła Bea. – Każdy ma pomyśleć życzenie, a potem na trzy otwieramy oczy i oficjalnie rozpoczynamy Boże Narodzenie na Reservoir Street!

Sama również zamknęła oczy i wcisnęła przełącznik na listwie zasilającej. Blask przeniknął pod jej zamknięte powieki, kiedy rozmyślała, czego mogłaby sobie zażyczyć. Postanowiła poprosić o szczęśliwe życie w pojedynkę, w którym zawsze będzie miejsce na pamięć o Peterze. Ale z tyłu głowy mignęło jej wspomnienie porannego snu i w podświadomości samoistnie uformowała się prośba: *Chcę go zobaczyć. Tylko raz. Zobaczyć, że jest szczęśliwy. To wszystko, chcę się tylko przekonać, że jest szczęśliwy i że nie wymyśliłam sobie sama tego wszystkiego. Muszę się upewnić, że on naprawdę mnie kochał.*

Cztery

Dzwonek do drzwi wejściowych wyrwał Beę z zadumy. Ucieszyła się, że coś uratuje ją przed lodowatymi, groźnymi mackami samotności, które wyciągały się po nią zwykle pod koniec dnia, w tych martwych godzinach pomiędzy zamknięciem Kuchni i rozstaniem z Taitem i Kim a położeniem się spać. Wcisnęła wyłącznik na laptopie. Nie bardzo jeszcze wiedziała, w jaki sposób należy zamykać poszczególne strony i ciągle bała się, że wszystko nieodwracalnie skasuje. Łatwiej było po prostu wyłączyć ekran, zatrzaskać pokrywę i zostawić go w kuchni.

W korytarzu zdjęła miękki, szary szal z antycznego stojaka, który znalazła na wyprzedazy staroci w Rozelle. Okryła sobie ramiona i zeszła wąskimi schodami do bocznego wejścia. Zmrużyła oczy, starając się przeniknąć grube szybki w drzwiach, a na widok uśmiechniętej buzi po drugiej stronie rozpromieniła się, uradowana i zaskoczona jednocześnie.

– Flora! O mój Boże! – wykrzyknęła, odmykając zasuwę i zwalniając łańcuch, żeby wpuścić wnuczkę do środka.

– Cześć, babciu – przywitała się Flora swobodnie i poprawiła sobie widocznie ciężki plecak na ramieniu.

– Flora, kochanie! Jaka miła niespodzianka. Wszystko w porządku? Gdzie tata?

Flora odrzuciła swoje gęste włosy na plecy i przyglądała się Bei, jakby nie rozumiejąc, dlaczego jej nagłe pojawienie się wywołuje takie poruszenie.

– Parkuje samochód i zaraz tu przyjdzie, sama nie wiem po co. – Wykrzywiła się. – Mówiłam, że mogę sama przyjechać promem, ale mi nie pozwolili, a przecież znam drogę. Im się ciągle wydaje, że ja jestem dzieckiem!

Bea zauważyła, że wnuczka zaciska pięści.

– Najpierw darli się na mnie przez dwie godziny, a potem tata najeżdżał na mnie bez przerwy w samochodzie i nie mogłam wysiąść. Ja już dostaję świra, potrzebuję odrobiny spokoju. W ogóle mnie nie słuchają, nigdy! Tylko mi rozkazują albo wiecznie mają o coś pretensje. Mama zapytała, co chcę dostać na Gwiazdkę i powiedziałam, że zatyczki do uszu, żebym nie musiała słuchać tego ich ciągłego gładzenia!

– Aha. – Bea nie bardzo wiedziała, co odpowiedzieć, lecz na myśl, że zobaczy syna, jak zwykle ogarnęło ją podekscytowanie. Takie niezapowiedziane wizyty nie zdarzały się praktycznie nigdy. Zazwyczaj widywali się przy wcześniej ustalonych okazjach. Czekala więc, usiłując zrozumieć, co mogło się wydarzyć. Najwyraźniej Flora miała jakiś problem, ale na razie Bea nie wiedziała jaki.

Otworzyła szeroko drzwi i przyglądała się wnuczce. Wyglądała ślicznie w obciętych na szorty džinsach podkreślających jej długie nogi i luźnej, różowej koszulce, spod której wystawał sportowy staniczek. Przechodziła właśnie typowy dla trzynastolatki okres metamorfozy, w którym, choć jeszcze gdzieś uroczo zaokrąglona po dziecięcemu, jej ubiór, wygląd i zachowanie zdradzały już młodą kobietę, którą tak niecierpliwie chciała się stać.

– Mogę wejść? – Flora wskazała wzrokiem korytarz w głębi.

– Tak, tak, oczywiście. Przepraszam cię, skarbie, jestem tylko trochę zaskoczona.

– Mama mówiła, że będziesz. I żebym się nie zdziwiła, jeżeli jesteś zajęta. – Flora przystanęła w pół kroku. – Jesteś zajęta?

– Nie, ależ skąd. Nie mam nic do roboty i bardzo, bardzo się cieszę, że przyjechaliście! – Roześmiała się, trochę jednak dotknięta wiadomością, że Sarah próbowała wyperswadować Florze odwiedzin.

– Nie byłam tu całe wieki! – krzyknęła Flora ze szczytu schodów.

– Rok – potwierdziła Bea.

– Cześć, mammo. – Wyatt kilkoma susami pokonał schody do drzwi. Bea jak zwykle obrzuciła jego twarz i sylwetkę czujnym spojrzeniem, szukając oznak radości, zmęczenia lub choroby, jak zawsze, odkąd po raz pierwszy wzięła go na ręce.

– Wyatt, tak się cieszę! Sarah nie ma z wami? – Zerknęła w głąb alejki za jego plecami.

– Nie. – Z trudem łapał oddech, znacznie mniej od niej przyzwyczajony do wdrapywania się po stromym zboczu.

– Aha. No to wchodź, proszę. – Bea ukryła szybki przebłysk radości na wiadomość, że Sarah nie przyjechała. To jej dawało przewagę.

Wyatt minął ją i ruszył schodami na górę. Bea patrzyła, jak wspina się po dwa stopnie naraz. Podążyła za nim i natychmiast skierowała się do czystej, skromnie urządzonej kuchni, żeby nastawić wodę na herbatę.

– Mówiłam właśnie Florze, że nie było was tu od roku.

– Tak długo? Niemożliwe. – Wyatt stał w kwadratowym holu i spoglądał na matkę z wyrazem najszczerzego niedowierzania na twarzy, jakby coś pokręciła.

Bea rozumiała, że Wyatt i Sarah, oboje w jej oczach jeszcze całkiem młodzi przy swoich trzydziestu czterech latach, prowadzili tak zaganiane i intensywne życie, że łatwo im było stracić poczucie czasu. Ona zaś w myślach odfajkowywała każdy kolejny dzień w oczekiwaniu, chociaż sama nie wiedziała na co. Skinęła głową.

– Tak, tak. Dwa razy byłam u was w Manly, ale wy ostatni raz przyjechaliście tu dwudziestego listopada. To była piękna, słoneczna środa i pamiętam wszystko w najdrobniejszych szczegółach. Dzień pogrzebu dziadka.

Wyatt spuścił wzrok i Bea dostrzegła u niego rumieniec zażenowania na twarzy, że nie skojarzył.

– Za to jesteście teraz i sprawiliście mi tym bardzo miłą niespodziankę – dorzuciła szybko, nie chcąc zepsuć wizyty narzekaniem i pretensjami.

– Skoczę tylko na chwilę do łazienki – oznajmił i skierował się w głąb korytarza.

– Proszę bardzo. Znasz drogę.

Bea przeniosła się do salonu. Flora stała przy oknie i obserwowała ruch na Reservoir Street. Jej plecak leżał pośrodku rzucony niedbale na dywan.

– Straszny tu hałas – zauważyła, odwracając się od okna.

– Trochę tak. Ale ja się przyzwyczałam i nawet to lubię. Lubię świadomość, że dookoła żyją inni ludzie i lubię też słyszeć, jak sobie rozmawiają. Nie uwierzyłabyś, co tu czasem do mnie dolatuje! – Mrugnęła porozumiewawczo do wnuczki.

– Co? – Flora podniosła głowę i przypatrywała się babci, kręcąc młynka stopą obutą w trampki.

Bea usiłowała przypomnieć sobie jakąkolwiek rozmowę, która nie byłaby sprośna, agresywna lub nieprzyzwoita, ale wszystkie zwyczajne, a więc nadające się do powtórzenia historie całkiem wyleciały jej z głowy.

– Ooo, tak lepiej. – Wyatt wszedł do pokoju. Bea zauważyła niezadowolony grymas na twarzy Flory. – Przepraszam, mammo, że tak wpadliśmy bez zapowiedzi, ale nic lepszego nie przyszło mi do głowy. – Przeczesał palcami rzedniejące włosy, próbując odgarnąć je z twarzy. Dwa uparte kosmyki opadły jednak z powrotem, tworząc małe serduszko na ogorzałym od słońca czole.

– Nie opowiadaj głupot. Zawsze jesteście tu mile widziani. Wiesz przecież. – Bea próbowała pozbierać myśli. Już zapomniała, jak to było, gdy Wyatt przychodził do niej

w potrzebie i ogarnęło ją nagle uczucie euforii. W głowie kłębiły jej się setki pytań. Czyżby pokłócili się z Sarah? Może ktoś z nich jest chory? Albo jakieś kłopoty finansowe?

– Mówiłam mu. – Flora podeszła bliżej i objęła ją w talii.

– Bardzo słusznie. – Bea lekko odwzajemniła uścisk, nieco onieśmielona tak ostentacyjnymi oznakami czułości. Trzymając dziewczynę w ramionach, poczuła, że do oczu nabiegają jej łzy. Zakasłała i przeniosła uwagę na syna.

– Zrobię herbatę.

– Świetnie. – Ziewnął Wyatt.

– Nie jesteście głodni? Mam sałatkę z *quinoa* i kilka dorodnych awokado. Są doskonałe z pieprzem i cytryną. Macie ochotę? – Odkąd się urodził, miała odruch dokarmiania syna przy każdej okazji.

Wyatt podniósł rękę, jakby urażony pomysłem, że miałby u niej jeść.

– Ja dziękuję. Ale pomogę ci przy herbacie. – Ruchem brody wskazał na kuchnię.

Bea nieznacznie skinęła głową i wyplątała się z objęć Flory.

– Tata i ja pójdziemy zrobić herbatę. Chcesz sobie w tym czasie pograć na komputerze?

Flora potrząsnęła głową i z zadowoleniem wyciągnęła iPada z plecaka.

W kuchni Wyatt oparł się o zlew z założonymi rękami.

– Przepraszam cię za to najście.

– Jakie znowu najście? Już mówiłam, że zawsze bardzo się cieszę na wasz widok. Proszę cię.

– Sarah jest na skraju załamania i nic innego nie przyszło mi do głowy.

Bea położyła dłoń na blacie, jakby potrzebowała oparcia. Serce waliło jej szybko.

– Wyatt, co się dzieje?

Zawahał się, najwyraźniej szukając odpowiednich słów.

– Flora została zawieszona w szkole – wyszeptał i pokręcił głową, jakby nadal nie mieściło mu się to w głowie. – Grozi jej wydalenie na stałe.

– Dlaczego, na Boga? – Bea obejrzała się na stojącą w salonie słodką dziewczynkę z burzą karmelowych włosów i niewinnym uśmiechem na buzi, która tak przymilnie tuliła się do niej przed chwilą.

Wyatt uniósł ramiona, a potem pozwolił im opaść. Wydawało się, że nie wie, od czego zacząć.

– Była już upominana...

– Z jakiego powodu?

– Przeszkadzanie w lekcjach, pyskowanie. Takie tam. – Wyatt nie odrywał oczu od podłogi.

– Niemożliwe. Nie wierzę. Flora? To w ogóle do niej niepodobne.

– Z początku też tak myśleliśmy. – Wyatt podniósł głowę. – Ale okazuje się, że to trwa już od jakiegoś czasu. A dzisiaj, wyobraź sobie, doszło do tego, że napadła na jakiegoś chłopca.

– Napadła? – powtórzyła Bea trochę głośniejszym głosem, niż zamierzała i bezwiednie przyłożyła sobie rękę do piersi.

– Tak. Pobiła go do krwi – szepnął wstrząśnięty i zawstydzony. – Ma szczęście, że nie zdecydowali się wezwać policji.

– Co takiego? Nie, to jakieś zupełne brednie!

Wyatt potarł się po nieogolonym podbródku.

– To samo powiedziałem, jak to usłyszałem. Ale potem przeczytałem list, który nam przysłali. Sarah pojechała po nią w przerwie obiadowej i zrobiła się awantura u dyrektora. Przyjechałem do domu i szlag mnie po prostu trafił. Mówię ci, aż się we mnie gotuje. Nawet nie

tylę przez nią, co przez całe to zamieszanie. – Położył ręce na biodrach. – Flora powiedziała, że chce się przenieść do ciebie, a Sarah wrzasnęła na nią, że tak będzie lepiej. Nie wiem, co zrobić, mamo, ale może dobrze by nam zrobiło, gdybyśmy mogli trochę od siebie odpocząć. Nie chcę, żebyś myślała, że ci ją zwałam na głowę, nie czuj się do niczego zobowiązana. Zabiorę ją do domu, jeżeli nie masz ochoty...

– Nie! Bardzo się cieszę, że zostanie u mnie. Może uda mi się zrozumieć, co tam się wydarzyło. To do niej niepodobne, Wyatt. Pewnie każdy rodzic tak mówi w takiej sytuacji, ale przecież my *znamy* Florę. Wiemy, że jest słodka i miła.

Wyatt skrzywił się.

– Kilko rodziców powiedziało Sarah, że nie życzą sobie, żeby ich dzieci się z nią zadawały. Usłyszeć coś takiego... – Zaciął szczęki i głos uwiązł mu w gardle. – Ty zawsze umiałeś utrzymać mnie w ryzach. – To było w jego ustach rzadkie wyznanie, swego rodzaju komplement.

– Trzeba przyznać, że to nie było trudne. Nigdy tak naprawdę nie sprawiałeś kłopotów, o ile nie liczyć chomika pani Dennis. Biedulek. – Uśmiechnęła się ciepło do syna.

– Niczego mi nie udowodniono i tej wersji będę się trzymał! – Zaśmiał się niewyraźnie, po czym spoważniał znowu. – Jesteśmy z Sarah naprawdę u kresu sił.

– Wyobrażam sobie. Wracaj do domu i prześpij się z tym, kochanie. Jak się człowiek wyśpi, to wszystko lepiej wygląda. Niech tu na razie zostanie. Znajdę jej zajęcie, a potem zobaczymy.

Flora stanęła w progu.

– To jak, mogę zostać?

Bea nie wiedziała, ile usłyszała z ich rozmowy.

– Oczywiście, kochanie, na jedną lub dwie noce. Ale potem będziesz musiała wracać do rodziców.

– A co, jeżeli nie będę chciała wracać? Już nigdy? – spytała Flora hardo, wytrzymując ojcowskie spojrzenie.

– Cóż, moja droga, w takim wypadku, jak to mówimy w branży, to twój pasztet, bo masz trzynaście lat i nie decydujesz o tym, gdzie mieszkasz. – Bea wbiła w syna twardy wzrok.

– Za kilka tygodni skończę czternaście!

– Nawet gdybyś miała całe piętnaście, to niczego nie zmienia – skwitowała Bea.

– Nie pozwól jej brać telefonu ani iPada do łóżka – wtrącił Wyatt. – Bo inaczej będzie grała przez pół nocy.

– Matko, nawet w więzieniu ludzie mają więcej swobody niż ja z wami – zawyła Flora.

– To chyba dobra wiadomość, bo zważywszy na to, jak sobie poczynasz, niedługo będziesz miała okazję przekonać się osobiście – przyciął jej Wyatt ostro.

Bea skinęła głową i spojrzała na wnuczkę, której zaszkliły się oczy.

– Wszystko będzie dobrze, kochanie. Nie płacz.

– Nie płaczę – wymamrotała Flora, a łzy spłynęły jej po policzkach. Wyatt postąpił do przodu, żeby ją przytulić, ale ona odwróciła się, wpadła do łazienki i zamknęła drzwi na zasuwkę.

Bea odprowadziła syna do wyjścia i patrzyła, jak schodzi w dół Reservoir Street przygarbiony, z rękami w kieszeniach. Wróciła na górę i zastukała do drzwi łazienki.

– Flora, napijesz się gorącej czekolady?

– Tak – zagulgotała Flora, pociągając nosem.

Wyszła w końcu, ale przystanęła niepewnie w holu, nie mogąc zapanować nad czkawką. Bei ścisnęło się serce na jej widok tak przygnębionej.

– Zrobimy sobie po kubku pysznego kakao, usiądziemy na kanapie i pogadamy jak za dawnych czasów. Co ty na to?

Flora kiwnęła głową.

– Nie chcesz napisać do mamy albo taty i powiedzieć im, że czujesz się lepiej? Tata na pewno się martwi, dość kiepsko wyglądałaś, kiedy wychodził. – Bea, jak zwykle, myślała w pierwszej kolejności o Wyatcie, chcąc oszczędzić mu niespokojnej nocy.

– Napiszę do nich rano. Traktują mnie, jakbym była dzieckiem, ale ja już nie mam sześciu lat. Moje urodziny są pod koniec grudnia, więc mam już w zasadzie czternaście.

– Wiem, kochanie. Ale cały dowcip polega na tym, że wszystko jedno, czy twoje dziecko ma lat sześć, czternaście czy trzydzieści, martwisz się o nie dokładnie tak samo. Możesz mi wierzyć na słowo.

– Oni potrafią tylko albo się o mnie martwić, albo na mnie wrzeszczeć. – Głos Flory złagodniał, a w miejsce złości pojawiła się nutka żalu. Bea przypuszczała, że tylko udawała krnąbrną przed Wyattem, bo wydawało jej się, że tak wypada.

– Kochają cię i tyle. – Bea się uśmiechnęła i wyjęła z lodówki ciasteczka z wiśniami do pogryzania z kakao.

– Kazali ci tak powiedzieć? – Flora owinęła ramiona wokół swej smukłej postaci. Gęste, równo przycięte włosy rozsypały się na jej odsłoniętych ramionach.

– Nie, ale nawet gdyby, to i tak bym to powiedziała, bo taka jest właśnie prawda.

– Ty też byłaś taka surowa dla taty? W ogóle nie potrafię sobie tego wyobrazić, jesteś taka fajna.

– Kim też tak mówi. Ale najśmieszniejsze w tym wszystkim jest to, że moim zdaniem jestem tu najmniej fajną osobą ze wszystkich. Jestem staroświecka i nic nie pojmuję z tych nowych technologii.

– I tak jesteś fajna, babciu. No i mieszkałaś w Londynie, a to jest superfajne.

– Mój Boże, kiedy to było? Dokładnie to w Surrey, a nie w samym Londynie. To był inny świat. – Bea przypomniała sobie niespieszny rytm życia pośród wzgórz Epsom Downs i zaciszną atmosferę miejscowości, w której jej rodzice znali absolutnie każdego, więc żaden wybryk czy przewinienie nigdy nie mogły się ukryć. Uśmiechnęła się na myśl o Diane, swojej ukochanej, starszej siostrze. Nie były tylko siostrami, ale też najlepszymi przyjaciółkami. – Zapewniam cię, że gdy czasem urywałyśmy się z siostrą do miasta, żeby przesiadywać w zatłuszczonej, pełnej dymu knajpie, nie miałyśmy wrażeń, że używamy życia. Zamawiałyśmy jedną porcję grzanek na pół i przemarznięte do kości rozmyślałyśmy, co ze sobą zrobić.

– Widziałaś kiedyś na żywo jakiś znany zespół? – zapytała Flora z rozwartymi szeroko oczami. Sama była fanką 5 Seconds of Summer, ze szczególną słabością do perkusisty Ashtona.

Bea ustawiła kubki i talerze na tacy i zamyśliła się.

– Nie, nigdy nie grali w naszej kawiarni. – Mrugnęła wesoło. – Ale znam krawca, który zdjął miarę na garnitur dla Micka Jaggera. Liczy się?

– To jeden z Beatlesów? – zapytała Flora.

– Ha, ha. Nie, ale podejrzewam, że się z nimi kumplował.

– Coś jak 5 Seconds of Summer i One Direction?

– Pewnie tak. – Bea wrzuciła do każdego kubka dużą garść drobnych pianek cukrowych, nie mając pojęcia, o czym jej wnuczka mówi.

Flora wybuchnęła śmiechem, który jednak szybko przerodził się w płacz i próbowała pohamować się, ocierając oczy i usta wierzchem dłoni.

– O, moja kochana! Co się stało, skarbie?

– Nic. Przepraszam – załkała Flora.

– Nie ma za co. Chodź. Chodź tutaj, usiądziemy sobie. – Bea wzięła dziewczynę za rękę i powiodła ją do salonu.

Nastał łagodny wieczór, a ciepły wiatr od morza wpadający przez szeroko otwarte dwuskrzydłowe drzwi w rogu pokoju przynosił na poddasze dalekie odgłosy Surry Hills. Bea uśmiechnęła się, pochwyciwszy tęskne dźwięki hiszpańskiej gitary, gwar roześmianych dziewcząt i rozmowy mężczyzn przechadzających się pośród drobnych knajpek, których całe mnóstwo otworzyło się ostatnio w okolicy. Wystarczyło tylko wyjść z domu, żeby znaleźć się w gastronomicznej krainie obfitości oferującej wszystko: od tradycyjnej kuchni wietnamskiej lub meksykańskiej po organiczne burgery domowej roboty. To była najlepsza dzielnica w całym Sydney.

Od śmierci Petera wprowadziła w domu bardzo niewiele zmian, chcąc zachować wokół siebie przedmioty, na które patrzył i których dotykał. Podobnie jak kawiarnia na dole, poddasze także nosiło ślady swej industrialnej przeszłości. Największą radość sprawiła jej kiedyś Kim, która orzekła, że nie sposób odgadnąć, kto tutaj mieszka – równie dobrze mógłby to być ktoś w wieku dwudziestu, jak i osiemdziesięciu lat. Bea zaznaczyła wtedy, że do osiemdziesiątki sporo jej jeszcze brakuje, chociaż jej stawom należało już o tym systematycznie przypominać.

Na podłodze w salonie leżał dębowy woskowany parkiet pokryty szparami i wgnieceniami z czasów, gdy dźwigał na sobie ciężkie, przemysłowe maszyny i meble biurowe. Nad obszerną kanapą z czarnej skóry pod białą ścianą wisiało olbrzymie, orientalne malowidło na płótnie. Obraz zawsze kojarzył się Bei z pochyloną wierzwą płaczącą, ale w rzeczywistości składał się z płataniny przypadkowych linii i maźnięć w odcieniu szafwiowej zieleni, która jedynie z daleka mogła przypominać drzewo. Naprzeciwko drzwi balkonowych stały oryginalny szezlong i krzesło „Eames” obite szkarłatną skórą i przykryte białą futrzaną narzutą. Tuż obok znajdował się smukły, chromowany teleskop, doskonały do nocnych obserwacji gwiazd. Pomimo nowoczesnego wystroju wnętrze tchnęło ciepłem i przytulnością dzięki szarym i musztardowym kocom na oparciach kanapy i świeczkowym lampionom rozmieszczonym w kątach, które spowijały pokój nastrojowym światłem. Na szklanym stole o nogach z drewnianych belek piętrzył się stos czarno-białych książek o różnej tematyce: od sztuki rękodzieła po połów ryb głębinowych.

Na ceglanej ścianie w kącie pomiędzy kanapą a kominkiem wisiały trzy czarno-białe zdjęcia oprawione w ramki. Jedno z nich przedstawiało Wyatta i Sarah w dniu ślubu, na którym Sarah cieszy się, jakby wygrała szóstkę na loterii. Na innym widniał Peter na pikniku w Ogrodzie Botanicznym, opalony i radosny, z kieliszkiem wina w dłoni. Trzecie to było zdjęcie szczupłutkiej jak żrebak Flory zrobione na jachcie Wyatta kilka lat temu, kiedy jeszcze czuła się swobodnie w swej dziecięcej skórze i w rybackim kapeluszu ojca dumnie szczyrzyła do obiektywu przysłonięte aparatem zęby, bez tego skrępowania i niepewności, jakie towarzyszyły jej teraz. Za każdym razem, kiedy Bea podnosiła głowę, jej wzrok padał na ukochane twarze, dzięki czemu zawsze mogła być w myślach blisko nich. Natomiast Wyatt i Sarah potrafili zapomnieć o niej na całe tygodnie, a może nawet miesiące, jeżeli wziąć pod uwagę częstotliwość kontaktów z ich strony. Chyba że była im do czegoś potrzebna, tak jak teraz.

– Przyniosę kakao. Rozłóż się wygodnie. – Bea uśmiechnęła się do Flory.

– Dzięki, babciu.

Bea przystanąła w progu niezdecydowana.

– Jedna sprawa: mogłabyś nie nazywać mnie „babcią”? To brzmi potwornie staro. Może mówiłabyś mi po prostu po imieniu?

– Okej – zgodziła się Flora. – Jeżeli tak wolisz.

– Wolę.

– Dlaczego nic nie powiedziałaś nigdy wcześniej?

– Nie było okazji. Zawsze obok stoi twój ojciec, który zaraz miałby na ten temat coś do powiedzenia i uznałby mnie za starą, zwariowaną hipiskę.

To była prawda i Flora uśmiechnęła się zadowolona z powierzonego jej zaufania. Poczula się przez to prawie jak dorosła.

Bea zniknęła na chwilę w maluteńkiej kuchni i wróciła, niosąc białą laminowaną tacę z dwoma białymi kubkami i talerzem bladżółtych ciasteczek upstrzonych pąsowymi piegami, z których rozchodził się cudowny, wiśniowy zapach. Postawiła wszystko na stoliku do kawy.

– Chodź, usiądź tu. – Poklepała kanapę obok siebie.

Flora opadła na poduszki i westchnęła głęboko.

– Fajny jest ten pokój.

– Mój mały raj na ziemi. – Bea się uśmiechnęła i objęła kubek obiema dłońmi. – Spróbuj ciasteczek Kim.

– Nie, dziękuję.

Bea dostrzegła, że Flora jednocześnie położyła sobie rękę na płaskim brzuchu, jakby na przypomnienie, że ma unikać słodczy. Sama już nie pamiętała, jak to jest mieć twardy, płaski brzuch. Nie była gruba, wręcz przeciwnie, ale z wiekiem skóra przestała już ciasno przywierać do mięśni i, jakby w cichej zмовie z grawitacją, zaczęła się fałdować i ciążyć ku dołowi.

– Może później – odparła pogodnie.

Flora przewróciła oczami, jakby ta uwaga przypomniwała jej zrzędenie matki.

– Może.

Bea pociągnęła łyk z kubka.

– Możesz tu zostać tak długo, jak zechcesz, kochanie. Wiesz o tym. O ile rodzice nie mają nic przeciwko temu.

Flora kiwnęła głową.

– Dzięki. – Posłała Bei szeroki uśmiech pełen słodczy. Taką właśnie Florę Bea знаła, a nie roziskrzony kłębek nerwów, jaki pojawił się u niej w progu kilka godzin wcześniej.

– Pójdę otworzyć świetlik w gabinecie, rozłożę ci materac i zapalę lampkę. Będziesz tam miała wygodnie.

– Miło tu u ciebie, ba... Bea. Tak przytulnie. – Flora zsunęła z nóg klapki i zwinęła się na kanapie.

– Dziękuję. Mnie też się podoba. Nawet po dwudziestu latach nie mam za bardzo ochoty niczego tu zmieniać. – Bea zapatrzyła się z uśmiechem w Reservoir Street za oknem. – I pomyśleć tylko, że mogło nas tu nie być. Mogliśmy zamiast tego zostać z dziadkiem w Mollymook, daleko stąd.

– Wtedy, kiedy dziadek przeszedł na emeryturę?

– Tak. Jak twój tata miał kilkanaście lat, dziadek przeszedł na wcześniejszą emeryturę, sprzedaliśmy firmę i przeprowadziliśmy się na południe, do Mollymook. Nie byłaś tam nigdy, prawda?

Flora pokręciła głową. W ogóle niewiele wiedziała o młodzieńczych latach swojego ojca.

– Spodobałoby ci się. Są tam delfiny i wieloryby, i przepiękny naturalny basen do pływania wyłobiony w skałach, który nazywa się Bogey Hole. Ale się wtedy cieszyliśmy. Pracowaliśmy na to przez długie lata. Marzyło nam się mieszkanie na plaży, partyjki golfa i świeże rybki co wieczór na kolację. – Oczy Bei załśniły od wspomnień. – Ale gdzieś po miesiącu dziadek zrobił się nerwowy, nie mógł się zrelaksować, dosyć miał tego golfa. Był dzieckiem miasta i nie potrafił żyć z dala od zgiełku.

– A ty? Nie chciałaś zostać na plaży? – Flora nastawiła uszu zaciekawiona, bo знаła te

wydarzenia jedynie w wersji rodziców, którzy lubili na przyjęciach opowiadać, jak to dziadkowie wynieśli się na starość na plażę i wytrzymali zaledwie parę tygodni.

– I zwinęli żagle. – Parskał jej ojciec, potrząsając głową, jakby to była jakaś żalсна porażka.

– Ja chciałam, żeby Peter był szczęśliwy. W dniu, kiedy wypowiedział umowę najmu domu w Mollymook, jego ruchy nabrały takiej sprężystości i werwy, jakiej nie widziałam u niego już dawno. Ale pojawił się problem, gdzie mamy się przenieść. Sprzedaliśmy już wtedy dom przy Melville Terrace, więc do Manly nie było dla nas powrotu. Ale dziadek miał wszystko przemyślane. Nigdy nie pozbył się tego zakładu. – Bea podniosła wzrok na metalowy szkielet wysokiego, skośnego sufitu. – To było jakieś naturalne, żeby zamieszkać w mieście, gdzie wszystko się zaczęło, gdzie się poznaliśmy.

– Ale czad! – Flora patrzyła na babcię z nieklamany szacunkiem. – Fajnie tak zrobić sobie dom praktycznie od zera. Skąd wiedziałaś, od czego w ogóle zacząć?

– Masz rację, to było prawdziwe wyzwanie, przerobić biura i magazyny na przestrzeń mieszkalną. A potem założyliśmy Kuchnię... – Bea znowu napiła się czekolady, rozkoszując się słodczą miękki, roztopionych pianek cukrowych na podniebieniu. – Wielu ludzi twierdziło, że zupełnie upadliśmy na głowę. Zamiast spokojnie wylegiwać się nad oceanem albo spacerować po polach golfowych, my ganialiśmy w roboczych kombinezonach i wymachiwaliśmy młotkiem! Może faktycznie trochę nam odbiło. – Bea się roześmiała. – W sumie to nawet nie „może”.

– A dlaczego otworzyliście kawiarnię? – Chciała wiedzieć Flora.

Bei prawie niezauważalnie drgnęła powieka. *Bo brakowało mi gotowania dla dużej gromady ludzi wokół stołu. Chciałam podawać bliskim posiłki przyrządzone z miłością, które potrafiłby docenić, a nie miałam wielkiej, kochającej się rodziny, o której zawsze marzyłam.*

– Kto by nie chciał prowadzić kawiarni? To świetna zabawa!

– No tak. Ale też ciężka praca. – Flora puściła oko, a Bei wydało się, że to kolejny cytat z zasłyszanych od ojca komentarzy na temat ekscentrycznych pomysłów jego matki, jedynej znanej mu kobiety, która dobrowolnie postanowiła tyrać jak dziki osioł do końca swoich dni.

– A ja myślę, Flora, że to wielki luksus, kiedy możesz robić coś, bo tego chcesz, a nie dlatego, że musisz. Nie uważasz?

– Pewnie tak. – Flora skinęła głową, nie do końca pewna, czy dobrze rozumie. – Mieszkanie jest fantastyczne, nawet jeżeli przy otwartych drzwiach robi się trochę głośno. Jest super!

– Dziękuję ci, miło mi to słyszeć. To zabawne, że moja babcia wydawała mi się taka stara, a miała przecież wtedy mniej lat niż ja teraz. – Uśmiechnęła się na wspomnienie swej nieżyjącej babci z czasów, gdy wszyscy jeszcze mieszkali razem w Anglii. – Miała niewielki, edwardiański domek w Surrey przy wzgórzach Epsom Downs...

– Czyli z Surrey w Anglii trafiłaś do Surry Hills w Australii! Sprytnie pomyślane!

Bea popatrzyła na swoją wesołą, bystrą wnuczkę z rozbawieniem.

– Powiem ci, kochana, że trudno sobie wyobrazić dwa bardziej odmienne światy! – Zachichotała. – Okolica, w której mieszkała moja babcia w Epsom Downs, słynęła z wyścigów konnych. Zwykle szkolili konie bardzo wcześnie rano i pamiętam, że bardzo lubiłam przyglądać się, jak galopują w porannej mgle ze spuszczoneymi łbami, puszczając kłęby pary. To był dopiero widok. Ale nie przepadałam za domem mojej babci: był taki archaiczny, pełen frędzlowatych lamp, ciężkich, rzeźbionych złoceń, kiczowatych poduszek i makatek z wyhaftowanymi psami. Wyobrażasz sobie? I wszędzie unosił się zapach naftaliny. Od razu miało się ochotę otwierać tam okna, zawsze panował koszmarny zaduch.

– Uuu, brzmi słabo. – Flora się uśmiechnęła.

Bea się zaśmiała. Podobała jej się ta niewinnie szczerą reakcją. Przez chwilę obie tylko popijały z kubków w przyjaznym milczeniu.

– Było po prostu inaczej, chociaż zdaje się, że ta moda na staroświeckie motywy kwiatowe na wszystkim co popadnie wróciła jakiś czas temu. Osobiście uważam, że nie ma nic gorszego niż kobiety, co to dobierają sobie suknie i pelerynki pod kolor pojemnika na chleb.

Flora roześmiała się, bo skojarzyły jej się przyjaciółki matki.

– A dlaczego twoi rodzice wyprowadzili się z Surrey i przyjechali tutaj? To znaczy fajnie, że to zrobili, ale nie rozumiem dlaczego.

– Nie wiem, ile opowiedział ci tata. Mój ojciec był pastorem. Mężem Bożym, jak sam mawiał. – *Wyjedziesz i zabierzesz swój wstyd ze sobą. Nie jesteś już moją córką...* Te słowa wyraźnie wryły jej się w pamięć. – Przyjechali z mamą, żeby objąć kościół w Byron Bay, na północy Nowej Południowej Walii.

– A ty nie chciałaś tam z nimi zostać?

– Nie. – Bea nabrała powietrza, czując, że nie jest w stanie kontynuować tej rozmowy. Musiała zmienić temat. – Trochę się o ciebie niepokoję, Flora. Bardzo się cieszę, że tu jesteś u mnie, ale się niepokoję. Nie lubię widzieć cię takiej naburmuszonej jak wcześniej. Tata mówi, że masz jakieś nieprzyjemności w szkole. Nie musisz mi nic mówić, oczywiście, ale jeżeli chcesz, to chętnie wysłucham. Okej?

Flora otuliła kubek obiema dłońmi.

– Okej. Po prostu nie mogłam już wytrzymać w domu... – Przytknęła kubek do ust, by uniknąć dalszych wyjaśnień.

– Miło mi, że postanowiłaś przyjechać tu do mnie. Wyglądasz świetnie. Troszeczkę mizernie, ale i tak świetnie.

Flora zerknęła na babcię spod gęstych rzęs.

– Czy kiedykolwiek zdarza ci się, ba... Bea, że chciałabyś cofnąć albo przyspieszyć czas?

Bea popatrzyła na wnuczkę stojącą u progu życia. W głowie pojawił jej się obraz z jej własnej młodości, kiedy była zaledwie o kilka lat starsza od Flory: wąskie łóżko w zamkniętym pokoju, plastikowa miska do siusiania i zimny, paraliżujący strach przed tym, co się stanie, kiedy nadejdzie czas. *Gdybym mogła, wróciłabym do wtedy. Odszukałabym go. Miałabym więcej siły! Objechałabym cały świat, żeby tylko z nim być i się z nim zestarzeć.* Westchnęła ze świadomością, że nigdy nie zrobiłaby nic podobnego. Musiała pozwolić mu odejść i tak też zrobiła.

– Chyba wszystkim się zdarza – powiedziała cicho. – Do kiedy chciałabyś wrócić?

Flora podniosła wzrok na zdjęcia na ścianie i odrzuciła długie włosy na plecy.

– Nie chcę wracać. Chcę się przenieść w przyszłość.

– Do kiedy?

– Do momentu, kiedy jestem starsza, mam swoje pieniądze w banku i własne mieszkanie i mogę sobie robić to, co chcę. – Wysunęła podbródek do przodu.

– Aha. A co byś sobie robiła w tym swoim mieszkaniu? – zapytała Bea niespokojnie.

Flora zastanowiła się.

– Chodziłabym późno spać, kiedy mi się zachce. Nigdy nie jadłabym warzyw. Miałabym wielką wannę w sypialni, a zamiast tapety okleiłabym wszystkie ściany plakatami 5 Seconds of Summer! I miałabym psa!

– Naprawdę? Psa? – Beę poruszyła prostota odpowiedzi. – Jakiego?

– Buldoga francuskiego. Są przesłodkie. Można je zabierać na spacer albo po prostu trzymać na kolanach i razem oglądać sobie telewizję. Są fantastyczne!

Bea przyglądała się rozpromienionej buzi Flory.

– Na to wygląda.
– I myślę, że jak się ma psa, to tak jakby się miało najlepszą przyjaciółkę, no nie? –
Uśmiech Flory przygasł.

– Chyba tak. – Przecucie podpowiadało Bei, że zbliżają się do sedna sprawy.

Flora zaczęła skubać nitki w swoich obciętych dżinsach.

– Czasem mam wrażenie, że tylko ja jedna czuję się tak, jak się czuję. Jakby wszyscy inni należeli do jakiegoś klubu tych, którzy wiedzą, o co w tym wszystkim chodzi, a tylko ja nie. Czuję się całkiem sama. – Oczy znów zaszły jej łzami.

Bea uścisnęła wnuczkę za rękę.

– Nie jesteś sama, Flora. Masz wokół siebie ludzi, którzy cię kochają i jeżeli tylko mogą ci jakoś pomóc, to wiesz, że zawsze możesz na mnie liczyć. – Z jej strony to już było najdalej posunięte wścibstwo.

– Dzięki, ale nikt nie może mi pomóc. – Flora zamrugnęła gwałtownie, żeby powstrzymać łzy.

Na krótką chwilę zapadła niezręczna cisza.

– Znasz się co nieco na komputerach? – zapytała ostatecznie Bea.

– Raczej tak. – Wzruszyła ramionami Flora. – Jakoś tam sobie radzę.

Bea obrzuciła ją uważnym spojrzeniem.

– Wiesz, jak się wysyła e-mail i takie rzeczy?

Flora odrzuciła głowę na oparcie kanapy i zaczęła się głośno śmiać, na co Bea szybko przypomniała sobie, że rozmawia jednak z trzynastolatką.

– Bab... Bea! Kto dziś nie wie, jak się wysyła e-mail?

– No, na przykład ja. To wcale nie jest śmieszne. Pierwszy raz zobaczyłam komputer na oczy dopiero po czterdziestce i to dziadek zajmował się elektroniką. Strasznie się z tym męczę, próbuję sama jakoś się połapać, ale naprawdę nie wiem, jak się to wszystko zamyka. Boję się, że jak nacisnę jakiś nieodpowiedni klawisz, to wszystko mi się skasuje.

– Nie tak łatwo jest *wszystko* skasować. Gdzie masz laptopa? – Flora zsunęła się na brzeg kanapy, odrzuciła włosy do tyłu i strzeliła kostkami palców.

Bea przyniosła z kuchni komputer i podała wnuczce. Flora otworzyła pokrywę i przez chwilę wprawnie biegała palcami po klawiaturze, po czym jęknęła:

– O rety, masz tu chyba z milion pootwieranych zakładek! – Pokręciła głową i wzniosła oczy do góry, przypominając Bei Wyatta, który często wykonywał ten sam gest.

– Mówiłam ci, że nie znam się na tych technologiach. – Bea przyglądała się, jak Flora klika mały kwadracik i zwija poszczególne strony, cmokając z przyganą.

– Dobra, trochę tu posprzątałam. To całkiem proste, ba... Bea. Musisz tylko wiedzieć, gdzie kliknąć! – Pokiwała głową. – Święteczna Kawiarenka. Ale pootwieralaś linków na ich temat. Nie żeby ich strona była jakoś szczególnie rozbudowana.

– A, tak. – Bea zakasłała, żeby pokryć zmieszanie. – Jedna pani, która to prowadzi, założyła klub i zaprosiła mnie do udziału. Ja tylko klikałam różne zdjęcia i takie tam.

– O rany, spójrz na to! – zawołała Flora z entuzjazmem, tykając palcem ekran. – To ich uliczka, caluteńka w śniegu! Aż się prosi, żeby wleźć i narobić śladów. Wygląda cudownie!

Bea zerknęła na monitor.

– Rzeczywiście! Pod śniegiem wszystko od razu wygląda tak świątecznie.

– Babciu! Patrz, jakie dekoracje na wystawie! – Flora wskazała rozpięte w poprzek całego okna kaskady draperii w szkocką kratę przyozdobione drobnymi, sosnowymi szyszkami i gałązkami wrzosu.

– Śliczne, prawda? Pani McKay wydaje się o wiele bardziej pomysłowa ode mnie. Ja

myślałam, że dziadkowe lampki to już wielka pompa, ale spójrz tylko na to!

Flora kliknęła link „Najlepsze babeczki na Gwiazdkę”.

– O, mam. Mogłabym zjeść wszystkie za jednym zamachem!

Przez chwilę obydwie zachwyciły się wykwintnymi muffinkami z połyskliwą czapą białej polewy, w której nurzały się gwiazdziste listki i jagódki ostrokrzewu lub malutkie figurki świętego Mikołaja z lukru. Na obrzeżach srebrnej patery brykały lukrowe renifery połączone nitkami waty cukrowej z saniami, na których piętrzył się stos prezentów i paczek. Precyzyjność i sztuka wykonania zasługiwały na najwyższe uznanie. Dekorację zrobił pan Guy Baudin odpowiadający za estetyczną oprawę w Plum Patisserie w Mayfair, która została uznana za kawiarnię tygodnia.

– Ho, ho, wysokie progi – stwierdziła Bea. – Mayfair to bardzo ekskluzywna dzielnica.

– Ty też mogłabyś zostać kawiarnią tygodnia! – zachłysnęła się Flora. – Co byś pokazała na swoim profilu?

Bea zastanowiła się.

– Hmm, nie wiem. Może mój słynny mus czekoladowy?

Flora zmarszczyła nos i zawahała się.

– Myślę, że powinniśmy naradzić się z Kim.

Bea parsknęła śmiechem.

– Okej, zrozumiałam!

Flora przewijała stronę, przebiegając wzrokiem prezentacje innych kafejek.

– O, spójrz na to! – Wskazała Bea. – Kaffehaus Lohmann w Osnabrück czy jak tam.

Popatrz na ten tort truskawkowy! Aż czuć jego zapach.

– Kiedy dowiedziałas się o tej stronie? – zapytała Flora.

– Po tym, jak dostałam list od pani, która to prowadzi. Klikałam różne rzeczy, żeby znaleźć forum, o którym pisała, ale potem nie umiałam wrócić. Zaraz, gdzie ja go mam...?

Bea włożyła okulary i zagłębiła rękę w skórzanym plecaku. Wyciągnęła kopertę i podała ją Florze, która unieruchomiła sobie laptop na kolanach i sięgnęła po list. Zanim otworzyła, uważnie obejrzała znaczek i pieczętkę.

– Szkocja! Śliczny znaczek.

– Prawda? Też tak uważam. Kim twierdzi, że ta kobieta jest na pewno gruba i uwielbia koty.

– Ciekawe. Moja pani w szkole lubi koty, ale powiedziałam jej, że ja wolę psy...

– A konkretnie buldogi francuskie – wtrąciła Bea.

– Właśnie! – Flora rozjaśniła się uszczęśliwiona, że ktoś jej wreszcie słucha. – Może dlatego tak mnie nie cierpi.

– Twoja pani? Coś ty, na pewno tak nie jest!

– Czy Edynburg jest daleko od Londynu? – Flora zmieniła temat.

– Nie, skądże – zakpiła Bea. – Raptem jakieś sześćset pięćdziesiąt kilometrów.

– Czyli nie tak daleko.

Bea uśmiechnęła się, spoglądając na wnuczkę, która urodzona i wychowana w Australii miała zupełnie inne poczucie odległości niż ona ze swym drobnowyspiarskim pochodzeniem. Cóż to jest siedem godzin drogi samochodem w kraju ponad trzydziestokrotnie większym niż cała Wielka Brytania?

– Jak myślisz, dlaczego nazwała swoją kafejkę Świąteczna Kawiarenka? A może zmienia nazwę, kiedy Boże Narodzenie się kończy? I staje się na przykład Wielkanocną Kawiarenką? – Florze rozbłyły oczy. Najwyraźniej podobał jej się ten pomysł.

– O! Wielkanocna Kawiarenka. To byłoby dobre! W jadłospisie sama czekolada, od góry

do dołu. Wyobrażasz sobie? – Bea dopiła resztkę swojego kakao. – Mogłabyś wysłać jej e-mail w moim imieniu?

– Pewnie, masz adres?

– Tak, jest na kopercie. – Bea wysunęła palec.

– Nie. – Flora zachichotała. – Adres internetowy. Nie ma problemu, wyszukam sobie na stronie.

Bea otuliła się mięciutkim szalem z szarej wełny i patrzyła, jak Flora biegle stuka po klawiszach. Była pod wrażeniem jej zręczności i obozności. Pomyślała o czasach, kiedy sama miała trzynaście lat i razem z siostrą Diane wymyślały zabawy polegające na ukrywaniu przed sobą różnych rzeczy w ogrodzie albo pisaniu spektakli, które potem wystawiały przed rodzicami. A najbardziej lubiły śpiewać podczas listy przebojów Top 40 w każdą niedzielę wieczorem i nagrywać ją na radiomagnetofon, usiłując jak najdokładniej utrafić z pauzą w przerywniki, gdy następowały zapowiedzi spikera. Potem przez cały tydzień na okrągło odsłuchiwały kasetę, aż do następnej niedzieli, kiedy to cały proces powtarzał się na nowo. To był zupełnie, zupełnie inny świat.

– W porządku. Ty dyktuj, a ja będę pisać. Nie jestem jakoś szczególnie mocna z ortografii, ale potem sprawdzimy pisownię.

– O, akurat ortografię *ja* mam w małym palcu. Wychodzi na to, że tworzymy razem doskonały zespół. – Bea puściła oko. – No więc tak... – Zastanowiła się, co chce napisać. – „Szanowna Pani...”

Flora prychnęła drwiąco.

– To nie brzmi zbyt przyjaźnie. Musisz sobie wyobrazić, że gadacie razem przez telefon. Mama zawsze tak mówi.

– O, przydatna wskazówka. Dobrze... – Bea wzięła oddech i zaczęła ponownie: – „Słuchaj, Alex, wsadziłam twój list do torebki...”

Flora opadła na oparcie z rękami skrzyżowanymi na piersi i śmiała się serdecznie.

Bea zawtórowała jej zadowolona, że udało jej się rozweselić wnuczkę.

– Co ci się nie podoba? – zapytała.

– Nie wiem, to po prostu jakoś śmiesznie brzmi!

– Do głowy by mi nie przyszło, że to taka sztuka. – Bea zasępiła się.

Flora wyprostowała się, odgarnęła włosy za uszy i ułożyła sobie laptopa równo na kolanach. Sprawiała teraz wrażenie znacznie starszej niż swoje trzynaście lat.

– Mam pomysł. Wyobraź sobie, że Alex stoi tutaj i zwyczajnie sobie rozmawiacie, a ja będę pisać i potem ewentualnie coś pozmieniamy, jeżeli będzie trzeba.

Bea skupiła się, po czym niespiesznie zaczęła dyktować słowa, które chciała przekazać właścicielce kawiarenki w Szkocji. *Szkocja...* Przyglądała się, jak palce Flory wprawnie uwijają się po klawiaturze.

– Możesz mi przeczytać?

Flora odkaszlnęła.

– „Witaj, Alex, bardzo dziękuję za niezwykle sympatyczny list. Wzbudził tu u nas niemalą sensację, bo rzadko się teraz dostaje prawdziwe listy pisane odręcznie. A szczególnie wszystkim nam spodobał się znaczek. Zajrzałam na Twoją stronę internetową i jestem zachwycona babeczkami z Plum Patisserie. Muszę też przyznać, że na widok tortu truskawkowego z Osnabrück (czy to gdzieś w Austrii?) aż mi ślinka napłynęła do ust. Nasza kawiarnia jest zupełnie inna. Kuchnia Reservoir Street, nazwana tak od ulicy, przy której mieszkamy, to lokalna kawiarenka dla okolicznych mieszkańców. Założyliśmy ją z mężem dwadzieścia lat temu. Podajemy świeże potrawy przyrządzone z sercem. To takie miejsce,

w którym każdy może poczuć, że ma rodzinę i przyjaciół, nawet jeżeli w rzeczywistości tak nie jest. Bardzo chciałabym wiedzieć, co Ciebie skłoniło do otwarcia Świątecznej Kawiarenki. Z poważaniem – Bea Greenstock”. – Flora skrzywiła się na to oficjalne zakończenie. – Może wspomnieć coś o jej kotach?

– Nie! – krzyknęła Bea i obojwemu wybuchnęły śmiechem. – Lubię, kiedy tu jesteś, Flora, wiesz?

– Ja też lubię tu być. – Flora ziewnęła przeciągle. Emocje mijającego dnia dawały o sobie znać.

– Dobra, moja panno. Czas do łóżka. Miałaś ciężki dzień. – Bea poklepała dziewczynę po udzie. – W komodzie na podeście schodów są czyste ręczniki.

– Dzięki, Bea. – Flora wstała z kanapy.

– A, no i pamiętaj: żadnej zabawy telefonem ani iPadem. Tata zabronił.

Flora przewróciła oczami, położyła obojwemu aparaty na kuchennej ladzie i zniknęła w holu.

Bea patrzyła za nią, a potem podniosła wzrok na fotografię Petera na ścianie.

– A to ci niespodzianka. Miło ją widzieć, ale o co tu tak naprawdę chodzi, co, Peter?

Wyciągnęła nogi, położyła sobie na kolanach zieloną, jedwabną poduszeczkę, po czym znowu sięgnęła po list, który przyszedł jak zza siedmiu mórz i zza siedmiu gór. Postukała palcem w stempel z Edynburga, a w głowie zadźwięczał jej śpiewny, szkocki akcent. Ten głos kołysał ją kiedyś do snu, opowiadając o lśniących w słońcu jeziorach i krętych ścieżkach na zboczach wzgórz porośniętych kwiatami. „Biały wrzos spotyka się najrzadziej. Podobno rośnie tylko na ziemi niezbrukanej krwią. Przynosi szczęście...”. Pamiętała każde jego słowo, jakby to było wczoraj.

Pięć

Nieoczekiwanie dla samej siebie Bea spała twardo jak kamień. Było coś kojącego w obecności drugiej osoby w domu, w jakiś dziwny sposób dało jej to poczucie bezpieczeństwa – zupełnie tak jak dawniej, kiedy co noc kładła się obok Petera. Na wspomnienie o nim do oczu nabiegły jej łzy, ale zdusiła je, żeby nie dać się opanować tęsknocie.

Ku jej zdumieniu o piątej trzydzieści Flora już nie spała. Idąc do salonu, Bea na paluszkach przemknęła pod drzwiami gabinetu, nie chcąc obudzić wnuczki, jednak zupełnie niepotrzebnie. Flora ubrana w krótką, bawełnianą koszulę już była w kuchni i pałaszowała banana.

Bea zajęła pozycję pośrodku salonu z rozpostartymi ramionami i nogami ugiętymi w kolanach.

– Dzień dobry, Flora. Wczesnie wstałaś. Jak ci się spało?

– Dobrze, dziękuję. Chociaż kiedy się obudziłam, to przez chwilę nie wiedziałam, gdzie jestem. Wzięłam sobie telefon. Teraz już mogę, tak?

Bea nie potrafiła ocenić, czy pytanie było zadane szczerze, czy też kryła się w nim nutka uszczypliwości.

– Pewnie. – Uśmiechnęła się, po czym zamknęła oczy i przechyliła się naprzód.

– Co robisz?

– Ćwiczenia rozciągające. Mam taki swój zestaw, który wykonuję co rano, żeby zachować kondycję.

Widać było, że Flora sama nie wie, czy zacząć się śmiać, czy raczej się przyłączyć i Bea zdała sobie sprawę, jak mało w gruncie rzeczy znają się nawzajem. Właściwie to ich wiedza ograniczała się do podstawowych informacji przekazywanych z drugiej ręki przez Wyatta i Sarah bez wnikania w szczegóły.

Flora zakasłała wymijająco.

– Mogę wziąć prysznic?

Bea zamknęła oczy i kiwnęła głową. Chciała się wyciszyć. Robiła swoje zwykłe ćwiczenia, starając się nie słyszeć Flory buszującej w łazienkowych szafkach i strugi wody uderzającej o brodzik oraz wyśpiewywanych przez wnuczkę szlagierów.

Dwadzieścia minut później Flora wyłoniła się znowu z dwiema szklankami soku pomarańczowego na starej tacy powlekaną czarną emalią.

– Przyniosłam ci sok, ba... Bea.

– O, dziękuję, jak miło. – Usiadły we dwie na kanapie, tak samo jak poprzedniego wieczoru. – Dodatkowe punkty za to, że pamiętałaś dla mnie o lodzie!

Flora westchnęła.

– To chyba jedyna rzecz, za jaką ostatnio wpadły mi jakieś punkty. W szkole idzie mi beznadziejnie. Nawet nie zgadzają się, żebym tam teraz chodziła. Tata ci pewnie powiedział, że mnie zawiesili? – Podniosła oczy na babcię, która potwierdziła szybkim ruchem głowy. – Wszyscy się mnie czepiają, a to przecież wcale nie przeze mnie! – Flora zapatrzyła się przed siebie niewidzącym wzrokiem.

Bea stłumiła pokusę, żeby zapytać przez kogo.

– Chcą dla ciebie jak najlepiej, kochanie. – Miała świadomość, że może zbyt szybko staje w ich obronie, chociaż jeszcze nie wie, co w ogóle się stało. Poczwała nagle zimno wokół kręgosłupa, gdy w głowie usłyszała słowa swojej matki: „Sydney? Powodzenia. Na pewno ci się

przyda. Co myślisz tam robić, na litość boską, bez pieniędzy, bez męża, za to z nieślubnym dzieckiem? Chociaż to już nie mój problem”.

– Może. – Wzruszyła ramionami Flora. – Nawet nie chce mi się tam wracać. Wszystko mi jedno! – Nieznaczące drżenie jej ust zdawało się jednak mówić coś innego. – Zawiesili mnie, a zaraz są przecież wakacje, czyli tylko przedłużyli mi przerwę. Ale mi kara! – prychnęła, ale wyglądała na przygnębioną.

– Chyba chodzi raczej o to, żeby dać ci szansę zastanowić się, co się z tobą dzieje, nie o karę. W każdym razie ja bym to tak odebrała. – Starła się, żeby to zabrzmiało mobilizująco. – Mogę cię o coś zapytać?

– Pewnie. – Flora odchyliła się na oparcie kanapy.

– Dlaczego jesteś taka rozdrażniona? Co cię tak irytuje? – Trąciła wnuczkę łokciem.

– Wszystko! – burknęła Flora, zakładając ręce na piersi.

– Mogłabyś wyrażać się jaśniej? W sensie, kiedy mówisz „wszystko”, masz na myśli na przykład globalne ocieplenie albo głód na świecie? Chociaż to bez wątplenia poważne problemy, to niełatwo im będzie zaradzić. A może przez „wszystko” rozumiesz coś bardziej w zasięgu ręki?

Flora przetrawiała jej słowa.

– Denerwuje mnie dużo rzeczy, zwłaszcza ludzie, którzy polują na zwierzęta. Zrobiłam o tym projekt i na samą myśl aż chce mi się płakać!

– Rozumiem, słonko – rzekła Bea łagodnie. *Dobra dziewczynka...*

– Ale chyba najbardziej to złości mnie różne rzeczy u mnie samej – dodała Flora cicho.

– Jakie rzeczy?

Flora tupnęła bosą nogą w podłogę.

– Lori Frankoli ma duży biust, taki jak trzeba, i nosi prawdziwy stanik, a nie tylko sportowy. – Nie wiadomo, czy z rozmysłem, a może pod wpływem impulsu, Flora ujęła w palce dół nocnej koszuli i podciągnęła pod szyję.

Bea nie wiedziała, jak zareagować.

– I ty też chciałabyś mieć duży biust? – Przyjrzała się swojej raczej płaskiej klatce piersiowej i chłopięcej figurze i pomyślała, że jeżeli to jest to, na czym Florze zależy, to lepiej, żeby odziedziczyła budowę po matce, która była lepiej obdarzona przez naturę w tym względzie.

– Nie wiem. – Wzruszyła ramionami Flora. – Marcus Jordan powiedział, że będzie chodził tylko z dziewczyną, która nosi stanik.

– Aha. A ty chciałabyś chodzić z Marcusem Jordanem? – Bea zaryzykowała.

– Nie! W życiu nie chciałabym chodzić z Marcusem Jordanem. Nie cierpię go! – niemal wrzasnęła Flora.

– No tak. – Bea przełknęła ślinę. – A czemu go nie cierpisz? – zapytała z nadzieją, że docierają powoli do źródła gniewu Flory.

– Bo powiedział Craigowi Dawsonowi, że mam miesięczkę. – Zarumieniła się na dźwięk tego dorosłego terminu.

– A. – Tego się Bea nie spodziewała. – A to prawda?

– Nie! Jeszcze nie mam, ale Katie Phipps już ma i nie chciałam wyjść na smarkulę, więc coś tam powiedziałam, że ja też i ona powtórzyła to Lori...

– Tej z dużym biustem?

– Mhm. – Flora kiwnęła głową. – A ja zawsze noszę przy sobie tampony, tak na wszelki wypadek, i ona powiedziała o tym Marcusowi i wszyscy się ze mnie śmiali, bo mama Craiga przyjaźni się z moją mamą i moja mama powiedziała jej, że jeszcze nie mam okresu, a wszyscy wiedzą, że mam tampaxy w torbie... – Dolna warga zadrzała jej niebezpiecznie, a oczy znów napełniły się łzami.

– Moja kochana! – Bea objęła szczupłą postać dziewczyny za ramiona.
– Po co w ogóle mama się odzywała? Głupia krowa! – Przycisnęła rozpostarte dłonie do oczu.

– Nie mów tak. To twoja mama, która bardzo cię kocha. Nie wolno ci się tak o niej wyrażać. Pewnie nie wiedziała, że to coś ważnego. Może po prostu gawędziła sobie z koleżanką i wspomniała o tym mimochodem, nie wiedząc, jakie to dla ciebie istotne.

– Więc wydarłam się na nią, a wtedy ojciec zaczął wydzierać się na mnie i powiedział, że skoro wrzeszczę na mamę, to poczekam sobie jeszcze rok, zanim przekłują mi uszy, chociaż wcześniej mówił, że będę mogła, kiedy skończę czternaście lat i ja już powiedziałam o tym Lori, a ona powiedziała, że zakład, że bujam i teraz wyjdzie na to, że miała rację! Bo teraz muszę czekać, aż skończę piętnaście! A ona nosi kolczyki już od dawna. To niesprawiedliwe! A potem Lori i Marcus naśmiewali się ze mnie na stołówce i pytali, czy nie mam pożyczyć tamponu i takie tam, i wtedy mnie poniosło. Sama nie wiem, jak to się stało. Próbował wyciągnąć mi pudełko tampaxów z torby i tak jakoś zdzieliłam go w twarz. – Zerknęła na babcię niepewna jej reakcji. – Zaczęła lecieć mu krew i zrobiła się wielka draka. Wzięli mnie do dyrektora i zadzwonili po mamę, i... – wyrzucała z siebie Flora, a po policzkach płynęły jej łzy.

– Moje słoneczko. Już dobrze. Spokojnie. – Bea ogarnęła ją ramionami i głaskała po głowie, próbując ją uspokoić. – Wiem, że to wygląda na koniec świata, ale w ogólnym zarysie to przecież tylko nieporozumienie.

– Wcale nie. Lori jest moją przyjaciółką, a cały czas krzyczała, że to ja na niego napadłam. A wcale tak nie było, raz mu przyłożyłam i do tego niechcący! To był wypadek. Ale wszyscy zaczęli powtarzać: „To ona na niego napadła! To ona go uderzyła!”. I teraz wszyscy tak myślą, bo każdy to mówił.

– Nawet jeżeli to był jeden raz, to bicie ludzi nie jest żadnym rozwiązaniem, moja kochana. – *Nawet jeżeli ma się na to czasem ogromną ochotę...* Bea odpędziła od siebie tę myśl.

– Ja bym nigdy nie pobiła Marcusa.

– Tego, którego nie cierpisz? I z którym w życiu nie chciałabyś chodzić? – Bea się upewniła.

Flora kiwnęła głową.

– Po prostu się wściekłam, bo się ze mnie śmiali, a Lori wisała mu na ramieniu, jakby był jej własnością. I jeszcze gapiła się na mnie i dodatkowo mnie nakręcała i jego też, tak samo, jak kiedy odpowiada w klasie. On jest bardzo mądry. I powiedziała wszystkim, że kupuję tenisówki w supermarkecie i Marcus i Craig strasznie się z tego śmiali. A mama powiedziała, że najpierw mi kupi najtańsze, a dopiero, jak się okaże, że lubię tenisa, to pomyślimy o porządnych butach – opowiadała szybko i chaotycznie.

– Ćśśś... Już dobrze, Flora. Weź głęboki oddech.

– Nienawidzę Lori i jej głupiego biustu.

– Wygląda na niezłą jędzę – przyznała Bea.

– Ale to moja jedyna przyjaciółka i jestem na nią ssss-kazana – mówiła Flora przez łzy.

– Nie jest łatwo być młodym. Czasem wydaje się, że cały świat wali ci się na głowę, ale wierz mi, to nieporozumienie. Możesz zapytać ojca. On omal nie wylądował w więzieniu, kiedy miał jedenaście lat!

Flora odsunęła się i wlepiła w nią szeroko otwarte oczy.

– A co takiego zrobił?

– Cóż, chyba lepiej, żeby sam ci opowiedział szczegóły, ale miał mały wypadek z chomikiem i nasza sąsiadka, pani Dennis, gonila go po całej ulicy, wygrażając mu kijem do krykieta. Też jej musiałam wytłumaczyć, że przemocą niczego nie osiągnie.

Nagle laptop Bei wydał głośne piknięcie.
– Dostałaś e-mail! – Flora usiadła prosto, chętna zmienić temat. – Może to odpowiedź od Alex! – Otarła oczy i pociągnęła nosem.
– Czekaj no, zobaczmy. – Bea sięgnęła po laptopa.
Flora nachyliła się nad nią.
– No więc, żeby operować strzałką, musisz przesunąć palcem tu po tej płytce. Naprowadź ją na ikonę poczty, tę kopertę, i kliknij dwa razy.
Bea spróbowała dwa razy bezskutecznie, ale za trzecim udało jej się uruchomić skrzynkę.
– O! Otworzyłam! – zawołała radośnie.
– Brawo!
– Mam świetną nauczycielkę. – Bea rozjaśniła się w stronę wnuczki, która otarła z rzęs resztki łez i zdobyła się na wysilony uśmiech.
Bea włożyła okulary i przeczytała treść na głos.
– „Dziękuję bardzo za e-mail. Cieszę się, że dostałaś mój list. Przyjemnie było sięgnąć po długopis i papier, tak rzadko mam dziś okazję to robić. Odpowiadając na Twoje pytania: tak, mam kota, bardzo dumnego, białego persa, który nazywa się Profesor Richards po jednym moim nauczycielu, który patrzył na mnie z tą samą wyniosłą pogardą, kiedy coś do mnie nie docierało i też rozmawiał ze mną tylko wtedy, kiedy był w nastroju”.
Bea podniosła głowę i spojrzała na Florę, kręcąc głową z niedowierzaniem.
– Naprawdę zapytałaś ją, czy ma kota?
Flora prychnęła i nie odpowiedziała, więc Bea czytała dalej.
– „Po drugie, jak słyszę z wiarygodnego źródła, Osnabrück znajduje się w Niemczech. Bardzo im było miło usłyszeć, że spodobał Ci się ich tort. Forum działa od jakichś czterech lat i zajmuje mi sporo czasu. To świetne, że różni właściciele knajpek mogą się kontaktować i wymieniać ze sobą swoje doświadczenia. Świąteczna Kawiarenka powstała, bo w moim odczuciu święta to jedyny czas w roku, kiedy ludzie zbierają się razem. To okres dzielenia się z innymi i gościnności dla wszystkich i to właśnie próbuję uchwycić. Interes rozwija się dobrze i akurat stoję przed odwiecznym dylematem: czy poświęcić część swoich dochodów i zatrudnić nowego pracownika, czy zrywać się wcześniej i pracować dłużej. Zima w Szkocji nie sprzyja porannemu wstawaniu! Pewnie w Sydney klimat jest przyjemniejszy, muszę się kiedyś tam wybrać. A Ty masz kota? Czy to dlatego o to zapytałaś? U nas od rana siąpi dziś drobny deszcz. Mam nadzieję, że pogoda jest dla Was łaskawsza. Pzdr – Alex”.
– Przyznaje, że mówi do kota – stwierdziła Flora, unosząc przy tym brwi. – To jednak trochę dziwne.
– E, Flora, to jeszcze nic. Ja mówię do tostera, pytając go, jak się pieką grzanki, do pralki, do fotografii. Przy tym mówienie do kota wydaje się całkiem normalne.
– Racja. Chcesz odpowiedzieć?
Bea zawahała się. Miała ochotę odpisać tej miłej kobiecie z białym kotem, ale coś jej kazało się wstrzymać. Była z natury raczej dyskretna i chociaż rzecz dotyczyła przecież tylko kafejek, nie bardzo chciała wtajemniczać wnuczkę w swoją korespondencję z tą kobietą.
– Nie wiem, zastanowię się jeszcze. A, nawiasem mówiąc, zapomniałam powiedzieć, że brzęczał ci telefon. Nie wiedziałam, co zrobić, więc wsadziłam go pod poduszkę. Nie denerwuje cię ten potworny warkot?
Flora wyciągnęła aparat i podsunęła babci.
– Wiadomość od Lori na Instagramie. Przysłała mi zdjęcie swojego nowego kostiumu kąpielowego.
– Fascynujące. – *Mała zolza...* – Wiem, że Kim i Tait używają Instagrama, ale nie

rozumiem, co to jest. To i jeszcze jakieś fejsy, zupełnie się na tym nie znam.

Flora parsknęła śmiechem.

– Facebook! A Instagram mógłby ci się przydać w interesach. Mogłabyś wysyłać zdjęcia swoich potraw i różne wiadomości.

– Jakie wiadomości?

Flora przysunęła się bliżej i pokazała babci ekran telefonu.

– Popatrz. Na przykład to jest od jednego gościa, z którym jestem w kontakcie. Właśnie je śniadanie na plaży w Bondi i napisał: „Grzanki z bananami, palce lizać!”, i załączył zdjęcie.

Bea odsunęła telefon na długość ramienia i zmrużyła oczy zaintrygowana.

– Czyli to jest taka platforma żywieniowa, ludzie piszą, co jedzą i kiedy...

Flora roześmiała się.

– Nie! Czasami, ale nie zawsze. To po prostu przykład, ale możesz publikować wszystko, co tylko zechcesz. Chodzi o to, żebyś móc pokazać, co robisz w danej chwili.

– Czyli to mogą być całkiem przypadkowe rzeczy, dajmy na to: „Właśnie wygrywam w Scrabble” albo „Mój kot się na mnie obraził”? – zapytała z myślą o Alex McKay.

– Tak.

– To ciekawe. Jedno tylko, czego nie rozumiem, to: po co? Po co ludzie chcą mówić innym, co akurat robią i dlaczego kogokolwiek miałyby to interesować choćby w najmniejszym stopniu? Co mnie obchodzi, że jakiś obcy typ je śniadanie w Bondi?

Flora przyjrzała jej się z namysłem.

– Nie mam pojęcia.

Przez chwilę każda z nich sęczyła swój sok w milczeniu.

– Może pooglądamy telewizję? – W ten właśnie sposób Flora rozpoczynała dzień, o ile wstała odpowiednio wcześnie.

Bea zaśmiała się.

– Niezły pomysł, tyle że ja nie mam telewizora.

– Naprawdę?

– Tak. Nigdy nie miałam i nie widzę potrzeby.

– A nie zdarza ci się nie mieć nic do roboty i tak po prostu trochę się poobijać?

– W zasadzie nie. Słucham muzyki, rozwiązuję krzyżówki, przygotowuję jedzenie i idę spać.

– Nie wyobrażam sobie życia bez telewizora. Chyba bym zwariowała!

Bea spojrzała na nią i cmoknęła z niezadowoleniem.

Gdy Flora poszła się ubrać, Bea jeszcze raz usiadła do komputera i przeczytała e-mail od Alex. „...w moim odczuciu święta to jedyny czas w roku, kiedy ludzie zbierają się razem. To okres dzielenia się z innymi i gościnności dla wszystkich, i to właśnie próbuję uchwycić”. Obejrzała się na fotografię Petera.

– Jakie to miłe. – Uśmiechnęła się.

Sześć

Kim przelotnie podniosła oczy znad deski, na której obierała mango na sałatkę owocową, ale spostrzegłszy Florę, wróciła do niej spojrzeniem.

– Kim, pamiętasz Florę? – zapytała Bea.

– No pewnie. Cześć, Flora, co słychać? – Kim uśmiechnęła się ciepło do dziwnie wylęknionej dziewczyny, która uniosła rękę w powitalnym geście.

– Jest trochę przejęta swoim pierwszym dniem w pracy, chociaż mówiłam jej, że to bułka z masłem. – Bea mrugnęła do Kim porozumiewawczo.

– Jasne. Przydałaby mi się tu pomoc, jeżeli jesteś wolna.

Flora przewiązała się w pasie fartuchem i stanęła przy niej.

– Ja będę przepoławiać granaty, a ty usuwaj pestki i układaj je tutaj. – Podsunęła Florze błyszczącą salaterkę z nierdzewnej stali.

– Okej. – Flora uśmiechnęła się niepewnie. – Mam najpierw umyć ręce?

– O, widzę, że masz to w genach. Zdziwiłabyś się, jak wiele osób zapomina o tym niezmiernie ważnym aspekcie pracy w kuchni. – Kim się rozjaśniła. – Dam ci małą podpowiedź. Jeżeli odwrócisz taką łożeczkę do góry nogami i pukniesz w nią ciężką łyżką, pestki wylecą same wszystkie naraz.

Flora kiwnęła głową i wzięła się do pracy.

– Te lampki wyglądają fantastycznie, Bea! – zauważyła z podziwem. – Moi rodzice nie chcą wywieszać żadnych ozdób w tym roku.

– A, to szkoda. – Bea westchnęła. – Wasz dom zawsze wygląda tak pięknie na Boże Narodzenie. Jak tylko wjeżdżam na podjazd i widzę całą werandę przystrojoną światłami i tysiące żarówek na drzewach, od razu wpadam w prawdziwie świąteczny nastrój. Twoja mama wspaniale to robi.

Flora sapnęła.

– No, ale w tym roku to nie ma większego sensu, skoro wracają dopiero kilka dni przed świętami. – Skupiła uwagę na opukiwaniu trzymanego w dłoni owocu i bacznie obserwowała, jak pestki ze stukiem sypią się do miseczki.

Bea poczuła na sobie krótkie, świdrujące spojrzenie Kim i uciekła przed nim oczami.

– Pewnie, to byłaby strata czasu. Tacy są przecież zajęci – dodała z ukłuciem zawodu, że nie została powiadomiona o ich planach, w których najwyraźniej nie było dla niej miejsca. Czują, że szyję oblewa jej rumieniec.

– Gdzie się wybierają? – zapytała Kim.

– Na Bali. Jadą z jakąś grupą znajomych. Wynajęli domek na plaży z własnym basenem i barem w samej wodzie. Wygląda super.

– Wyobrażam sobie. – Kim odchyliła głowę. – Ty też z nimi jedziesz?

Bea nastawiła uszu.

Flora wzruszyła ramionami.

– Taki był plan, ale teraz to nie wiem. Mam różne przejścia w szkole i takie tam... – Wykręciła ręce, jakby ten gest dopowiadał resztę.

Bea walczyła z uczuciem skrępowania.

– To fakt, że na Bali jest pewnie super. – Próbowała dociec, czy może uraziła jakoś Wyatta i Sarah, szczególnie że to była jej pierwsza prawdziwa Gwiazdka bez Petera. Rok temu, tuż po jego śmierci, wszystko było jakieś nierzeczywiste, ale miała nadzieję, że w tym roku

pomogą jej się otrząsnąć. Bali jednak w ogóle nie kojarzyło jej się ze świętami, do tego w towarzystwie znajomych Wyatta i Sarah. Mieszkała w Australii od czterdziestu lat, a mimo to nadal tęskniła za mroźną, śnieżną Wigilią ze swego dzieciństwa w Anglii. Doskonale pamiętała stopy prezentów stłoczonych pod choinką, haftowane skarpety wiszące na gzymsie kominka i ogień trzaskający na palenisku. Któregoś razu, gdy miała może około dziesięciu lat, spadł potężny śnieg i po kościele szalały z siostrą na zbitych ręcznie saneczkach, które nie przeżyły do końca tej zabawy.

W Sydney na Boże Narodzenie przypiekało słońce, na plaży kłębili się ludzie, strzelały sztuczne ognie, a na kolację siadało się z przyjaciółmi na tarasie, podając lekkie jedzenie i schłodzone wino. Jakoś nie mogła się zdobyć, żeby wysłać kartki z wizerunkiem brzuchatych mikołajów w śniegowych zaspach, kiedy za oknem temperatura dochodziła do dwudziestu dwóch stopni. Dmuchane mikołaje nad wodą w porcie Darling wydawały się bardziej odpowiednie.

– To co będziesz robić, jeżeli nie pojedziesz? – zapytała Kim i sięgnęła po ciasto na chałkę, które zaczęła formować, posypując je jednocześnie cynamonem.

– Nie wiem. Chyba zostanę u babci. To znaczy u Bei. – Posłała babci uśmiech z nad ramienia, a Bea rozjaśniła się w odpowiedzi.

– Dzień dobry, dzień dobry! – zawołał Tait, wchodząc do kuchni i zgarniając swój fartuch z wieszaka. – Cześć, Flora, co u ciebie?

– W porządku, dzięki. Pomagam Kim przy sałatce owocowej. – Podniosła do góry amarantowy owoc.

– Właśnie widzę. Dawno cię u nas nie było – zauważył z uśmiechem.

– Mam dużo zajęć w szkole.

– Aha. A jaki przedmiot lubisz najbardziej?

– Plastykę. – Flora się rozpromieniła. – Lubię rysować.

– No tak. – Kiwnęła głową. – Piękna i uzdolniona, to się nazywa szczęście.

– Cholera! – wrzasnęła Kim z drugiego końca kuchni, gdzie właśnie upuściła natłuszczony kluch ciasta na podłogę. – Oj, przepraszam, Flora.

– Nie ma sprawy. Ja już znam wszystkie przekleństwa. Zrobiliśmy kiedyś całą listę ze znajomymi – odparła Flora bez cienia ironii, pochylona nad swoim granatem.

Kim uniosła ramiona i uśmiechnęła się do Bei przepraszająco.

– A dzisiaj nie ma szkoły? Już macie wolne? – spytał Tait, wyjmując z kosza niedawno dostarczony bochenek wiejskiego razowca i zabrał się do krojenia.

– Zawiesili mnie. – Flora pochwyciła spojrzenie Bei, niepewna, czy mówić prawdę.

Kim podniosła głowę, a Tait znieruchomiał z nożem zawieszonym w powietrzu.

– Coś ty? A za co? Podpaliłaś klasę czy co?

Flora westchnęła.

– Nie. Strzeliłam Marcusa Jordana w głowę, a warga nadziała mu się na zęby i poleciała mu krew. – Skupiła się na usuwaniu pestek.

– No proszę! Rośnie nam mały Kliczko! Rozumiem, że sobie zasłużył – ryknął śmiechem Tait.

– Nikt nie zasługuje na to, żeby go bić, Tait. – Bea spiorunowała go wzrokiem. – To nie jest żadna metoda. – Próbowała oczami i szybkim ruchem głowy dać im znak, że nie powinni pochylać tego typu zachowań.

– Nie, oczywiście, że nie. No, chyba że sobie naprawdę zasłuży. Co myślisz, Kim?

Bea wzniosła oczy do sufitu. Nie zrozumiał.

– Myślę, że... n-no... to zależy – wykrztusiła Kim.

– Widzisz, Kim zgadza się ze mną. Jak się kto doprasza, to czasem trzeba mu dać małego

łupnia. – Zamarkował cios pięścią w powietrzu i wyniósł się na salę.

– Nie zwracaj na niego uwagi, Flora. Przemoc to nie jest żadne rozwiązanie – oświadczyła Bea.

– Skończyłam. – Flora podniosła miseczkę, żeby pokazać Kim efekt swoich starań. Potem wzięła do ręki ananasa i wyciągnęła ku swojej mistrzyni. – Jeszcze jakaś podpowiedź?

– Owszem. – Kim westchnęła i oparła ręce na biodrach, po czym wysunęła dolną wargę i dmuchnięciem odgarnęła sobie grzywkę z oczu. – Nigdy nie pracuj z kimś, na kim ci zależy. Będziesz się tylko bezustannie stresować, a przy okazji przepuścisz fortunę na fryzjera i skandalicznie drogi tusz do rzęs, który ma ci nadać kuszące spojrzenie, a daje ci figę z makiem. Okej?

– Okej – przytaknęła Flora, niepewna, co oznacza „ktoś, na kim ci zależy”.

Bei ścisnęło się serce na widok Kim takiej przybitej. Gdyby tylko zechciała uwierzyć trochę w siebie i wykorzystać swoją uroczą osobowość i naturalne piękno. Przez resztę dnia Tait tryskał humorem i nie przestawał tokować, zadowolony z towarzystwa Flory, za to Kim wycofała się do swoich zajęć w obawie, żeby znów przypadkiem przy niej nie wybuchnąć.

Bea wchodziła po schodach w radosnym nastroju. Dzień minął im pracowicie, ale przyjemnie było mieć przy sobie Florę. Zarówno Tait, jak i Kim okazali jej dużo życzliwości i zainteresowania i spędzili razem bardzo miły dzień. Tego właśnie było dziewczynie potrzeba. Kilku gości pochwaliło świąteczny wystrój kawiarni, a oczami duszy Bea już widziała butelkę zimnego marsanne’a czekającą na nią w lodówce.

Flora, owinięta ręcznikiem, siedziała na kanapie z włosami mokrymi po kąpielu i ramionami pełnymi piegów od słońca. Wydawała się trochę zmęczona, bo nie przywykła do fizycznego wysiłku, jakiego wymagała praca w Kuchni. I najwyraźniej troszkę sobie też popłakała.

Bea usiadła przy niej.

– Nie siedź tak, bo zmarzniesz. – Zarzuciła jej wełniany szal na odsłonięte nogi.

Flora nie zareagowała, tylko dalej stuknęła palcem w ekran telefonu.

– Myślałaś już, co byś chciała dostać pod choinkę? Oprócz zatyczek do uszu, ma się rozumieć – zapytała Bea.

Flora parsknęła śmiechem.

– Sama nie wiem. Zbieram teraz na uggi, więc możesz dać mi pieniądze.

– W porządku, tak zrobimy. Uggi to dobry pomysł. – Bea wzięła głęboki oddech. – Flora, bardzo się cieszę, że jesteś tu u mnie. Świetnie się czuję w twoim towarzystwie i fajnie było dzisiaj razem popracować...

– Mnie też się podobało. – Flora otarła oczy.

– Ale wydaje mi się, że chyba czas wracać do rodziców. Nie możesz się tu ukrywać w nieskończoność, a im dłużej to będziesz odwlekać, tym bardziej cię to będzie uwierać jak niezapłacony rachunek.

– Nigdy nie miałam niezapłaconego rachunku. – Flora zamrugnęła.

– I miejmy nadzieję, że nigdy nie będziesz miała. – Bea się roześmiała.

Dziwnie się czuła, namawiając wnuczkę do powrotu. W ciągu ostatniej doby bardzo się do siebie zbliżyły i najchętniej zatrzymałyby ją przy sobie już na zawsze. Ale wiedziała, że Flora powinna wracać do domu, do rodziców i spróbować wspólnie z nimi rozwikłać swoje problemy.

Flora westchnęła i szczerzej otuliła się szalem. Sięgnęła po wełnianą poduszkę w kolorze musztardy i przycisnęła do siebie.

– Pewnie masz rację. Ale trochę się boję. Nie chcę, żeby znowu zaczęli na mnie wrzeszczeć, bo wiem, że mogę powiedzieć coś okropnego, czego wcale nie myślę – powiedziała

cicho ze spuszczonej oczami. Wyglądała całkiem tak jak wtedy, kiedy była malutka.

– Musisz im to powiedzieć – naciskała Bea.

– Nie mogę. Oni wiecznie się kłócą i nie mam jak opowiedzieć im o czymkolwiek, na przykład jak strasznie nienawidzę być w ósmej klasie!

– Dlaczego się kłócą? – podchwyciła Bea, z miejsca niespokojna, czy nie przechodzą przez jakieś kłopoty małżeńskie, a raczej, czy Wyatt nie jest przypadkiem nieszczęśliwy.

Flora zerknęła na babcię z wahaniem.

– Sama nie wiem.

– A o co się kłócą? – Bea miała świadomość, że dopytuje o prywatne sprawy, ale nie mogła się pohamować.

– O całe mnóstwo rzeczy. O mnie. O pieniądze. O ciebie. – Pociągnęła nosem.

O mnie? Bea straciła oddech. Dlaczego mieliby kłócić się o nią?

Flora mówiła dalej.

– Wszystko zaczęło się tego dnia, kiedy powiedziałam, że będę spała u Jen, a tak naprawdę spałyśmy z Lori na plaży.

– Co takiego? Flora, ty chyba oszalałaś! Masz pojęcie, co mogło się wam stać? Obiecuj mi, że nigdy już tego nie zrobisz! – Sama słyszała, że podniosła głos. Z dziećmi zawsze to samo, przypominała sobie, ze strachu człowiek zaczyna się miotać.

– Obiecuję – przyrzekła Flora cieniutko. – Mama zadzwoniła do Jen i jak się dowiedziała, że mnie tam nie ma, to dostała szału.

– Trudno się dziwić. Co to w ogóle za pomysł! Dlaczego to zrobiłaś?

Flora wzruszyła ramionami.

– Bo ludzie ze starszej klasy robili imprezę i brat Lori powiedział, że też możemy przyjść, a wiedziałam, że rodzice nigdy się na to nie zgodzą, więc powiedziałam, że idę na noc do Jen.

– Słonko, jak twoi rodzice mają cię ochraniać, skoro nie wiedzą, gdzie jesteś? Rozumiesz to, prawda?

Flora skinęła głową.

– Traktują mnie jak dziecko.

– Bo pod wieloma względami jesteś jeszcze dzieckiem. Gdzie ci się tak spieszy? Na wszystko przyjdzie czas, nic cię nie ominie.

– Może i tak, ale mama i tata... – Łzy wymknęły się Florze spod powiek i wytarła policzki ramieniem. – Oni nic a nic nie rozumieją.

– No to im wytłumacz. Powiedz im, jak się czujesz, powiedz im o wszystkim. Z tego, co słyszysz, to masz teraz sporo spraw na głowie i czasami to może być dosyć przytłaczające, jasne, ale jeżeli wszystko sobie wyjaśnicie, to uda wam się to rozwiązać krok po kroku. I na pewno poczujesz się lepiej.

– Wiem. Lori się do mnie nie odzywa za to, że walnęłam Marcusa, a to poniekąd przez nią. – Zapatrzyła się smutno w podłogę. – Chciałabym być kimś innym.

– Co ty opowiadasz? Jak można chcieć być kimś innym? Jesteś śliczna, zabawna, interesująca i przebojowa, zawsze taka byłaś. A ja to wiem najlepiej, bo widzę, jak zmieniasz się z roku na rok i z pyzatego bobasa stajesz się tym, kim dziś jesteś. Wiesz, że niektórzy ludzie robią sobie takie samo zdjęcie codziennie przez cały rok, żeby potem zrobić sobie z tego taką animowaną? Ja właśnie tak widzę ciebie. Masz w sobie mnóstwo uroku i wiele można by o mnie powiedzieć, ale nie to, że kłamie.

– Dzięki. – Flora pociągnęła nosem i próbowała się uspokoić. Ale na myśl o wczorajszym dniu smutek znowu przerodził się w złość. – Nie mieści mi się w głowie, że w szkole zrobili z tego taką aferę. Wszyscy mówili wyłącznie o tym. A kiedy wróciłam, mama i tata zaczęli na

mnie krzyżeć! A tata powiedział, że mnie nie wezmą na Bali, i to akurat dobrze, bo ten wyjazd to i tak będzie wielki koszmar. Nie mam ochoty jechać! Nigdzie! Tutaj przynajmniej nikt mnie nie zna, z wyjątkiem Taita i Kim, a w Manly wszyscy będą się na mnie gapić i wypominać mi tę historię z Marcusem. Nie obchodzi mnie, czy Lori chce się jeszcze ze mną przyjaźnić. – Pierś falowała jej szybko, jakby na zaprzeczenie tych gwałtownych słów. – Wolę już być sama, niż się z nią zadawać.

– Sama? Nie gadaj głupot. Wszystko się dla ciebie dopiero zaczyna i zaraz ruszy z miejsca. Uwierz mi, wiem coś o samotności. Stoisz dopiero u progu, Flora, całe życie przed tobą. A jeżeli Lori jest taką zołą, na jaką wygląda, to ciesz się, że masz ją z głowy. Takie sprawy rozwiązują się same, naprawdę. – Ścisnęła wnuczkę za ramię.

– Mam nadzieję. – Florze wydłużyła się twarz.

– Życie jest pełne niebywałych zwrotów i niespodzianek, moja droga. To niesamowite, jak szybko niektóre zmiany stają się normalne, kiedy już się wydarzą.

W głowie wyłonił się jej obraz sceny sprzed lat: gapiła się na leżący na stole formularz z rozmazanym odciskiem czyjś palca na atramentowym kleksie w rogu, a kobieca ręka zawieszona nad kartką czekała, żeby wypełnić ją ciągiem pochyłych liter: „Imię ojca?”.

– A rodzicom przejdzie, poczekaj, a zobaczysz! – Uśmiechnęła się, zadowolona, że te mroczne wspomnienia były wyłącznie wspomnieniami.

– Więc uważasz, że powinnam wracać do domu? – Flora podniosła na nią pytające oczy.

Bea westchnęła.

– Bardzo bym chciała, żebyś została tu ze mną już na zawsze. Ale tak, myślę, że powinnaś wracać. Nie ma co czekać, żeby załagodzić sprawę z rodzicami. Oni cię bardzo kochają, nawet jeżeli nie myślą tak jak ty.

Flora kiwnęła głową, próbując zebrać się na odwagę, ale łzy znowu jej poleciały.

– No, daj spokój, kochanie, nie jest aż tak źle. – Bea poklepała wnuczkę po ręce.

– A będę mogła wrócić jakby co? – Flora zaczęła skubać brzeżek ręcznika.

– Nie bądź niemądra, nawet nie musisz pytać! Możesz tu przyjeżdżać, kiedy tylko zechcesz. Chociaż jestem pewna, że kiedy cię zobaczą, to tak się ucieszą, że wszystko pójdzie w niepamięć. Tak to zwykle bywa.

Flora poszła do gabinetu się ubrać, a Bea podniosła słuchawkę i zadzwoniła do Wyatta. Jeszcze nie skończyli rozmowy, a już usłyszała, jak sięga po kluczyki.

Po wyjeździe Flory w mieszkaniu zaległa przeraźliwa pustka i cisza. Bea położyła się na kanapie z szarym, wełnianym szalem zarzuconym na nogi i swoją ulubioną zieloną poduszczką pod głowę. Dotyk powłoczki zrobionej z szalika kogoś bardzo drogiego jak zwykle przyniósł jej ukojenie. Nieoczekiwanie dopadły ją wspomnienia: „Proszę cię, zostań ze mną. Proszę! Będę cię błagać, jeżeli tego chcesz. Błagam cię, obiecaj mi, że nie pojedziesz!”. Była zrozpaczona. Patrzył na nią, ściskając ją za ramiona, żeby nie upadła, a w pełnych łez oczach malowała się prośba o zrozumienie. „Gdybym mógł, to wiesz, że bym został. To nie jest moja decyzja. Nie mogę... Nie mogę budować szczęścia na ich krzywdzie. Ale pamiętaj, że moje serce, moje myśli zawsze będą przy tobie, będą cię podtrzymywać i dawać ci siłę. Będziesz ze mną zawsze...”.

Bea poderwała się, rozpaczliwie szukając czegoś, co oderwałoby ją od bolesnych myśli. Laptop stał w kącie, pomrukując cicho. Przysunęła go bliżej i kliknęła „Odpowiedz”, tak jak nauczyła ją Flora.

Od: BeaG

Temat: Dzień dobry raz jeszcze!

To jest mojpierwszy w zyciu email wiec mozesz potraktować to jakowyroznienie. Poprzedni napisala mojawnuczkaale teraz jej nie ma i w mieszkaniu jest strasznie pusto. Nie nie

mam kota iniebardzo za nimi przepadam. Unas zima jest wspaniała nigdy nie bylam wszkocji ale bardzo bym chciała kiedys pojechać. Znalam kiedyś kogos kto uwielbial szkocje. Jest na mojej liscie miejsc dozobaczenia. Mam fantastyczny zespol Tait i Kim sa wspaniali. Mam piecdziesiattrzy lata moj maz umarl rok temu i dlatego to dla mnie raczej smutny okres co toznaczy pzdr. Przepraszam za literówki cały czas przyzwyczajam się do klawiatury to nie ma nic wspólnego z maszyna do pisania moj maz zajmował się całą technologią.

xx

Bea

Przygryzając w skupieniu usta, kliknęła małą strzałkę, która, jak się właśnie dowiedziała, oznaczała „Wyślij” i z zadowoleniem usłyszała krótkie bzyknięcie, gdy jej wiadomość poleciała z ekranu na drugi koniec świata. Jak za sprawą czarów.

Siedem

Krótki pobyt Flory w Surry Hills przypominał Bei czasy, kiedy Wyatt był w tym samym wieku i jaką radość i świeżość wносиła w jej życie obecność pełnego temperamentu nastolatka. Peter zawsze odnosił się do niego z pewnym dystansem, jakby onieśmielony tym, że nie był jego ojcem. A może dlatego, że był sporo starszy i nie chciał psuć tej wyjątkowej więzi między nią a synem, scementowanej przez sześć lat trudów tylko we dwoje.

Stała w drzwiach balkonowych, rozkoszując się zgiełkiem Reservoir Street pod sobą, wciąż jakby w obawie, że któregoś dnia wyjrzy przez okno i zobaczy w dole obskurne ulice Kings Cross i okaże się, że całe to piękne życie tylko jej się przyśniło, a tak naprawdę wciąż tkwi w kawalerce, w której gnieździł się wtedy z Wyattem. Trudno było zapomnieć o tym nędznym pokoiku, podejrzanych typach załatwiających jakieś interesy na ulicy i zawsze czujnym śnie, z którego wyrывał ją każdy odgłos. Aż pojawił się Peter i ich uratował.

Kiedy przyjechała do Sydney z Byron Bay, odrzucona przez rodzinę, sama, w ciąży, opuszczona i ze złamanym sercem, życie było jedną wielką walką. Zdawało się, że bierze udział w niekończącym się polowaniu – ta ustawiczna pogoń za pracą i jedzeniem, byle tylko przetrwać. Wyatt był jej jedynym światelkiem w tym mrocznym, nieprzyjaznym świecie – to ze względu na niego nigdy się nie poddała i nie uległa rozpaczyci czającej się nieustannie w pobliżu. On był najważniejszy, był sensem jej życia i wszystko, co robiła, robiła po to, żeby zapewnić mu jak najlepszą przyszłość. Przez sześć lat mozolnie krążyła z jednej pracy do drugiej, biorąc wszystko jak leci, podczas gdy Wyatt zostawał pod opieką sąsiadki Ginny, która sprzedawała papierosy w kiosku na dworcu i była jej jedyną bratnią duszą w całym mieście.

Aż któregoś dnia, niedługo po tym, jak Wyatt skończył sześć lat, wszystko się odmieniło. W agencji pracy otrzymała dosyć zwięzłe instrukcje: w poniedziałek rano ma się stawić porządnie ubrana na drugim piętrze w firmie włókienniczej Greenstock and Greenstock i, broń Boże, nie wspominać o dziecku.

Zmierzając tamtego ranka pod wskazany adres w Surry Hills, przyglądała się innym młodym kobietom spieszącym w tę samą stronę do swoich maszyn do pisania i sekretarskich biurków w bankach, kancelariach prawnych i agencjach reklamowych, które wyrastały wówczas w Sydney jak grzyby po deszczu. Wszystkie wyglądały podobnie: w jaskrawych, wywatowanych zakietach, z natapirowanymi włosami i krzykliwym makijażem, żeby zwrócić na siebie uwagę tego czy innego dyrektora. Bea wyglądała zapewne tak jak one, ale nie była jedną z nich. Sytuacja, w której się znalazła, sprawiała, że nie pasowała do tych beztroskich dziewcząt trajkoczących o chłopakach, muzyce, modzie i filmach i trudno jej było się wśród nich odnaleźć. Co ją obchodził ostatni hit Midnight Oil, kiedy miała na głowie kolejną podwyżkę czynszu? Jak mogła plotkować o chłopakach, kiedy mężczyzna jej życia odszedł bezpowrotnie?

Na górze, w budynku Greenstock and Greenstock, Bea znalazła się w wyłożonym kafelkami holu z zapierającym dech w piersiach widokiem na Surry Hills i kręte uliczki zbiegające do nabrzeża poza nią. Wygladziła fałdy na tweedowej spódnicy, którą pożyczyła od sąsiadki mieszkającej z matką po drugiej stronie schodów. Poprawiła sobie zwiewną bluzkę z kokardą pod szyją i potrząsnęła wielkimi, złotymi kółkami w uszach, po czym, zgodnie ze wskazówkami, skierowała się w głąb biura na drugim piętrze. Pokonała korytarz, mijając liczne, drewniane drzwi o stylowych, chromowanych okuciach, aż dotarła do otwartych drzwi na samym końcu.

W środku, wygodnie rozparty na skórzanym fotelu, siedział czterdziestoparoletni

mężczyzna w okularach, pogrążony w lekturze jakichś dokumentów, popalając grube cygaro. Obok stała trójkątna, chromowana popielniczka na podstawce, akurat w zasięgu ręki. Miał krótkie, ciemne włosy otulające mu głowę jak beret, a nieskazitelnie biała koszula odcinała się wyraźnie na tle eleganckiego, ciemnego garnituru i ogorzalej twarzy.

– Czym mogę służyć? – Podniósł na chwilę oczy, znów zerknął na dokument, ale natychmiast powrócił do niej wzrokiem, tym razem skupiając na niej całą swoją uwagę. Jego głos był chrapliwy, a w sposobie mówienia pobrzmiwał ledwo wyczuwalny niemiecki akcent. Trzymane kartki zaszeleściły w jego wciąż uniesionej dłoni. Było jasne, że mu przeszkodziła.

– Tak, dzień dobry. Nazywam się Bea! – powiedziała z przesadną swobodą, mając nadzieję, że promienny uśmiech skutecznie przysłoni drżenie w jej głosie. Bardzo potrzebowała tej pracy.

– To świetnie. A ja Peter! – Okrasił żart szerokim uśmiechem pełnym szczerzej sympatii.

– Jestem pana nową osobą – uzupełniła.

– Moją nową osobą? A co się stało z moją dawną osobą? – Sprawdził za fotelem, czy ktoś się tam nie ukrywa.

– Nie wiem. Może zrezygnowała przez pana sarkastyczne docinki?

– A może ją wyrzuciłem, bo była zbyt wyszczekana? – odparował szybko.

– Może. Albo po prostu dała się łatwo nastraszyć.

– Może. A pani? Łatwo panią nastraszyć? – Włożył do ust cygaro i wypuścił przed siebie kłąb dymu.

Kusiło ją, żeby powiedzieć mu prawdę, ale zamiast tego podjęła wyzwanie i wytrzymała jego spojrzenie.

– Raczej nie. Zobaczy pan, że w ogóle trudno się mnie pozbyć.

– Aha. No i wszystko jasne. To skoro zamierza pani zostać tu na dłużej, może napijemy się kawy?

– Bardzo chętnie, dziękuję – odpała z o wiele większą pewnością siebie, niż faktycznie czuła. – Białą, bez cukru.

Wiele razy po latach śmiali się z tego jakże szczęśliwego spotkania. Faktycznie została na dłużej. Szybko zorientowała się, że za ciętym dowcipem i pozorną oschłością Petera kryje się dobry, serdeczny i przyjazny człowiek o gołęmbim sercu. Pracowała u niego w rodzinnej spółce tekstylnej przez wiele lat, do czasu gdy sprzedał interes i postanowił poużywać życia na emeryturze. A wtedy ona otworzyła przy jego pomocy Kuchnię Reservoir Street.

Początkowo czuła się rozdarta, usychając w skrytości ducha z żalu za mężczyzną, którego utraciła, i musiała powtarzać sobie dzień po dniu, że dokonała słusznego wyboru, pozwalając mu odejść. Mijały jednak lata i jej związek z Peterem umacniał się coraz bardziej, a ona coraz wyraźniej uświadamiała sobie, jaką krzywdę mogłaby wyrządzić tej drugiej rodzinie żyjącej gdzieś daleko, gdyby szukała z nim jeszcze kontaktu. Woląла też nie wtajemniczać swojego młodego syna, uważając, że byłby to dla niego zbyt wielki ciężar. A z upływem czasu coraz trudniej było wracać do przeszłości, już dawno minionej i pogrzebanej.

Wyatt był jeszcze chłopcem, kiedy wzięli z Peterem niewystawny ślub w Urzędzie Stanu Cywilnego przy Regent Street. Świadkami, choć niechętnie, zostali brat i siostra Petera, którzy nie czekając nawet, aż podpisy nowożeńców dobrze wsiąkną w papier, nie zostawili na młodej parze suchej nitki za ich plecami. Bea była ubrana w prostą cytrynową sukienkę do kolan, a Peter wystąpił w swoim najlepszym garniturze z żółtą różą w klapie. Po uroczystości udali się do chińskiej dzielnicy, gdzie zafundowali sobie makaron w ulicznym kiosku z pałeczkami z plastiku.

Wyatt sprawiał wrażenie szczęśliwego, kiedy stali tak pod rozkołysanymi, czerwonymi

lampionami, zjadając *chop suey*, i żartowali, że to pewnie najtańsze przyjęcie weselne w historii ludzkości. Był jeszcze małym szkrabem, ale już jako siedmiolatek miał nieustępliwy charakter. Dzieciństwo na bezwzględnych ulicach Kings Cross nauczyło go walczyć o swoje i nie dać się poniżyć ani ośmieszać, ale mimo tego zdecydowania i wyrobionej przez ulicę samodzielności wciąż potrzebował ojca.

Tyle że Peterowi trudno było przebić się przez obronny pancerz chłopaka. Nie miał doświadczenia w relacjach z dziećmi, a w jego zachowaniu dało się wyczuć niepewność dojrzałego, samotnego mężczyzny, który za wszelką cenę próbuje wystrzegać się błędów. W efekcie trzymał się zawsze lekko na uboczu, jakby wycofany. Nie chciał się narzucać, czekając, aż Wyatt w końcu sam do niego przyjdzie. Wyatt natomiast miał poczucie, że Peterowi na nim nie zależy. Sytuacja utknęła w martwym punkcie, a Bea znalazła się w samym centrum impasu.

Peter chciał zapewnić chłopcu najlepsze wykształcenie, więc kiedy Wyatt skończył dziesięć lat, posłał go do Scotch College, elitarnej szkoły dla chłopców w Melbourne. Bea miała mieszane uczucia co do umieszczenia go w internacie. Stali się sobie niesłychanie bliscy z Wyattem w ciągu tych trudnych pierwszych lat w Sydney i obawiała się, że mógłby poczuć się odrzucony wraz z pojawieniem się Petera w ich życiu. Jednak nie mogła nie dostrzec, że ich relacja napotyka coraz większe trudności, a Wyatt staje się coraz bardziej zamknięty i nieprzystępny. Peter był przekonany, że wyjazd Wyatta do szkoły dobrze im wszystkim zrobi, a chłopakowi najbardziej. Twierdził, że Wyatt musi zacząć dawać sobie radę sam bez ciągłej opieki mamy. Teraz, wiele lat później, patrząc na dorosłego Wyatta, także już ojca, Bea powątpiewała, czy to była dobra decyzja. Czuła, że przez to oddalili się od siebie jeszcze bardziej, a problem i tak pozostał nierozwiązany.

Choć między Peterem i Wyattem zdarzały się też fantastyczne chwile, które chowała w pamięci i przywoływała w myślach jak drogocenny klejnot obracany w palcach. Szczególnie lubiła wspominać dzień, kiedy po powrocie do domu zastała Petera, jak czyta małemu na głos jedną ze swoich ulubionych książek. W domu panowała błoga cisza, niezmacona zwykłym jazgotem telewizyjnych kreskówek. Zakradła się na palcach do pokoju i ogarnęła wzrokiem obrazek przed sobą: Peter siedział w fotelu, a Wyatt leżał na brzuszku na kanapie podparty na łokciach, z buzią w dłoniach i nogami w powietrzu, cały zasłuchany. „Szkoa, drodzy czytelnicy, że nie mogliście zobaczyć, co się teraz stało. Oto wilk-ojciec odrzucił się od ziemi potężnie i cisnął wprzód całe ciało, ale nagle wywinął się prosto w górę, podleciał jak ptak w powietrze na kilka stóp i spadł na to samo niemal miejsce. Zatrzymał się tedy w skoku, zmieniawszy zamiar. – To człowiek! – warknął ze złością. – Maleńki człowiek! Popatrz no, matko!”².

Zapamiętała dobrze tę scenę i pielęgnowała to wspomnienie jak największy skarb. Przynosiło jej pocieszenie w najczarniejszych chwilach. Jak tej nocy, kiedy Peter umarł, a ona skuliła się z jego okularami przy piersi, nie mogąc się zdobyć, żeby pójść samej do łóżka, aż postanowiła spać tu, gdzie leżała. Oczy miała zmęczone i zapuchnięte, ale widok tej książki i wspomnienie tamtego dnia sprawiły, że poczuła się lepiej.

Następne dni minęły jak we śnie. Dzień pogrzebu był trudny dla Wyatta. Nie wiedział, co ma robić, a jego zachowanie oraz język ciała ewidentnie świadczyły o tym, że rozpaczliwie chciałby znaleźć się gdzieś indziej, wszędzie – byle nie tu. Nieustannie przeciągał palcami za białym, sztywnym kołnierzykiem koszuli, jakby go coś uciskało. Pod koniec stypy widziała, jak usilnie szuka w myślach pretekstu, żeby się ulotnić. Snuł się po domu bez celu z Sarah uwieszoną u boku i wyrazem napięcia na twarzy, wreszcie ruszył ku niej i rzekł bez mrugnięcia, jak zawsze, kiedy udawał:

– Będziemy już jechać, mamo. To był długi dzień i Sarah musi wracać, a ja też mam

jeszcze parę... eee... spraw do załatwienia... Zadzwoń, gdybyś czegoś potrzebowała.

Uśmiechnęła się, gdy pochylił się szybko i musnął jej policzek ustami. Nie wychodzili pierwsi, ale na pewno jako jedni z pierwszych.

– Poczekaj chwilkę, Wyatt, zanim pojedziecie. Mam coś dla ciebie. – Podniosła się i zagarnęła poły haftowanej kaszmirowej chusty, którą zarzuciła sobie na ramiona, po czym zniknęła w sypialni.

– Wyatt! – zawołała po chwili, spodziewając się, że ruszy w ślad za nią.

Niechętnie zostawił żonę i podążył za jej głosem w głąb korytarza.

– Zamknij drzwi, kochanie – poleciła. Posłuchał, ale doleciało ją dyskretne westchnienie irytacji. – Wiem, że się spieszysz do swoich... eee... „spraw”, ale Peter prosił, żebym ci to dała. Bardzo nalegał. A jego życzenie jest dla mnie tak samo ważne jak dla niego. – Uśmiechnęła się i wręczyła mu książkę. Zielona okładka zaczynała się już strzępić na grzbiecie i w rogach.

Wyatt przesunął dłonią po wytłoczonym na okładce spłowiałym obrazku słonia i prostych, złotych literach. To była ulubiona książka Petera, *Księga dżungli* Rudyarda Kiplinga, jego największy skarb.

Wyatt osunął się na łóżko, a książka sama otworzyła mu się w rękach.

– „Ja i wy jesteśmy jednej krwi!”³ – przeczytał na głos. Uśmiechnął się do matki, a potem znów objął wzrokiem pożółkłą kartkę obsypaną drobnym, gęstym drukiem. Była piękna. – Nie wiem, co powiedzieć. On... naprawdę chciał mi ją dać?

Krtań poruszyła mu się, gdy przełykał wzruszenie.

– Tak. On cię kochał, Wyatt. Bardzo cię kochał.

Wyatt wydał policzki i wypuścił powietrze oszołomiony i zażenowany.

– Kurczę. – Pokręcił głową, najwyraźniej całkiem zaskoczony. – Ja też... No wiesz...

Ja....

Skinęła głową.

– Tak, Wyatt, wiem.

– Czytał mi ją, kiedy byłem mały.

Skinęła drugi raz.

– Tak, Wyatt, wiem.

Bea uśmiechnęła się do swoich wspomnień i otworzyła laptopa. Mała koperta zamrugła do niej w rogu ekranu. Skupiła się i, pamiętając o wskazówkach Flory, przesunęła palcem po płycie na komputerze, przemieściła strzałkę i kliknęła. Ku jej zaskoczeniu, e-mail się otworzył.

– Ha! – obwieściła z dumą, zerkając na Petera na ścianie, a on posłał jej uśmiech pełen uznania.

Od: Święteczna Kawiarenka

Temat: Re: Dzień dobry raz jeszcze!

Bea, to naprawdę Twój pierwszy w życiu e-mail? Co za zaszczyt! Nie przejmuj się, odstępy międzysłowami są zbyt przereklamowane. „Pzdr” oznacza „pozdrowienia”!

W Świętecznej Kawiarence pracuje ze mną Elsie, posępna jak dzień długi, ze spojrzeniem, od którego warzy się mleko w dzbanku, ale lojalna jak nikt.

Twój e-mail jest dla mnie jak zbawienie: właśnie się przewracam, bo nie mogę usnąć, a tu piiiip!, dostaję Twoją wiadomość. Niesamowite! Przykro mi z powodu Twojego męża. Wiem, jak to jest, jedziemy na tym samym wózku. Dla mnie to już ponad dziesięć lat. Bardzo pomagają mi długie spacerunki. To moja ucieczka i największa ulga. A Szkocja to naprawdę piękny kraj. Jedyne w swoim rodzaju. Daję słowo, że nigdy nie czuję się tak blisko Boga jak wtedy, kiedy stoję we mgle na pofałdowanym wrzosowisku i patrzę na porośnięte mchem zbocza i uśpione tafle jezior, nad którymi unoszą się poranne opary, a zza horyzontu wygląda błękit nieba. I mam

to wszystko tuż-tuż za oknem! W porównaniu z Australią wszystko tu jest o wiele bliżej. Z przyjemnością posłużę Ci za tłumacza i przewodnika.

Pzdr i xxx

Alex

PS Myślę, że mogłabyś być moją nową e-przyjaciółką.

PPS Profesor Richards już wie, że nie bardzo przepadasz za kotami, ale nie wydaje się zbyt urażony.

Bea roześmiała się w głos. Zabawna kobieta. Cudownie było tak sobie gawędzić z kimś na drugim końcu świata, jakby siedział w pokoju obok. Pozazdrościła Alex jej wewnętrznego spokoju i zapragnęła sama przejść się po tych zamglonych wrzosowiskach i tak się wyciszyć. Spodobał jej się pomysł z e-przyjaciółką, cokolwiek to oznaczało. Wskoczyła do kuchni, przynaglając czajnik, żeby szybciej się zagotował, i wrzuciwszy do kubka torebkę earl greya i plasterki cytryny, zaczęła obmyślać już treść odpowiedzi.

Od: BeaG

Temat: Re: Dzień dobry raz jeszcze!

Witaj, Alex,

Z tego, co piszesz, to naprawdę musi być u Was bardzo pięknie. Zazdroszczę Ci takiej wspaniałej okolicy na spacer. My mamy Góry Błękitne i nigdy w życiu nie widziałam nic równie pięknego jak wschód słońca nad Trzema Siostrami z tarasu Echo Point. Byliśmy tam z Peterem wielokrotnie, ale szczególnie pamiętam, kiedy zabrał mnie tam po raz pierwszy. Przyjechała też jednocześnie jakaś rozwrzeszczana grupa turystów i każdy przepychał się, żeby zrobić jak najlepsze zdjęcie. Ale kiedy zza skał wyjrzały pierwsze promienie, wszystkim aż głos odebrało z zachwytu. Wstyd się przyznać, ale nie byłam tam już od ponad roku. Prawda jest taka, że zwyczajnie boję się tam pojechać bez niego.

Musisz wiedzieć, że do czternastego roku życia mieszkałam w Anglii, w Surrey, ale jakoś nigdy się nie złożyło, żebyśmy kiedykolwiek wybrali się do Szkocji. Od tamtego czasu już tam nie byłam. Bardzo lubię powracać do tego okresu dzieciństwa. Nie utrzymuję niestety bliskich kontaktów z rodziną, to długa historia i raczej na inną okazję, ale z przyjemnością wspominam tamte lata, kiedy jeszcze nie miałam pojęcia, jakim torem potoczy się moje życie. Pamiętam, że bardzo często się śmiałam.

Bea przerwała na moment, bo przyszła jej na myśl starsza siostra, konie z Epsom Downs, o których opowiadała Florze, i białe Boże Narodzenie. Westchnęła i wróciła do pisania.

Jak widzisz, bardzo się staram i chyba udało mi się opanować wstawianie odstępów. Nie mam wprawy w pisaniu na klawiaturze i zajmuje mi to całą wieczność. Na maszynie szło mi znacznie szybciej. Muszę się trochę wyrobić.

Mnie także jest przykro z powodu Twojej bliskiej osoby. Dziesięć lat to szmat czasu. Szczerze mówiąc, nie lubię być sama. Czasami czuję się taka słaba i opuszczona, że nic nie jest w stanie mnie rozweselić. Bywają dni, kiedy mam wrażenie, że świat wiruje zbyt szybko i mam ochotę wysiąść. Zdarza Ci się to czasem?

xxx

Bea

Wspomnienie siostry i szczęśliwych, dziecięcych lat wytrąciło ją z równowagi. Jako czternastolatka była jeszcze beztroskim dzieciakiem, kompletnie nieświadomym tego, że parę lat później cały jej świat odmieni się w sposób, którego nigdy by nie przewidziała. Pomyślała o eskapadach, które urządzali sobie z Peterem, objeżdżając ten rozległy, piękny kraj, który stał się ich domem. *Brakuje mi tego...* Nagłe piknięcie laptopa wyrwało ją z zadumy.

Od: Święteczna Kawiarenka

Temat: Re: Dzień dobry raz jeszcze!

Trzy Siostry! To brzmi dumnie, zaraz je sobie wyszukam.

Odnosnie do Twojego pytania: tak, czuję się tak bardzo często. Świat zmienia się tak szybko i mam wrażenie, że nie daję rady nadążyć. Prawda jest jednak taka, że boję się, że jeżeli naprawdę przyhamuję, to zapomnę, po co wstaję z łóżka co rano i stracę wszelki cel. Mówię to teraz komuś po raz pierwszy. Może po prostu łatwiej jest otworzyć się wirtualnie.

Dobrze, zrobiło się późno i oczy mi się kleją. Miło było pogadać. I nie martw się, nie jesteś sama. Święta to trudny okres dla wielu z nas.

Pozdrawiam serdecznie

Alex

xxx

2 R. Kipling, *Księga dżungli*, tłum. Franciszek Mirandola, Wydawnictwo Polskie, Lwów–Poznań 1923 (przyp. tłum.).

3 Tamże.

Osiem

– *Santa Maria!* Tutaj też ten jarmark? To już szczyt wszystkiego! Wszędzie to samo! Byłem wcześniej na zakupach w Paddy’s. Cała hala obwieszona jest tym migającym badziewiem i co krok człowiek wpada na jakieś cholerne świcidelka i roztańcowane mikołaje z cukrowymi laskami. Przychodzę tutaj i co? Nie sposób się od tego uwolnić! – Pan Giraldi pogardliwie potrząsnął głową i usiadł przy swoim stoliku.

Tait się uśmiechnął.

– Oj, panie Giraldi, nie będzie nam pan teraz chyba zgrywał wujaszka Scrooge’a! Trzeba poddać się nastrojowi chwili!

Weszła Kim z deską pełną przekąsek, którą wносиła na zewnątrz.

– O, Kim! – zawołał Tait. – Mówię właśnie, że my tu stajemy na głowie, żeby stworzyć świąteczną atmosferę, a pan Giraldi psuje cały urok! Świcidelka mu się nie podobają!

Kim wlepiła w niego wzrok i skinęła głową.

– Ja... Myślę, że... – zdołała wykrztusić, po czym zawróciła do kuchni i zaczęła z rozmachem ustawiać naczynia w zmywarce.

– Znowu jej mowę odjęło. – Pan Giraldi zachichotał, rytmicznie postukując laską o podłogę. – Mam tyle wnuków, że święta mnie zwyczajnie rujną. Jedyne czego chcą, to pieniądze! Po prostu nie do wiary! Pieniądze! Po co dzieciom pieniądze? Za moich czasów człowiek cieszył się, kiedy dostał satsumę, orzecha i kartkę z życzeniami!

Tait już miał odpowiedzieć, kiedy kątem oka dostrzegł Wyatt’a pnącego się w górę po zboczu z Florą za plecami. Łatwo ją było poznać po burzy orzechowych włosów.

W chwilę później Wyatt wszedł do środka.

– Jest mama?

– No pewnie. – Tait wskazał kciukiem na kuchnię. – Na zapleczu.

– Cześć, Tait – odezwała się Flora zduszonym głosem. Oczy miała czerwone i zapuchnięte od łez.

– Wszystko w porządku, Mały Kliczko? – rzucił Tait szeptem.

Flora skinęła nieznacznie i zniknęła za wahadłowymi drzwiami kuchni w ślad za ojcem.

– Wyatt! Co, na Boga...? – Bea podniosła wzrok znad lady i wytarła o fartuch dłonie unurzane w mące. – Flora? Co się dzieje?

– Babciu! – Flora zarzuciła jej ręce na szyję.

– Przepraszam, że tak wpadliśmy, mamo. – Wyatt obejrzał się na Kim, nie chcąc się wdawać w szczegóły w jej obecności, szczególnie, że cała sala też nastawiła uszu.

– Możesz zostać sama na posterunku, Kim? – zapytała Bea znad ramienia wnuczki.

– Jasne – odparła Kim, usiłując nie gapić się na całą trójkę stojącą niezgrabnie pośrodku. Powietrze jakby zgęstniało od emocji. Flora wyglądała tak nieszczęśliwie, że Kim zrobiło się żal.

– Chodźmy na górę – powiedziała Bea łagodnie. Wypuściła wnuczkę z objęć, opłukała ręce pod kranem z gorącą wodą i ruszyła schodami na poddasze. – Wyatt, możesz nastawić czajnik?

Flora cisnęła torbę na podłogę w salonie i sama runęła na kanapę.

Bea stała przez chwilę, patrząc, jak zanosi się płaczem, po czym podeszła do drzwi balkonowych i otworzyła je, mając nadzieję, że lekki wietrzyk ostudzi nieco rozpalone nerwy.

– Flora, o co chodzi? Co się znowu stało? Byłaś taka radosna, kiedy wczoraj stąd wychodziłaś.

– O, nie wątpię – wtrącił Wyatt, przechodząc obok matki tak, że oboje stanęli naprzeciwko Flory leżącej na kanapie. – No, dalej, pochwal się babci, co zrobiłaś. – Jego głos był twardy i nieprzyjemny.

Flora wzruszyła ramionami naburmuszona i wbiła wzrok w podłogę.

Wyatt westchnął.

– Kiedy wczoraj wieczorem zadzwoniłaś i wyszedłem z domu, żeby ją odebrać, Sarah postanowiła ogarnąć trochę jej pokój, zmienić pościel i zrobić małe porządki. – Urwał. – Pod łóżkiem znalazła reklamówkę z przyborami do makijażu.

– Kochanie, chyba nie ma nic złego w tym, że się troszkę maluje? Ma czternaście lat – odezwała się Bea ugodowo, zastanawiając się, o co ta cała historia. Ojcu musi być naprawdę trudno przyjąć do wiadomości, że jego mała dziewczynka dorasta.

– Maluje się od małego, zawsze pozwalaliśmy jej się w to bawić, wiesz przecież. Ale to było coś innego. Nie takie zwykłe kosmetyki z drogerii, ale nowiutkie, jeszcze nieodpakowane produkty luksusowych marek. Ukradzione.

– Ukradzione? – Bea spojrzała na Florę.

– To nie ja! Ja ich nie ukradłam. Mówiłam, że tylko je przechowywałam – zawyła Flora, jakby krzyk dodawał większej mocy jej słowom i uderzyła w kanapę zaciśniętą pięścią.

– To kto je ukradł? – zapytała Bea.

Flora wzruszyła ramionami.

– Flora, nie wiem, kogo próbujesz ochraniać, ale ta osoba na pewno nie kiwnęłaby palcem, gdyby to chodziło o ciebie. Nikt, kto ma choć odrobinę przyzwoitości, nie poprosiłby cię o przechowanie ukradzionych rzeczy. To chyba oczywiste. – Bea westchnęła. *Cholerna Lori z wielkimi cyckami, bez wątpienia.*

– Nie wracam z tatą do domu! Nie ma mowy! – krzyknęła Flora.

– Dobrze już, dobrze. – Bea opuściła dłonie w powietrzu. – Postarajmy się zachować spokój i znaleźć jakieś wyjście.

– Nie ma żadnego wyjścia. Oni w ogóle mnie nie słuchają. Nienawidzę ich, niech wypierdalają oboje! – wrzasnęła w kierunku ojca.

Bea zamarła, a Wyatt widocznie się wzdrygnął.

– Nie wolno ci tak mówić! Nie będę tolerować takiego języka u siebie w domu, a już na pewno nie w stosunku do twojego taty. Słyszysz, co powiedziałam? – Bea przywołała całą surowość, na jaką mogła się zdobyć, chociaż sama była już bliska łez. Z przerażeniem przyglądała się, jak jej słodka dziewczynka staje się kimś nie do poznania.

– No, i z tym mamy właśnie codziennie do czynienia. – Wyatt wystawił w stronę córki rozpostartą dłoń, zwracając się do Bei, jakby Flory z nimi nie było.

– To na co jeszcze czekasz? Jedź sobie! – wrzasnęła Flora przez łzy. – Nienawidzę cię!

Wyatt przyjrzał się matce.

– Mam jechać? Nie chcę jej tak zostawiać i nie chcę, żeby to był teraz twój problem, ale boję się, żeby nie poniosło jej jeszcze bardziej. Naprawdę nie wiem, co robić. – Jego głos był stonowany mimo zdenerwowania.

Bea podniosła ramiona i opuściła je nisko tak samo bezradna.

– Nie wiem, co ci poradzić. – Przygryzła usta i spojrzała na wnuczkę, która zwinęła się w kłębek na kanapie. – Może teraz jedź, poczekamy, aż wszystko trochę się uspokoi i zadzwonię do ciebie później, co?

Wyatt kiwnął głową.

– Wyjeżdżam, Flora. Porozmawiamy później. – Nachylił się i próbował odgarnąć włosy, które zakryły jej twarz. Flora trwała bez ruchu z zamkniętymi oczami.

Bea patrzyła za nim, gdy schodził Reservoir Street w stronę samochodu z telefonem przy uchu. Pewnie zadzwonił do Sarah, żeby przekazać jej, jak sprawy stoją. Na widok jego zbolalej sylwetki poczuła nagły przypływ złości w jego imieniu. Kochała swoją wnuczkę, oczywiście, ale nie mogła pozwolić na doprowadzanie swojego syna do takiej rozpacz.

Bea usiadła na skraju kanapy i czekała, aż Flora wyparska z siebie cały gniew, z nadzieją, że cisza i spokój pomogą się jej opamiętać.

*Jeżeli czekać zdołasz, nie czując zmęczenia,
Samemu nie kłamiesz, chociaż fałsz panuje,
Lub nienawiścią otoczony, nie dasz jej wstąpienia,
Lecz mędrca świętego pozy nie przyjmiesz...4*

Zamyśliła się, a w głowie rozbrzmiewał jej wciąż jego głos recytujący w kółko tych kilka wersów. To był jej wiersz na trudne dni od czasów, kiedy była młoda – niewiele starsza od Flory, ale tak samo zagubiona w świecie. Może Florze też by przyniósł ulgę?

Bea pamiętała niezmaconą ciszę tej nocy, kiedy usłyszała go po raz pierwszy, jakby to było wczoraj. Siedzieli z wyciągniętymi nogami na szorstkim pokładzie statku pośród rozbujanych fal oceanu i przyglądali się, jak gwiazdy coraz bardziej blakną, a mrok rozprasza się i umyka przed purpurowym brzaskiem. Tej nocy spotkała miłość swojego życia. Jej rodzice i pozostali pasażerowie spali pod pokładem, zostawiwszy ich samych w ciemności. Korzystając z okazji, położyła mu głowę na ramieniu, zamknęła oczy i słuchała, jak deklamuje swój ulubiony wiersz w absolutnej ciszy. „Jeżeli czekać zdołasz, nie czując zmęczenia...”. *Mój Boże*, pomyślała Bea, *ta linijka powinna być wryta na moim grobie*.

Pół godziny później Flora podniosła głowę, odrzuciła włosy na plecy i podciągnęła się do na wpół siedzącej pozycji. Jej postawa stała się mniej agresywna, a głos zabrzmiał jasno i czysto.

– Nie ukradłam tych rzeczy.

Bea przyjrzała się jej zaczerwienionym oczom i nabrzmiałym policzkom.

– Wierzę ci. Ale wiedziałaś, że ktoś je ukradł?

Flora kiwnęła głową.

– No właśnie. Muszę przyznać, że w tej chwili bardziej niepokoi mnie sposób, w jaki odezwałaś się dzisiaj do taty niż torba głupich kosmetyków.

– Nie dali mi nic wytłumaczyć. Próbowałam wyjaśnić, że to nie ja je ukradłam, a oni na to, że skoro nie ja, to muszę zaraz powiedzieć im kto i że trzeba zadzwonić po policję, a gdyby to zrobili... – Jej pierś znowu unosiła się szybko. Zamknęła oczy.

– Nie zrobią tego, Flora – zapewniła ją Bea z nadzieją, że to prawda. – Weź głęboki oddech i spróbuj się uspokoić.

– Nienawidzę ich! – wymruczała dziewczyna.

– Nieprawda, kotku. Wierz mi. Bardzo by im było przykro to usłyszeć. Widziałaś oczy taty? Był w absolutnym szoku i wcale mu się nie dziwię. To naprawdę nie jest sposób, w jaki powinnaś mówić do lub o swoich rodzicach.

– Ty nie rozumiesz. – Flora pokręciła głową.

– No to mi wytłumacz. Czego jeszcze nie wiem? Bo nie mam zamiaru do niczego się mieszać, dopóki nie zrozumiem całej sytuacji.

Flora westchnęła.

– Jest taki klub.

– Klub nocny? – upewniła się Bea, zastanawiając się, czy ta historia ma coś wspólnego z nocowaniem na plaży.

– Nie! – Flora uśmiechnęła się blado wśród czań. – Taka grupa ludzi ze szkoły, którzy wydają sobie różne rozkazy i tego typu rzeczy.

– Jakie rzeczy?
Flora wzruszyła ramionami w typowy dla siebie sposób.
– Nie wiem, na przykład trzeba się schować za płotem i coś krzyknąć.
– Co?
– No, na przykład... „wypierdalać”. – Policzki jej zapłonęły, bo wymówiła to słowo już drugi raz w ciągu ostatniej godziny.
– Na litość boską, Flora! I ty uważasz, że to dobra zabawa?
Flora spuściła oczy i ponownie wzruszyła ramionami.
– Nie cierpię być w ósmej klasie. Maisie się wyprowadziła.
– O, nie wiedziałam. – Bea przypomniała sobie przemiłą dziewczynkę z sąsiedztwa, z którą Flora przyjaźniła się od przedszkola i która była obecna na każdym przyjęciu i w każdej opowieści jej wnuczki.
– Jej tata dostał pracę w Darwin.
– I co, brakuje ci jej?
– Tak – szepnęła Flora. – Nie mam żadnych innych przyjaciół, a wtedy Lori i Katie powiedziały, że mogę przyjaźnić się z nimi, ale muszę najpierw wykonać ich rozkaz, a potem zdarzyła się ta afera z Marcusem i już nie chcę wracać do szkoły po świętach. Nie mogę.
Bea ogarnęła wnuczkę ramionami i przytuliła mocno.
– Wpakowałaś się w niezłą kabałę, ale wszystko się jakoś ułoży. Poczekaj tylko, a sama zobaczysz.
– Przepraszam, Bea – miauknęła Flora.
– Za co, skarbie?
– Że dwa razy powiedziałam przy tobie „wypierdalać”.
Bea zanurzyła rękę w pięknych włosach dziewczynki i przesypywała je między palcami.
– To w sumie trzy, jeżeli liczyć z twoimi przeprosinami, skarbie. – Pocałowała wnuczkę w czubek głowy i uśmiechnęła się do fotografii Petera. Wiedziała, że miałyby z całej tej historii niezły ubaw.
Kiedy Flora usnęła, wyczerpana huśtawką emocji, Bea rozważała, co dalej robić. Postanowiła zadzwonić później do Sarah, żeby ustalić wspólne stanowisko. Przede wszystkim należało przyjąć jedną strategię. Uderzyła ją ta złożoność relacji w rodzinie. Przypomniał jej się wieczór kilkanaście lat temu, kiedy Wyatt wywołał ją z kuchni cały przejęty. „Chodź, mam”, przynagłał, ciągnąc ją za rękę do stołu w jadalni, gdzie siedziała jego nowa koleżanka, Sarah.
Gdy nadszedł czas deseru, Bea z dumą zaprezentowała swój osławiony mus czekoladowy w uniesionej wysoko salaterce, wiedząc, że to ulubiony przysmak Wyatta.
– Ho, ho, ho! – zaśmiał się Peter. – Oto danie główne, i, o ile wiem, zupełnie bez mięsa!
Sarah zerknęła na niego kątem oka, ale milczała, nie chcąc narażać się na dalsze docinki. Wcześniej, gdy Peter kroił pieczeń wołową, oznajmiła, że jest pescowegetarianką⁵, na co Peter lekko się „zacukał”.
– A co to znaczy? – zapytał. – Czy to znak zodiaku zaraz po Bliźniętach?
– Jakie masz plany, Sarah? – Bea postawiła mus na stole, próbując zachęcić gościa do rozmowy. – Wyatt mówi, że studiowałaś historię?
– Tak, to prawda, ale w tej chwili jeszcze nie pracuję.
– A co byś chciała robić? – zainteresowała się Bea, żeby nieco ośmielić dziewczynę, która przez cały wieczór wypowiedziała najwyżej kilka słów.
– Tak naprawdę to nie wiem. Może coś w jakimś muzeum albo galerii, ale nie jestem pewna. Czekam, aż nadarzy się interesująca okazja. Nie chcę utknąć w jakiejś nudnej robocie. Moja mama mówi, że lepiej trzymać się marzeń niż ugrzęznąć w czymś, co nie da mi

przyjemności.

– No, może i tak – rzekła Bea, zdusiwszy wszystkie inne słowa, jakie cisnęły jej się na usta. *A skąd będziesz wiedziała, że zdarza się okazja, jeżeli sama dobrze nie wiesz, o czym marzysz? A twojej matce powiedziałabym, że chyba jednak lepiej, żebyś coś robiła, wszystko jedno, cokolwiek, niż siedziała i czekała, aż Wyatt na ciebie zarobi. Stań najpierw na własnych nogach. Odrobinę godności, dziewczyno!*

– Mamo, poczekaj chwilę, chciałbym coś powiedzieć.

Peter rzucił żonie przelotne spojrzenie, ale ona nie odrywała oczu od syna.

Wyatt wziął Sarah za rękę.

– Ekhm, no tak, jakby to powiedzieć...

Przez ułamek sekundy Bea rozważała, czy nie zacząć krzyczeć, symulując na przykład skurcz, albo roztrzaskać salaterkę o podłogę, żeby tylko wprowadzić jak największy zamęt, z nadzieją, że uda jej się odwrócić ogólną uwagę i może cała rzecz odejdzie w zapomnienie. Małe jednak były na to szanse, więc tylko spróbowała przygotować się na ciąg dalszy.

Wyatt podniósł kieliszek i wypuścił powietrze.

– Chodzi o to, że poprosiłem Sarah, żeby za mnie wyszła i miło mi wam ogłosić, że powiedziała „tak”!

Peter zerwał się z miejsca i zaczął gorąco klaskać.

– Brawo! Brawo, Wyatt! To wspaniała wiadomość. Chyba mam gdzieś jakieś bąbelki, musimy to przecież uczcić! – Mrugnął do żony i lekko ścisnął jej ramię, wychodząc z pokoju do kuchni.

Bea miała świadomość, że uśmiecha się nieco sztucznie i reaguje z pewnym opóźnieniem. Tylko tak mogła powstrzymać się od histerycznego krzyku. Sarah zdecydowanie odbiegała od wizerunku żony, jaką wymarzyła sobie dla Wyatta. A Peter oczywiście przewidział to, jeszcze zanim przyszli.

– Mówię ci, to może być ta jedyna – powiedział z uśmiechem i przezornie wpakował dwie butelki szampana do lodówki, tak na wszelki wypadek.

– Oj, tylko siebie posłuchaj! „Ta jedyna”! – zachnęła się Bea. – Ale z ciebie wapniak! I nie, nie spodziewam się żadnych deklaracji. Dopiero co się poznali! – W rzeczywistości nie lubiła tego rodzaju rozmów i na ogół unikała stwierdzeń typu „ta jedyna” albo „miłość życia”. Nawet po trzynastu latach małżeństwa na dźwięk takich słów przed oczami pojawiała się jej inna twarz i czuła się wówczas równie nielojalna, co przygnębiona.

– Może i tak, ale kiedy wiesz, to wiesz. Popatrz na mnie. Zatwardziały stary kawaler dobiegający pięćdziesiątki, a nagle pojawiaasz się ty i bam! Już było po mnie!

– Byłeś kawalerem tylko dlatego, że nie widziałeś życia poza pracą, a trudno spotkać „tę jedyną”, kiedy się praktycznie nie wstaje zza biurka!

– Pozwolę się z tobą nie zgodzić. Spójrz tylko, jak dobrze na tym wyszedłem. Przecież właśnie w ten sposób ciebie znalazłem! – zarżał Peter.

Bea cmoknęła go w rękę.

– To był mój szczęśliwy dzień.

– Mój też.

– Ale nie wydaje mi się, żeby Wyatt miał teraz takie rzeczy w głowie. Ledwo skończył studia, jest jeszcze za młody, żeby się ustakowywać.

Peter wybuchnął śmiechem.

– Ty w jego wieku już miałeś dziecko. Jeżeli w ogóle, to chłopak już jest do tyłu.

– O rany, wiem, że masz rację, ale nic na to nie poradzę. Kiedy o nim myślę, zawsze widzę małego chłopca w czapce z daszkiem i w krótkich spodenkach machającego za naszym

samochodem, kiedy odwieźliśmy go do szkoły, jak robi dzielną minę i rażno się uśmiecha, chociaż w głębi duszy jest przerażony. Chyba już zawsze będę go tak widzieć.

– To rozumiacie. Pewnie wszystkie matki lubią się czuć potrzebne, nawet kiedy już nie są.

– A ja nie jestem?

– Nie, moja kochana. I to bardzo dobrze.

Bea uśmiechnęła się, wspominając tamtą rozmowę i umiejętność, z jaką zawsze potrafił ją uspokoić i podnieść na duchu.

Pozwoliła Florze spać przez godzinę, lecz w końcu spojrzała na zegarek i zobaczyła, że zbliża się jedenasta.

– No, śpiąca królewno! Nie będziesz mi się tu użalać nad sobą na kanapie przez cały dzień. Chodź, pomożesz w kuchni, a kiedy już się przewali obiadowy ruch, możemy sobie wyskoczyć na małą przechadzkę, na przykład do Woolloomooloo albo możemy pójść nad kąpielisko i wrócić przez Fotel Pani Macquarie. Nie ma to jak porządny spacer na przewietrzenie głowy, a może z powrotem zajrzemy gdzieś na lody? Co ty na to?

Flora usiadła, wydmuchała nos i kiwnęła głową. Czuła się już lepiej.

– Tak, dziękuję, chętnie.

Tait i Kim wspaniale się nią zajęli, wynajdując jej mnóstwo zajęć, jak składanie serwetek albo polerowanie sztućców, żeby ją rozerwać. Kiedy pora lunchu dobiegła końca, obie, przystrojone w kapelusze od słońca i ciemne okulary, ruszyły pod górę stromym zboczem Reservoir Street, rozkoszując się ciepłym wiatrem szeleszczącym w koronach eukaliptusów wzdłuż drogi.

Zaskoczona Flora z trudem dotrzymywała babci kroku. Bea, jako zaprawiona spacerowiczka, poruszała się zwinnie i szybko.

– Gdybym wystawiła moje converse’y przed drzwiami, pewnie przeleciałyby tę drogę same! – lubiła żartować.

Ustąpiła na bok, żeby przepuścić ubranego na sportowo biegacza z synkiem na ramionach. Mały wyciągał rączki do sączącego się przez liście światła, próbując pochwycić mijane gałęzie i dosięgnąć nieba.

– Dziękuję. – Uśmiechnął się ojciec, a berbecz zapisał radośnie.

Mama biegła za nimi, popychając przed sobą podwójny wózek, w którym przypięte pasami siedziały dwie rozkoszne bliźniaczki w identycznych okularkach i kapelusikach.

– Dziękujemy. Próbujemy nadążyć, ale z tym nie jest łatwo. – Wskazała głową masywny wehikuł.

– Przesłodka dziewczuszki – powiedziała Bea kompletnie zauroczona.

– Dziękuję. Mamy jeszcze dwójkę, ale są w szkole.

– Szczęściarze z was!

– Miłego dnia! – Pomachała kobieta w legginsach i pognąła przed siebie, nieomal doganiając męża.

– To się nazywa rodzinka! Wyobrażasz sobie, jak musi u nich wyglądać zwykła, codzienna kolacja? – Bea się roześmiała, myśląc jednocześnie, że wiele by dała za taki rozgardiasz w domu.

– Chciałabym mieć rodzeństwo albo kuzynów – zauważyła Flora.

– Tak? A dlaczego?

– Bo wtedy rodzice nie mieliby takiej obsesji na moim punkcie. Musieliby rozłożyć po równo to swoje węszenie i miałabym trochę spokoju!

– Są tego dobre strony. Masz ich obydwójce tylko dla siebie, nie musisz się z nikim

dzielić. To chyba też fajne.

– Eee! Ja tak nie uważam.

– Twój tata był jedynakiem i dzięki temu cała kasa, jaką udało się zdobyć, szła wyłącznie na niego. – Bei przypomniał się moment, gdy dostała swoją pierwszą prawdziwą wypłatę i mogła wreszcie kupić mu nową koszulkę i dżinsy. Pamiętała, że wcisnęła mu jeszcze kilka banknotów do garści: „To dla ciebie, kochanie, kup sobie, co będziesz chciał!”. To było miłe uczucie. – Nie wiem, jak dałabym sobie radę, gdybym miała ich więcej.

Flora wzruszyła ramionami.

– No tak, ale u nas by można.

– To fakt.

– Zwłaszcza na Gwiazdkę albo urodziny, nie sądzisz, że byłoby fajnie mieć w domu cały tłum, a nie tylko nas troje? Byłoby z kim pogadać i pograć w różne gry. Byłoby super. Prawdziwa, porządna impreza.

Bea pomyślała o panu Giraldim.

– To prawda, kochanie.

– Czasami potrzeba mi odrobinę przestrzeni, trochę więcej swobody. Ale oni ciągle dopytują, co u mnie słychać. Ledwo wejść do domu, a już zarzucają mnie milionem pytań. Szału można dostać! A jak się nie odzywam, to pytają, co się dzieje, a dzieje się tyle, że chcę tylko, żeby się zamknęli i dali mi spokój!

Bea przypomniała sobie weekendy, gdy Wyatt przyjeżdżał ze szkoły. „Jesteś głodny? Trzeba ci coś uprać? Co chcesz na podwieczorek? Może cię podwieźć? Nie chcesz, żeby przynieść ci koc?”. Pamiętała jego ciągle, pełne irytacji westchnienia. Trudno było jednak nie rzucać się na niego – tak strasznie za nim tęskniła, tak bardzo go kochała. Do teraz nie przyszło jej nawet do głowy, że takie zainteresowanie może być męczące.

Skręciły w lewo, żwawym krokiem przemierzyły Crown Street, po czym puściły się w dół Bourke Street. Po kilku kilometrach kluczenia bocznymi uliczkami przeszły nad główną arterią po metalowej kładce, a przed nimi wyrosły charakterystyczne, bladezielone budynki moło Woolloomooloo. W ciągnących się wzdłuż pomostu restauracjach siedziały tłumy eleganckich ludzi, którzy popijali zimne białe wino, zajadali świeże owoce morza i kopiałe porcje sałatek, podziwiając widok na ekskluzywne jachty przycumowane w prywatnej części przystani. Przed Café na Kółkach Harry’ego wiła się długa kolejka, złożona głównie ze spragnionych mrożonej kawy mam z bobasami śpiącymi w zakapturzonych wózkach.

Przystanąły na chwilę i przyglądały się ciemnej toni wody aż gęstej od meduz.

– Okropnie jest mieć trzynaście lat – oświadczyła Flora, kopiąc lekko nogą w niewysoki murek.

– Dlaczego, kochanie?

Flora wzruszyła ramionami.

– Bo się w ogóle nie liczę. Jestem za mała, żeby cokolwiek zrobić i w ogóle nie mam wpływu na to, co się ze mną dzieje. Czuję się, jakbym żyła w ciągłym zawieszeniu.

Bei cisnęło się na usta mnóstwo rzeczy – dobre rady i słowa pocieszenia. Musiała jednak uważać, żeby nie popaść w przesadny sentymentalizm, bo wtedy utraciłaby wszelki autorytet, próbowała więc starannie dobierać słowa.

– Masz rację, z tego punktu widzenia świat może wydawać się dość przerażający. Ale nie jesteś jedyna. Wszyscy czasem się tak czujemy. Ja mam prawie sześćdziesiąt lat, a i tak czuję się nieswojo, kiedy nie wiem, co kryje się za zakrętem. Ale wiesz co? Tam może czekać coś fantastycznego! I nie masz racji, mówiąc, że się w ogóle nie licysz: w tej chwili troje dorosłych myśli wyłącznie o tobie i się o ciebie martwi. W zasadzie to pięcioro, bo chyba możemy doliczyć

też Taita i Kim.

– Myślisz, że powinnam napisać do rodziców? – wyszeptwała Flora, podnosząc twarz do słońca i przymykając oko.

– Myślę, że powinnaś zrobić to, co uważasz za słuszne. Na twoim miejscu wolałabym jakoś wyjaśnić całą sprawę, bo tylko jeszcze bardziej by mnie to dręczyło.

Flora skinęła głową i wsunęła rękę do kieszeni, sięgając po telefon. Razem z nim wyciągnęła cienką, kremową kopertę.

– Och! Całkiem zapomniałam. Tata prosił, żebym ci to dała. Podobno znalazł to w jakiejś książce po dziadku.

Bea przystanęła pośrodku molo, wzięła list i uśmiechnęła się zaskoczona na widok pochylonego pisma Petera nakreślonego czarnym tuszem, którego zawsze używał. Co to mogło być?

Podczas kiedy Flora zatonęła w swoim telefonie, Bea wyłuskała kartkę z koperty i zachłannie omiotła ją wzrokiem. Był to jeden, prosty akapit pośrodku strony. Musiał schować go w książce dla Wyattta, wiedząc, że go znajdzie i jej przekaże.

Bea, jesteś jeszcze taka młoda i masz przed sobą całkiem nowe życie. Nigdy nie zapominaj, że życie jest wyłącznie dla odważnych. Nie uciekaj od szczęścia i pozwól sobie kochać! Byłaś moją największą radością. Zawsze byłem przy tobie szczęśliwy i nie mógłbym chcieć więcej.

Uśmiechnęła się, przeczytawszy tę cudowną wiadomość. Nawet zza grobu potrafił dodać jej otuchy, otoczyć ją miłością i opieką. Jak zawsze myślał przede wszystkim o niej. Niczym za dotknięciem czarodziejskiej różdżki, jego słowa jak balsam goiły przepelnione skrucą pęknięcie w jej sercu. Przeczytała je jeszcze raz i jeszcze, żeby dobrze zachować je w pamięci. *Och, Peter! Dziękuję! Dziękuję ci, najdroższy!*

Na widok jej zażawionego uśmiechu, Flora rzuciła babci pytające spojrzenie, ale Bea tylko potrząsnęła głową. Nie była gotowa, żeby o tym mówić.

– To chyba czas wielkich wzruszeń dla nas obydwu, kochanie – powiedziała. – Tak jak mówiłam, nigdy nie wiadomo, co czeka za zakrętem. Ale nie martw się, to wspaniały list. Idziemy dalej?

Kontynuowały przechadzkę po Królewskich Ogrodach Botanicznych i zrobiły postój w punkcie widokowym przy Fotelu Pani Macquarie, podziwiając migoczący w słońcu budynek opery. Bea przesunęła dłońią po powierzchni piaskowca, w którym rękami uwięzionych skazańców wykuto coś na kształt szerokiego siedzenia po to, żeby żona gubernatora, pani Elizabeth Macquarie, mogła wygodnie rozparta przyglądać się brytyjskim statkom zawijającym do portu. Bea próbowała ją sobie wyobrazić, jak siedzi w regencyjnej sukni z okresu imperium, spływając potem pod kaskadą rozlicznych jedwabi, halek i koronek. W głowie mignął jej obraz ojczystej Wielkiej Brytanii. A wraz z nim zadźwięczały jej w uszach słowa Petera: *Masz przed sobą całkiem nowe życie... Życie jest wyłącznie dla odważnych... Nie uciekaj od szczęścia...* Może powinna jednak wybrać się do kraju zamglonych wrzosowisk i uśpionych jezior, do którego jej serce i myśli powracały bez końca wśród samotnych nocy?

Gdy wróciły na Reservoir Street, Kim urządziła Florze radosne powitanie, a gdy z sali wyłonił się uśmiechnięty Tait i zaczął się z nią wygłupiać, potwierdzając tym samym, jaki jest życzliwy, zrobiło się jeszcze weselej.

– No jak, lepiej się czujesz, pięcioro? – zapytał ze szczerą troską.

– Tak. – Flora westchnęła. – W drodze powrotnej poszłyśmy na lody.

– Jasna sprawa. Na całym świecie nie ma takiego problemu, którego nie można by rozwiązać lodami. Prawda, Kim? – rzucił przez ramię.

– Aha – potwierdziła głową.

Trudno było stwierdzić, która z nich bardziej promieniała: czy Flora, zachwycona tym, w jaki sposób traktował ją zespół Kuchni Reservoir Street, czy Kim, cała rozanielona, gdy zerkała z boku na zabójczo przystojnego Taita ze słomkową czupryną.

Bei zadzwonił telefon. Otworzyła aparat i mozolnie wcisnęła klawisz, ciągle jeszcze nieprzyzwyczajona do używania komórki, po czym wyszła na zewnątrz.

– Halo? Proszę!

– Cześć, mamó.

– Wyatt! Jak się miewasz?

Krótkie wahanie po drugiej stronie dobitnie świadczyło o tym, że jest zdenerwowany.

– Dobrze. Chyba dobrze. Flora przysłała wiadomość, że przeprasza, więc to chyba jakiś krok w dobrą stronę. Boję się tylko, żeby nie myślała, że to jakaś zabawa, kiedy tak naprawdę rujnuje sobie życie. Ta banda, z którą zaczęła się włóczyć... Bardzo mnie to martwi.

– Jaka tam banda, mój drogi, to tylko dzieciaki, z których większość, jak podejrzewam, nie ma takiego oparcia jak Flora. To dobra dziewczyna, potrzebuje tylko, żeby nią pokierować.

– Tylko jej nie zachęcaj, mamó. Niech nie myśli, że to jakiś żart. To wcale nie jest śmieszne. Oboje mamy już tego powyżej uszu!

Bea była zdumiona tak gwałtownym wybuchem.

– Wyatt, jeżeli dzwonisz, żeby mi podziękować za to, że poświęciłam czas, wzięłam Florę do siebie i się nią zajęłam, to bardzo proszę. Ale nie zamierzam wysłuchiwać jeszcze twoich wymówek. – Była dumna ze swojej asertywności. Zazwyczaj puszczała jego uwagi płazem. Usłyszała, jak nabiera głęboko powietrza.

– Sarah jest w kiepskiej formie – rzekł tonem wyjaśnienia.

Bea wyobraziła sobie Sarah rozłożoną na przeszklonej werandzie ze szklanką dzinu w ręce, moczącą stopy w ogromnym basenie, uważając, żeby makijaż nie spłynął jej w słońcu.

– Rozumiem, ale powiedz jej, że nie takie rzeczy zdarzają się na morzu. – Mówiąc to, aż poczuła przesycone solą powietrze i zobaczyła się, jak idzie przez pokład w świetle księżycy w grubym golfie, znudzona rejssem i towarzystwem rodziców. I wtedy: „Panno Gerraty, to jest doktor Brodie...”. Poczuła, że oczy mrużą jej się w bezwiednym uśmiechu na myśl o tamtej chwili, kiedy żołądek podskoczył jej do gardła, w skroniach zaszumiało i od razu wpadła.

– Naprawdę, mamó, to nie jest moment do żartów!

Jego głos przywrócił ją do rzeczywistości. Najwyraźniej znowu go rozzłościła, miała do tego jakiś wybitny talent.

– Masz rację, i nie żartuję, a ty za to pamiętaj, proszę, że twoja córka jest mądrą, zdrową dziewczynką, która ma tylko trzynaście lat. I nie rujnuje sobie życia, tylko próbuje się w nim odnaleźć, bo ma dopiero *trzynaście* lat! Trudno jest przejść z dzieciństwa do kobiecości. Jest świetna, naprawdę świetna i każdy rodzic marzyłby o takim dziecku. Potrzebuje po prostu trochę przestrzeni i trochę czasu dla siebie.

Usłyszała, jak wzdycha.

– Cieszę się, że jest u ciebie i dziękuję ci za to, ale błagam, nie wbijaj jej do głowy tych swoich idiotyzmów – fuknęła.

Bea prychnęła śmiechem.

– Moich idiotyzmów? Posłuchaj tylko, Wyatt, jak ty do mnie mówisz! Czyli to, że twierdzą, że Florze potrzeba czasu i przestrzeni, miałyby jej zaszkodzić? A może martwisz się o moje liberalne poglądy?

– Proszę cię, nie trywializuj.

– A dlaczego nie? W ogólnym rozrachunku cała ta sprawa jest bardzo trywialna.

– Mogłem się domyślić, że tak zareagujesz.

Bea wyobraziła sobie, jak czoło czerwienieje mu pod rzadziejącymi włosami.

– Wiesz co, mój drogi, muszę wracać do pracy. Zatrzymam Florę u siebie tak długo, jak będzie trzeba, ale sugeruję, żebyście z Sarah dobrze przemyśleli to, co się u was dzieje. Flora powiedziała, że nie da się z wami rozmawiać, bo bez przerwy się wyklóciate. – Skuliła się, jak tylko wypowiedziała te słowa. Nigdy wcześniej tak się nie wtrącała.

– Jeżeli sugerujesz, że moja córka kradnie i wdaje się w bójki przez to, jak ją wychowujemy, to posuwasz się za daleko! – wybuchnęła.

– Jeżeli masz jakiś problem z tym, jak cię wychowałam, to proszę, żebyś pamiętał, że to ja dałam ci wykształcenie, wyciągnęłam ze śmierdzącego rynsztoka i posłałam na studia... Ja! – odparowała Bea. – A jeżeli uważasz, że takie sytuacje biorą się ze sposobu wychowania, to przypominam ci, że moje dziecko nigdy nie wdawało się w bójki i nie musiało chować ukradzionych rzeczy pod łóżkiem, do jasnej cholery!

Zakończyła połączenie z uczuciem nagłej radości, że zdołała się postawić synowi, chociaż zaraz potem zakłuło ją niemile w żołądku.

– Daj mi siłę! – powiedziała, wznosząc oczy do nieba.

4 R. Kipling, *List do syna*, tłum. nieznanymi (przyp. tłum.).

5 Odmiana wegetarianizmu, wyłączenie z diety mięsa, jednak pozostawienie ryb (przyp. red.).

Dziewięć

Późnopołudniowe słońce omiotło salon i rozsiadło się na przeciwległej ścianie. Bea miała potrzebę porozmawiać z kimś bliskim, a jej nowa, wirtualna przyjaciółka nadawała się do tego jak nikt. Z Alex mogła rozmawiać, kiedy miała ochotę, choćby nawet i w łóżku, nie musiała robić makijażu ani wychodzić z domu, a do tego mogła zakończyć pogawędkę w dowolnej chwili. Poza tym Alex była na tyle niezwiązana z jej życiem, że nie istniało ryzyko, że będzie się wtrącać albo ją osądzać. Idealnie.

Od: BeaG

Temat: Re: Dzień dobry raz jeszcze!

Cześć, Alex,

Boże, co za dzień! Mam nadzieję, że Ty nie masz takiego urwania głowy! Moja wnuczka mówi, że można by zmieniać nazwę Twojej kawiarenki w zależności od danej okazji, np. na Walentynkową, Wielkanocną itp. Chociaż po chwili zastanowienia, stwierdzam, że kupowanie nowego szyldu za każdym razem kosztowałoby pewnie majątek. Święteczna Kawiarenka brzmi świetnie. Czy serwujesz bożonarodzeniowe dania przez cały rok?

Zastanawiałam się nad tym, co piszesz w ostatnim mailu, że święta to trudny okres i dochodzę do wniosku, że to prawda. Samotność doskwiera mi w tych dniach znacznie bardziej. Niełatwo się przyznać, ale chciałabym mieć przy sobie mężczyznę. Lubiłam bycie w związku. Świętowanie Bożego Narodzenia bez niego to w ogóle nie to samo, cała radość wydaje się jakaś naciągana. Kiedy byliśmy razem, czułam się swobodnie w większym towarzystwie, a teraz myśl o wyjściu samej na jakąś tłumną imprezę po prostu mnie przeraża. Wiem, że to głupie, mam w końcu pięćdziesiąt trzy lata!

Usłyszałam ostatnio, że mam przed sobą całkiem nowe życie. No bo co niby? Mam się chować w domu przez następne lata? Gapić się w telewizor? Zapisać na kurs robienia na drutach? Nie. Brakuje mi towarzystwa i nie mam tu na myśli relacji miłosnych. Prawdę mówiąc, cieszyłabym się, gdyby udało mi się poprawić moje stosunki z synem. Chyba nie wymagam za wiele, prawda? Planowałam zakończyć czymś lżejszym i bardziej zabawnym, ale jakoś nic mi w tej chwili nie przychodzi do głowy. Przepraszam.

xxx

Bea

Przez chwilę siedziała i wpatrywała się w ekran, sama uderzona trafnością napisanych przez siebie słów. Żałowała, że nie należy do tych, którzy potrafią uciąć sobie błyskawiczną drzemkę. Dobrze byłoby móc wyłączyć się na dwadzieścia minut, wiedząc, że taka przerwa wyciszy mętlik w jej głowie. Zamknęła oczy i wsłuchiwała się w śmiechy dobiegające z kawiarni na parterze. Ktoś rżał na cały głos tak wesoło, że nie mogła się nie uśmiechnąć. Co za szczęście, że radość jest zaraźliwa, tak samo jak ziewanie.

Zaskoczona i ucieszona usłyszała piknięcie laptopa. Usiadła i umościła się wygodnie na poduszkach.

Od: Święteczna Kawiarenka

Temat: Re: Dzień dobry raz jeszcze!

Witaj, Bea,

doskonale rozumiem, co czujesz w czasie świąt. Boże Narodzenie niesie ze sobą pewne oczekiwania. Pojawia się jakaś presja. Oczywiście, że podajemy wyłącznie świąteczne potrawy: indyka i tradycyjny pudding – to nasze menu przez okrągły rok!

Ja też już od dawna nie czuję się swobodnie na towarzyskich spotkaniach. Zamiast tego wolę iść na spacer albo posiedzieć z książką. To, że brakuje Ci drugiej połówki, to najlepszy komplement dla Twojego męża i świadczy tylko o tym, że udało się Wam zbudować bardzo szczęśliwy związek. Co jest nie tak w Twoich relacjach z synem? I co to za urwanie głowy, o którym wspominasz? Mam nadzieję, że nie masz mi za złe, że pytam...

Ax

Bea nie zwlekała z odpowiedzią. Naprawdę czuła, jakby sobie tak zwyczajnie gawędziły, a nie wysyłały listy z jednej półkuli na drugą.

Od: BeaG

Temat: Re: Dzień dobry raz jeszcze!

Oczywiście, że nie mam Ci za złe. Urwanie głowy wzięło się stąd, że moja wnuczka Flora przechodzi trudny okres. Chwilowo mieszka u mnie, bo potrzebuje zmienić otoczenie. Nie jest łatwo, kiedy ma się trzynaście lat.

Co do mojego syna, to bardziej skomplikowana historia. Miał trudne dzieciństwo i być może nie poświęciliśmy wystarczająco dużo czasu na pewne sprawy. Prawie go nie widuję. Dzwoni raz w miesiącu i przyznam, że czasem mam wrażenie, że rozmawiam raczej z telemarketerem, który zawiadamia mnie, że wygrałam darmowy sprzęt do kuchni albo wakacje w Tajlandii. Komunikuje się ze mną za pomocą gotowych formułek i pustych frazesów. Wymieniamy zdawkowe uprzejmości, potem omawiamy pogodę na następny dzień, a potem on mówi „Muszę kończyć”, jakby nie miał czasu. A tak naprawdę to zwyczajnie nie ma mi nic do powiedzenia.

Przerwała i uśmiechnęła się gorzko, po czym zebrała się w sobie i pisała dalej.

Powiem Ci, że często, kiedy już odłożę słuchawkę, siadam i przypominam sobie, jak potrafiliśmy dawniej całymi godzinami rozprawiać o krykicie, podróżach czy o kosmosie. Bez najmniejszych oporów. Miałam to szczęście, że przyjaźniłam się z moim synem. Ale wszystko się przecież zmienia, prawda? Zmiany to chyba jedyna stała rzecz w życiu.

Bx

PS. Naprawdę codziennie podajesz indyka i świąteczny pudding?

Przez jakiś czas potem nastąpiła cisza i Bea wyobraziła sobie, jak Alex czyta jej e-mail. Przełknęła ślinę, bo ogarnęła ją nagła obawa, że za bardzo się odsłoniła.

Od: Świąteczna Kawiarenka

Temat: Re: Dzień dobry raz jeszcze!

Flora? To dopiero typowo szkockie imię! Prawdę mówiąc, ledwo umiem sobie przypomnieć, jak to jest mieć trzynaście lat. Od tamtej pory minęło już jednak trochę czasu. Ale i tak bardzo chętnie mogę się zamienić – z pocałowaniem ręki oddam bóle stawów, nieciekawe perspektywy na przyszłość i te ciągle rozmowy o chorobach z ludźmi w moim wieku.

Przykro mi słyszeć, że oddaliliście się od siebie z synem. Tak się niestety zdarza: życie pędzi na łeb na szyję i czasem łatwo zapomnieć, co jest naprawdę ważne. Rozmawiałaś z nim o tym? Być może on nawet nie zdaje sobie sprawy.

Ax

PS. Nie, oczywiście, że nie! Mamy długą i bogatą kartę zdrowych, świeżych dań przygotowywanych na miejscu.

Od: BeaG

Temat: Re: Dzień dobry raz jeszcze!

Możesz się zamienić, mówisz? No chyba! Dałabym wszystko, żeby móc pogładzić się po płaskim, gładkim brzuchu zamiast tej sflaczałej poduchy, którą teraz dźwigam.

Nasze listy sprawiają mi ogromną radość. Jesteś dla mnie nową bratnią duszą. Bardzo się

z tego cieszę, przyjaciół nigdy za wielu!

Nie, nie powiedziałam synowi o tym, jak się czuję. Myślę, że na tym właśnie polega nasz problem – zawsze tylko gędzimy o rzeczach bez znaczenia, a w ogóle nie poruszamy poważnych tematów.

Bx

Od: Święteczna Kawiarenka

Temat: Re: Dzień dobry raz jeszcze!

Zgadzam się, przyjaciół nigdy dość! Rozbawiła mnie Twoja uwaga – faktycznie gładki brzuch to i dla mnie daleka pieśń przeszłości. Nie bardzo wiem, co mogę napisać, żeby Cię pocieszyć... Jak chodzi o poważne tematy, to nigdy nie jest za późno, aż robi się za późno.

– Co robisz?

Bea przestała czytać i podniosła oczy na Florę stojącą w drzwiach, która z zapalem pochłaniała wielkie łyżki musli, nasypując sobie płatki na środek języka i wyciągając brodę do góry, żeby nic nie uronić.

– Gadam z Alex. Ma świetne poczucie humoru – odparła Bea z uśmiechem. – Jestem jej e-przyjaciółką.

– Fajnie! – padł zwięzły komentarz. – Rozmawiałaś dziś może z tatą?

– Tak. Dzwonił jakiś czas temu. – Bea zamknęła komputer i spojrzała na wnuczkę.

– I co mówił? – Flora przerwała wiosłowanie łyżką.

– Był trochę zdenerwowany. Chciałby wszystko naprawić, ale nie wie, od czego zacząć. Myślę, że po prostu się boi. – *A ja nie powinnam była na niego naskakiwać. Tu przecież nie chodzi o nas.* Denerwował ją ten jego protekcyjny ton. Jakby była głupia albo, co gorsza, stanowiła dla niego dodatkowy ciężar, z którym się musi użerać. Nigdy nie mówiła o tym Peterowi. Wiedziała, że wzięłyby Wyattę na spytki, a nie chciała żadnych konfliktów między nimi.

– To wszystko przeze mnie – stwierdziła Flora smętnie.

– Nie, wszystko to nie. Nie przejmuj się nami. Wygląda na to, że działam mu na nerwy bez względu na to, co robię. Chyba po prostu tego nie dostrzegałam, kiedy Peter żył, a może aż tak mnie to nie ruszało, bo miałam co innego do roboty. – Westchnęła, bo przypomniała sobie, że rozmawia z Florą i uśmiechnęła się, jakby przepaszając za te wynurzenia.

– Brakuje mi go. Dziadek był super. Kiedy nikt nie patrzył, pozwalał mi pociągać ze swojego cygara, a kiedyś dał mi jedno całe na własność. Ciągle jeszcze trzymam je w szufladzie. Normalnie był raczej cichy, ale rozgadywał się, kiedy byliśmy sami. Był megazabawny.

– Był cichy tylko przy twoim tacie. W domu był całkiem inny.

– Nie lubili się z tatą, prawda? – Flora w napięciu czekała na odpowiedź, świadoma, że wchodzi na głęboką wodę.

– Nie, to nie to, że się nie lubili. Byli po prostu obaj bardzo różni. I obydwu było z tym ciężko.

– Musiało ci być przez to smutno. Strasznie smutno. – Flora wysiorbała resztkę swojego mleka.

Bea uśmiechnęła się do swojej bystrej, domyślnej wnuczki.

– Trochę tak.

U drzwi rozległ się dzwonek. Bea wstała z kanapy i zeszła na dół.

Przez szybki w drzwiach zobaczyła Kim.

– Nie musisz dzwonić, skarbie, wchodź, proszę.

– Nie chciałam wam przeszkadzać. Siema, Flora! – Kim wetknęła głowę do salonu i pomachała.

– Herbaty? – Bea już stała w kuchni i napełniała czajnik.

– Poproszę. Zabawne, że przez cały dzień przygotowuję napoje i jedzenie, a sama często zapominam coś przegryźć. – Kim rozpuściła swój koński ogon i ponownie ściągnęła włosy, zgarniając luźne kosmyki, które wymknęły się z gumki w trakcie pracy. – Mam nadzieję, że nie przeszkadzam?

– Ależ skąd. – Bea zniżyła głos, oglądając się na Florę w pokoju obok. – Rozmawialiśmy sobie o czasach, kiedy Wyatt był mały. Wyzwania rodzicielstwa! Nauczyłam się, że człowiek może robić tylko to, co w danej chwili wydaje się właściwe, a potem jedynie się modli, żeby nie wyszło inaczej.

– Chyba tak to wygląda. Moi rodzice zawsze byli okropnie zajęci. Nawet kiedy wyjeżdżaliśmy na wakacje, to było raczej jak jakaś wycieczka szkolna. Nie potrafili się wyluzować i tak po prostu z nami porozmawiać.

– Dokładnie o tym mówię. – Bea sięgnęła po kubki na półce. – Pewnie twoi rodzice starali się wykorzystać każdą okazję, żeby was czegoś nauczyć. Może taki był ich główny cel. No i zobacz, na jaką mądrą dziewczynę wyrosłaś.

Kim zarumieniła się.

– Tego nie wiem.

– Ale *ty* uważasz, że nie umieli się wyluzować i jakoś do was zbliżyć! – Bea wzniosła rękę do góry. – Myślę, że pan Giraldi trafił w samo sedno, kiedy powiedział, że w rodzinie potrzebny jest tłumacz!

– Na to bym się pisała! Z chęcią dowiem się, o co im w tym wszystkim chodziło. Wyatt to miał z tobą dobrze. – Kim westchnęła.

– Ale on nie widzi tego w ten sposób, szczególnie teraz. Wiecznie ma mi coś za złe, pewnie dlatego, że może. Zawsze tak było. Nie podobało mu się, że musi się dzielić mamusią i kiedy przyjeżdżał ze szkoły do domu, robił wszystko, żeby tylko wykluczyć Petera. A ja, oczywiście, zawsze mu ulegałam. Zdawało mi się, że jeżeli on jest szczęśliwy, to ja jestem szczęśliwa, a przez to z kolei Peter jest szczęśliwy. Peter sądził, że postępuje słusznie, bo opłaca Wyattowi bardzo drogą szkołę, za to Wyatt czuł się odepchnięty i lekceważony. Naprawdę szkoda, że tak to właśnie wyszło. Każdy z nich zaciął się w swoich żalach i oczekiwaniach. Teraz to wszystko wydaje się w sumie trochę niepoważne i, jak mówi Flora, strasznie smutne. Gdyby tylko udało im się pokonać tę początkową barierę, mogli zostać świetnymi przyjaciółmi. I każdemu z nich byłoby łatwiej.

– Tęsknisz za nim, co?

– Mówisz o Peterze czy o Wyattcie? – upewniła się Bea.

– O Peterze, rzecz jasna, Wyatt jest jeszcze tutaj! – roześmiała się Kim.

– Wiesz, Kimmy, tak naprawdę to tęsknię za nimi obydwojema. Peter był wspaniałym przyjacielem i czułam się przy nim bezpiecznie. A Wyatt to moja mała opoka.

– To co się stało? – Kim oparła się o kontuar i wzięła do rąk kubek miętowej herbaty.

– Naskładało się kilka rzeczy. Na przykład matka Flory. – Ściszyła głos do szeptu i czujnie wyjrzała z kuchni, ale uspokoił ją widok Flory leżącej na kanapie, całkowicie skupionej na swoim iPadzie i chichoczącej z czegoś, co brzmiało jak kreskówka. Podjęła półgłosem: – Nie mam do niej pretensji. Wyatt chciał stanąć na własnych nogach, niejako się zbuntował i to zupełnie normalne. Jeżeli już, to ja go tylko do tego zachęcałam. Ale jednocześnie doszedł do przekonania, że ja go zawiodłam i to poczucie tak nim zawładnęło, że wywołało złość. I chyba od tamtej pory próbuje mnie ukarać na różne sposoby.

– A jak ty go zawiodłaś?

– O matko, to długa i nudna historia. – Bea podniosła rękę do piersi i bawiła się bransoletkami dla uspokojenia. Lubiała ich swojski brzęk. – I nie wiem nawet, czy naprawdę tak

było. On to tak po prostu odbierał, czyli w sumie dla niego to jedno i to samo.

– Rany, teraz to jestem ciekawa. – Kim się uśmiechnęła.

– Cóż, wiadomo, dokąd prowadzi ciekawość...

Bea ujrzała Wyatta leżącego na kanapie z nogami na jej kolanach. Miał może z siedem lat. „Tak się cieszę, że jesteś moją mamusią...”.

– A wtedy, jak poznałaś matkę Flory, lubiałaś ją bardziej niż teraz?

– Jejku, to nie to, że nie lubię Sarah! Lubię ją. Byłam po prostu jedną z tych nadopiekuńczych matek, co to świata nie widzi poza swoim synusiem. Nie podobała mi się żadna z dziewczyn, które przyprowadził do domu. Ale nadchodzi moment, kiedy twój syn traci dla kogoś głowę i wtedy masz dwa wyjścia: albo się z tym pogodzić, albo go stracić.

– I ty się pogodziłaś? – zapytała z nadzieją Kim i pochyliła się naprzód, wyobrażając sobie, jak matka Taita bierze ją w ramiona.

– Właśnie nie. Straciłam mojego syna.

Kim zaniemówiła.

Bea poczuła, że musi rozładować atmosferę.

– Masz ochotę na ciasto marchewkowe? Wstyd się przyznać, ale byłam w tej nowej cukierni Plum Patisserie w The Rocks. Mówię ci, niebo w gębie! I oglądałyśmy z Florą zdjęcia ich babeczek w Internecie, prawdziwe babeczki z Mayfair! Wyglądają bosko.

Kim spojrzała na nafaszerowane orzechami ciasto otulone warstwą twarogu.

– Mmm, chętnie. Tylko nie za dużo. Ale przecież nadal jesteście blisko z Wyattem, prawda? W sensie, byłaś jednak pierwszą osobą, do której się zwrócił, kiedy potrzebował pomocy. – Wskazała łokciem na salon, przymierzając się do porcji marchewkowego ciasta.

Bea westchnęła, bo przypomniała sobie, jak oboje zignorowali ją w swoich przedświątecznych planach.

– Nie tak blisko jak kiedyś. On chyba miał żal o to, że wysłaliśmy go do szkoły tak daleko, chociaż bardzo ją lubił. Podejrzewam też, że inni chłopcy, których tam poznał, uprzytomnili mu, jak bardzo jego matka odstaje od tradycyjnego modelu i było mu wstyd.

– Jezu, co za szczęściarz! Chciałabym, żeby moi rodzice postarali się tyle dla mnie zrobić. Gdybym poszła do takiej szkoły jak Scotch College, byłabym dzisiaj premierem albo, w najgorszym razie, gwiazdą operową!

Bea parsknęła śmiechem.

– To prawda, starałam się, ale w Scotch College krzywo patrzyli na wszystko, co nie mieściło się w normie lub nie dało się zaszufladkować. Wszystkie mamy jego kolegów były żonami właścicieli ziemskich i dyrektorów banków. Zajmowały się jedynie domem i działalnością charytatywną, więc musiał to ciężko przeżyć, kiedy zrozumiał, że jego matka nie należy do odpowiednich kręgów, tylko po prostu, mając osiemnaście lat, zaliczyła wpadkę i została wyrzucona z domu przez bogobojnych rodziców. To było dla niego trudne. Przez całe życie musiał czuć, że czegoś mu brakuje. Mieszkał razem z synami takiego czy innego Jaśnie Eksceleencji albo Jaśnie Impertynencji, jak lubił mawiać Peter, ale bez względu na to, czy byli synami arystokratów czy bogaczy, wszyscy mieli coś, czego on nie miał – ojca. A Wyatt marzył o ojcu bardziej niż o czymkolwiek.

– Za to miał Petera.

Bea się uśmiechnęła.

– To prawda.

– Brakuje mi go – powiedziała Kim. – Fantastyczny facet. I, Bea, jak on na ciebie patrzył. Chciałabym, żeby ktoś kiedyś tak na mnie patrzył, jakby nie istniał dla niego absolutnie nikt inny, nawet w najbardziej zatłoczonym pokoju.

Bea mogła jej tylko przytaknąć.

– Tak. Miałam wielkie szczęście.

Jej myśli znowu uciekły do syna i jego relacji z jej mężem. Żaden z nich nie wiedział, jak się zachowywać w obecności drugiego. Wiedziała, że Wyatt nigdy w pełni nie uświadomił sobie dramatu pierwszych lat swego życia, przez jakie piekło przeszła – przeszli – i jak rozpaczliwie musiała walczyć o przetrwanie. To wystawanie w kolejkach po przecenione ochłapy, które nie sprzedały się na targu w ciągu dnia i nieśmiertelny bulion na kolację co wieczór. *Jakie to szczęście, że pojawił się Peter.*

Wzdrygnęła się mimo woli. Przypomniał jej się dzień, kiedy Peter kazał jej zamknąć oczy i położył jej na dłoni chińską monetę z kwadratową dziurką pośrodku.

– Znalazłem to przy krawężniku. To jest nasz szczęśliwy amulet! Idealnie się dla nas nadaje: ty jesteś okrągłym korkiem, a ja kwadratowym otworem, a jakoś jednak do siebie pasujemy.

– Peter, ja... Ja nie czuję tego, czego byś chciał. Uwielbiam cię, ale...

– Wiem. Wiem o tym. – Położył jej palec na ustach i pocałował ją w czoło, po czym skrętnie schował monetę do małej kieszonki w portfelu, gdzie pozostała aż do dnia jego śmierci. – Ale wydaje mi się, że kocham cię wystarczająco mocno za nas oboje. – Zmrużył oczy w czułym uśmiechu, a ją zalała fala słodko-gorzkiej wdzięczności za te szczerze i prawdziwe słowa.

Tuż przed jego śmiercią wrzuciła monetę do fontanny życzeń u stóp Il Porcellino, prosząc o przebaczenie i posyłając mu całą swoją miłość.

– No dobrze, Kim – odezwała się, powracając do rzeczywistości. – Ja się zawsze cieszę, kiedy cię widzę, kochana, ale wpadłaś w jakimś konkretnym celu? Poza wysłuchiwanie mojego głędzenia?

– Ty nigdy nie głędzisz. No, może z małymi wyjątkami. Tak, jest kilka rzeczy. – Kim odstawiła pusty talerzyk na ladę. – Po pierwsze, chciałam powiedzieć, że bez problemu damy sobie z Taitem radę sami w Kuchni. Jeżeli chciałabyś wziąć sobie dzień albo więcej wolnego, to nie musisz się o nic obawiać. Na pewno się nie zawiedziesz. A po drugie, skoro Wyatt i Sarah wyjeżdżają na Bali, to może chciałabyś spędzić Boże Narodzenie z nami? Oczywiście, tylko jeżeli masz na to ochotę. To znaczy nie chcę, żebyś czuła się zobowiązana, po prostu wiem, że w tym okresie bywa różnie i nie chcę, żebyś była sama, chociaż już pewnie przywykłaś... – Kim zaczęła się płatać. – No, wiesz, o co mi chodzi.

Bea podeszła i objęła dziewczynę, którą uważała nieomal za swoją córkę.

– Dziękuję ci, kochana. Powiedz, co ja bym bez ciebie zrobiła?

– Na pewno miałabyś w lodówce kawałek ciasta więcej! – Roześmiały się obie.

Telefon Bei zaczął dzwonić, a na ekranie wyświetliło się imię Wyatta.

– O wilku mowa!

– Zostawiam cię z tym. – Kim pomachała Florze w przelocie i wyszła, a Bea otworzyła wiadomość.

Przepraszam za naszą wcześniejszą rozmowę. Sytuacja jest trochę napięta. Nie powinienem się na tobie wyżywać. Skoro Flora nie chce jechać na Bali, czy mogłaby zostać z tobą?

Westchnęła i przeniosła się do salonu.

– Właśnie dostałam esemesa od twojego taty. Pisze, że jeżeli nie chcesz jechać na Bali, to możesz zostać tutaj, chociaż wyobrażam sobie, że wolałabyś raczej odpocząć przed świętami w rajskich tropikach, niż zmywać gary w Kuchni Reservoir Street!

– Nie – prawie wrzasnęła Flora. – O wiele bardziej wolę zostać z tobą. Mogę? – Oczy

rozszerzyły jej się w oczekiwaniu.

– Możesz, ale...

Flora nie czekała na ciąg dalszy. Poderwała się z kanapy i zaczęła skakać w kółko po pokoju jak Tygrysek ze Stumilowego Lasu, wykrzykując na przemian „Tak!” i „Dziękuję!”.

Bea pokręciła głową z niedowierzaniem.

– Do głowy by mi nie przyszło, że moja kawiarnia może być większą atrakcją niż Bali!

– Strasznie mi się nie chciało tam jechać. – Flora znowu klapnęła na kanapę.

– Tyle to zauważyłam.

– Pojechałabym, gdybyś ty też pojechała.

– A, to już inna para kaloszy. – Bea westchnęła.

– Jesteś zła, że cię nie zaprosili?

Bea skinęła głową.

– Tak, jeżeli mam być szczerą. Trochę. Ale nie gniewam się. Jest mi po prostu przykro. Być może mam zwyczajnie więcej czasu na rozmyślanie, ale ja nie umiem sobie wyobrazić, że mogłabym robić jakieś plany bez was. A do tego naprawdę boję się świąt w tym roku i myślałam... – Odwróciła głowę w stronę drzwi balkonowych. – Nie wiem, co myślałam, ale wołałabym, żeby twoi rodzice powiedzieli mi o swoich planach, żebym mogła sama też się jakoś zorganizować.

Przez chwilę obie milczały, aż nagle Flora usiadła gwałtownie i podniosła palec do góry. Coś jej wpadło do głowy.

– A może my też pojedziemy sobie gdzieś przed świątami? Tylko we dwie, taka mała przygoda! – Nachyliła się do przodu z roziskrzonymi oczami, czekając na reakcję Bei.

– No, nie wiem, trudno to będzie zrobić tak w ostatniej chwili. Naturalnie, możesz tu zostać, kochanie, jeżeli faktycznie tego właśnie chcesz, ale może lepiej już przeczekać ten grudzień w ciszy i spokoju. A w Boże Narodzenie zjemy pieczonego homara, wypijemy szampana i pójdziemy z rodzicami na plażę obejrzeć zachód słońca. Jak myślisz? – Bea próbowała wykrzesać z siebie choć trochę zapału.

– Okej, ale czy nie fajnie byłoby gdzieś się razem wybrać? – Flora podskakiwała w miejscu na poduszkach. – Dokąd mogłybyśmy pojechać? – W zamyśleniu przyłożyła dłoń do policzka i przebierała palcami.

Bei udzielił się jej entuzjazm.

– Teoretycznie dokąd tylko chcemy! W granicach rozsądku, rzecz jasna. Dziadek zostawił mi trochę zaskórniaków na czarną godzinę, a moim zdaniem, mimo tego wspaniałego słońca, zebrało się nad nami ostatnio sporo czarnych chmur. Myślę, że byłby zachwycony, gdyby wiedział, że zafundował mnie i swojej jedynej wnuczce małą eskapadę. – Bea uśmiechnęła się, chociaż sama nie wiedziała, czy pomysł jej się podoba, czy po prostu nie chce psuć radości Florze.

– Mogłybyśmy pojechać na Bali, wynająć sobie pokój w o wiele lepszym hotelu niż rodzice i podglądać ich ukradkiem zza płotu!

– No, nie wiem, Flora. Musisz mi najpierw obiecać, że nie każesz mi z za płotu wykrzykiwać do nich żadnych wulgaryzmów. – Bea mrugnęła. – To mnie jakoś nie ciągnie. Jestem trochę za stara na myszowanie po Bali w tajemnicy przed twoimi rodzicami. – Zachichotała, gdy ten obraz stanął jej przed oczami.

– No to może pojedziemy do Mollymook? Masz tam przecież znajomych, mogłybyśmy rozwalić się na plaży, zrobić grilla, a ty będziesz piła winko tak jak dawniej z dziadkiem.

Bea nie wyobrażała sobie, że mogłaby pojechać do Mollymook bez Petera, ale zanim zdążyła skrzywić się na ten pomysł, jej komputer zapikał głośno, anonsując przychodzący e-mail.

W jednej chwili zobaczyła przed sobą zamglone wrzosowiska, kraciasty tartan, spacer w poszukiwaniu białego wrzosu i żywy ogień w kominku chroniący od mrozu.

– A co powiesz na Szkocję? – podsunęła.

– Szkocję? Tam chyba jest niesamowicie zimno, nie? Trzeba by wykombinować skądś puchowe kurtki i jakieś kozaki. I nie będzie można nawet wykąpać się w morzu! – Wzdrygnęła się Flora.

Bea zaśmiała się.

– Masz rację. O tej porze roku możemy zapomnieć o rozwalaniu się tam na plaży, ale mamy już Alex jako przewodnika i może udałoby się nam zobaczyć prawdziwy śnieg!

Flora opadła na oparcie kanapy.

– Śnieg? Poważnie? Ale bym strasznie chciała zobaczyć śnieg! To co? Jedziemy?

Bea spojrzała na wnuczkę i nie mogła sobie przypomnieć, kiedy ostatni raz widziała ją tak podnieconą. Wydawała się naprawdę szczęśliwa.

– Cóż, o ile Kim i Tait nie będą mieli nic przeciwko temu, a Mario będzie mógł wziąć kilka zmian i Wyatt i Sarah się zgodzą, to tak. Czemu nie?

– Naprawdę? Czy tylko się ze mną droczysz?

– Nie, naprawdę, dlaczego nie? – Bea rozjaśniła się, ogarnięta nagłym entuzjazmem. Popatrzyła na Florę, której buzia zamazała się łzami.

– O, moja złota, czemu płaczesz?

– Bo... Bo tak się cieszę – zamiauczała. – Chcę wyjechać jak najdalej stąd. Chcę jechać do Szkocji!

– To jedziemy. Porozglądamy się trochę, możemy wybrać się na wycieczkę w góry albo nad jeziora, albo odwiedzić St Andrews. I na pewno kupimy sobie mnóstwo fajnych rzeczy. To trochę daleko, ale już sama podróż będzie świetną przygodą!

– Myślisz, że rodzice się zgodzą? – Flora aż się zatchnęła na myśl, że mogłoby być inaczej.

– Jest tylko jeden sposób, żeby się o tym przekonać. Trzeba ich zapytać. – Bea kiwnęła głową i poprawiła sobie bransoletki.

Flora zerwała się z kanapy i podskakiwała w miejscu, klaszcząc wesoło w dłonie.

– Jupiiii! Jedziemy sobie w świat!

Bea stanęła przy drzwiach balkonowych i wybrała numer do Sarah. Przywitały się uprzejmie i Sarah podziękowała jej za zajęcie się Florą.

– W sumie to dzwonię właśnie w sprawie Flory. Przyszedł nam do głowy trochę wariacki pomysł, żeby się wybrać do Szkocji, kiedy wy będziecie na Bali...

– Nie wiedziałam, że jedziesz do Szkocji. – W głosie Sarah brzmiało zaskoczenie. *A ja nie wiedziałam, że wywozisz mi syna na Bali tuż przed świętami...* Bea zdusiła w sobie tę odpowiedź, świadoma, że Wyatt był dorosłym mężczyzną, a nie małym dzieckiem, którym można dowolnie dyrygować. Sarah była jego żoną, a nie dyktatorem, chociaż niekiedy sprawiała takie wrażenie.

– Nie miałam takiego zamiaru, ale to mógłby być niezły pomysł. Dobrze nam razem z Florą. Powiedziałam jej, że pojedziemy tylko pod warunkiem, że wy się zgodzicie. W przeciwnym wypadku nie ma żadnego problemu, możemy zostać tutaj, w Surry Hills.

– Nie no, wydaje się, że to świetny pomysł. Ale w takim razie chciałabym, żeby wcześniej wróciła na trochę do domu. Powinniśmy sobie chyba wyjaśnić i ustalić pewne rzeczy...

– Naturalnie – zgodziła się Bea. – Wyjazd mógłby dobrze jej zrobić. Miałyby okazję trochę się oderwać i przemyśleć sobie wszystko w nowym otoczeniu.

– Tak, masz rację. Lepsze to niż gdyby snuła się po domu z kąta w kąt albo uciekała do tych nieciekawych koleżaneczek – przytaknęła Sarah. – Im dalej się będzie od nich trzymać, tym lepiej.

– Też tak uważam – potwierdziła Bea.

– A skoro już rozmawiamy, Bea, powiedz, co byś chciała dostać na Gwiazdkę?

– O, nic, naprawdę! Już i tak mam za dużo gratów. Wystarczy mi kartka, dziękuję. – Bea nie chciała dokładać synowej problemu.

Pożegnały się w przyjaznej atmosferze. Bea przypomniała sobie swoje pierwsze Boże Narodzenie w Sydney, które spędziła sama, w ciąży i głębokiej depresji. Ból w sercu był tak rzeczywisty, że zdawało jej się, że mogłaby umrzeć. Tęsknota za nim zżerała ją wręcz fizycznie. Gdy tylko mijala jakąś parę na ulicy, praktycznie czuła, jakby ją ktoś ugodził. Każda roześmiana kobieca twarz przypominała jej, jak sama była kiedyś szczęśliwa, więc wołała zaszyć się w domu i pogрузić w otchłani żalu. Całe święta rozmyślała tylko o ich ostatnim poranku, gdy tuliła w ramionach jego wstrząsaną płaczem głowę i błagała, żeby nie wyjeżdżał, czując, że nie przeżyje bez niego.

Flora zniknęła w łazience, skąd wkrótce potem zaczęły dobiegać dźwięki rozchlapywanej po podłodze wody.

Bea spojrzała na Petera uśmiechającego się do niej ze ściany i poprawiła srebrne bransoletki, które zbierał dla niej latami.

– No, mój kochany, wygląda na to, że jadę na małą wycieczkę.

Przełknęła nagły przebłysk poczucia winy i potrząsnęła energicznie głową, żeby pozbyć się myśli o mężczyźnie, o którego losach nic nie wiedziała i który może już od dawna nie żył.

Otworzyła laptopa i przejrzała oferty hoteli, po czym wróciła do listu od Alex.

Wzdłuż alei Royal Mile wiszą już świąteczne światełka i całe miasto wygląda absolutnie cudownie. Dzięki temu człowiekowi robi się jakoś cieplej na sercu w te długie, mroźne wieczory.

Mam nadzieję, że jutro Twoje urwanie głowy trochę się uspokoi.

Ax

Od: BeaG

Temat: Re: Dzień dobry raz jeszcze!

Nie wiem, co będzie jutro, ale dzisiejszy wieczór nie przestaje mnie zaskakiwać. Mam dla Ciebie wiadomość. **PRZYJEŹDŹAM DO SZKOCJI!** Nie do wiary, co? Nawet kiedy to napisałam, wciąż wydaje mi się, że to jakieś szaleństwo. W ostatniej chwili postanowiłyśmy z Florą gdzieś sobie wyskoczyć i zdecydowałyśmy się na Szkocję. Hotel Balmoral wygląda rewelacyjnie, więc tam się zatrzymamy, prawdziwie po królewsku. Wiem, Alex, że to dla Ciebie gorący okres w pracy, więc nie zawracaj sobie głowy oprowadzaniem nas po okolicy, ale gdyby w ferworze świątecznych przygotowań udało Ci się znaleźć czas na spotkanie przy kawie, to byłoby fantastycznie.

Pzdr

Bx

Od: Świąteczna Kawiarenka

Temat: Re: Dzień dobry raz jeszcze!

A to niespodzianka! Wspaniała niespodzianka! Aż trudno uwierzyć! Będzie mi bardzo miło Cię dla odmiany zobaczyć i tak, kawa, albo nawet kilka kaw, jest jak najbardziej w planie. Ale mi sprawiłaś uciechę, większą niż umiem opisać.

Ax

Bea uśmiechnęła się i zamknęła laptopa. Wypełniało ją uczucie tak radosnego podniecenia i euforii, jakiego nie doznała od dawna. Może powinna wziąć sobie do serca swoją

własną radę i cieszyć się z niespodzianek kryjących się za zakrętem. Tak jak mówiła Florze, może się okazać, że czekają tam na nią fantastyczne rzeczy. Wzięła do rąk poduszeczkę i położyła dłoń płasko na jej jedwabnej powierzchni. Wspaniale będzie zobaczyć Szkocję tuż przed świątami, ze światłami wzdłuż całej Royal Mile, i spotkać się z tą przemiłą kobietą z kotem, która stała jej się tak bliska.

A więc po tych wszystkich latach wracała do Wielkiej Brytanii, tego dziwnego miejsca, które kiedyś nazywała domem.

Dziesiąć

Dwa tygodnie później Bea krążyła po Kuchni, nie mogąc się zebrać do wyjścia, coraz bardziej niespokojna w miarę jak zbliżała się chwila wyjazdu.

– Mówiłam wam, że trzeba zapłacić za ryby i że w środę będzie dostawa, tak?

– Tak, szefowo. – Tait się uśmiechnął. – Dwa razy.

– Przepraszam. Trochę się denerwuję. – Bea przekreśliła sobie bransoletki na przegubie.

– Co ty nie powiesz! – Tait się roześmiał, patrząc, jak się kręci bez celu koło zlewu.

– Będziecie się świetnie bawić – wtrąciła Kim z nosem w lodówce.

– Wiem. – Bea przytaknęła. – Dostałam bardzo serdeczny e-mail od Alex, która mówi, że miło będzie się dla odmiany zobaczyć. Powiem wam, że coś jakby zaskoczyło między nami. Mimo że lubi koty.

– Nie musisz czekać, aż tam będziesz, żeby ją zobaczyć. Możemy ją wygooglować – zaproponowała Kim, otwierając laptopa na kredensie. – Pani Alex McKay, Święteczna Kawiarenka – mamrotała, stukając jednocześnie w klawisze.

Bea uśmiechnęła się do niej w oczekiwaniu na wynik.

Kim nachyliła się, przekręcając lekko całe ciało, i zasłoniła Bei widok ekranu.

– Ożeż! – Kim zatrzasnęła komputer i odwróciła się w stronę szefowej. – A może jednak lepiej tak po prostu pojechać i dać się zaskoczyć! – Uśmiechnęła się niewyraźnie.

– Nie wygłupiaj się, Kim. Pokaż! O co ci chodzi? Wiesz przecież, że nie oceniam ludzi po wyglądzie i ty też nie powinnaś. – Rzuciła dziewczynie znaczące spojrzenie. – Pokaż no ją. – Bea sięgnęła po laptopa.

Kim pokręciła głową.

– Nie mogę.

– Zaczynasz mnie drażnić, Kim. No już, pokaż to zdjęcie! – Bea podniosła głos, aż do kuchni zajrzał zaalarmowany Tait, sprawdzić, co się dzieje.

– Co to za hałasy? – zapytał.

– Chcę zobaczyć zdjęcie Alex, mojej e-przyjaciółki ze Szkocji, a Kim, nie wiadomo dlaczego, nie chce mi go pokazać!

Kim siedziała sztywno.

– Mówiłam już. Nie mmm-mogę! – Bliskość Taita lekko ją zdeprymowała.

Bea skrzyżowała ramiona.

– Kim! Wyatt będzie tu lada chwila. Masz natychmiast pokazać mi jej zdjęcie! – Sytuacja przestawała ją bawić.

Kim otworzyła laptopa i wcisnęła guzik, który przywrócił fotografię na ekran.

– Nie mogę pokazać ci jej zdjęcia, bo ona nie jest nią. Alex McKay, osoba, która prowadzi Święteczną Kawiarenkę, jest tak naprawdę... – przekreśliła komputer tak, żeby Bea mogła dobrze widzieć – mężczyzną!

Bea wpatrywała się w ekran z otwartymi ustami. Widniał na niej dynamiczny mężczyzna o szpakowatych włosach i dość dużym nosie ukazujący w uśmiechu równe, ładne zęby. Miał na sobie dżinsową koszulę i coś, co nad wyraz przypominało srebrną bransoletkę.

– To musi być jakaś pomyłka! – Bea nachyliła się niżej nad komputerem. – To na pewno jakiś inny Alex McKay!

– Nie. – Kim przejrzała szybko jakieś inne strony. – To on, na sto procent. A to coś zmienia?

Bea przyłożyła sobie rękę do piersi.

– Jasna cholera! Nie! – Skuliła się, ukrywając twarz w dłoniach, a po plecach przebiegły jej ciarki.

– Nie rozumiem, w czym problem. Twoja e-przyjaciółka jest facetem, no i co z tego? – Tait wzruszył ramionami. – Jest rok 2014, kobiety mogą się przyjaźnić z mężczyznami i to wcale nie musi nic znaczyć. Prawda, Kim?

– Mhm. – Kim stłumiła pragnienie, żeby zacząć krzyczeć.

– Wy nie rozumiecie. – Oddech Bei stał się krótki i urywany. – To, jak rozmawialiśmy... Nigdy w życiu tak bym się nie otworzyła, gdybym wiedziała, że to mężczyzna. Pisałam o swoich uczuciach w taki dość... osobisty sposób. – Skrzywiła się, jakby ją coś zabolalo. – Powiedziałam mu, że mam poduchowaty brzuch! – *I wiele jeszcze znacznie gorszych rzeczy*, dodała w myślach. Te wyznania o tym, jak to się czuła samotna bez mężczyzny przy boku! – O, nie! – Wzdrygnęła się znowu.

Kim odrzuciła głowę do tyłu i zaczęła się głośno i dźwięcznie śmiać.

– Ale heca!

Bea pokręciła głową.

– Nie. Wcale nie. To po prostu dramat. Co on musiał sobie o mnie pomyśleć? Opisywałam mu swoje najbardziej intymne przemyślenia. Takie rzeczy mówi się tylko najbliższemu przyjacielowi. Do głowy by mi nie przyszło!

Kim zaśmiewała się w kułak.

– Nasza kaczkowata pani McKay ze swoją chmarą kotów to tak naprawdę ten czarujący przystojniak! – Kliknęła inne zdjęcie i odwróciła komputer do Bei. Na tym z kolei był w wieczorowym garniturze i wyciągał kieliszek w stronę obiektywu.

– Przestań! – Bea westchnęła. – Nawet przesyłaliśmy sobie buziaki w mailach i nie widziałam w tym nic niestosownego, bo była kobietą! Ale ona jest mężczyzną. On jest mężczyzną! O, Boże! O, nie!

– Poczekaj no, Bea, spójrz na to z drugiej strony. Jeżeli się przyjaźnicie, to przynajmniej możecie sobie oszczędzić zachodu z tym całym poznawaniem się. On już wszystko o tobie wie! – zachichotała Kim.

– Przestań, Kim, proszę cię. Nie pomagasz mi.

Kim promieniała.

– Przepraszam, ale to niesamowicie śmieszne.

– Wyobraź sobie, że to randka w ciemno – dorzucił Tait.

– Dajcie już spokój, oboje, ja się nie umawiam na żadne randki! – krzyknęła Bea nieco głośniejszym głosem, niż zamierzała. – Wydawało mi się, że znalazłam nową, fajną przyjaciółkę. – Przesunęła dłońmi po twarzy, wykrzywiając się z zażenowania. – Może lepiej się z nim w ogóle nie spotykać? Uciąć kontakt i nie odzywać się już, aż zapomni, że przyjeżdżamy, i po sprawie.

– Tak, jasne, powodzenia – prychnął Tait.

Bea spojrzała na zegarek, marząc, żeby Wyatt zjawił się jak najszybciej.

– Boże, to czekanie mnie wykończy! Chciałabym już jechać.

Tait wyszedł z kuchni, zostawiając je same.

– Tak sobie myślę, że to może być fascynująca historia! Na pewno nie podejrzewałaś, że Alex jest facetem? Może w jakimś stopniu pociągał cię mały e-romansik?

Bea przypatrywała jej się w osłupieniu.

– Ty chyba za dużo myślisz, Kimberley!

– Rumienisz się! – Kim się przekomarzała. – Może ty w ogóle polujesz na Tinderze, a ten kiełbasiany klub to tylko przykrywką, bo tak naprawdę próbujesz złapać przystojniaka

z Highlands! – Odchyliła głowę do tyłu i wybuchnęła śmiechem.

– Mój Boże, ludzie naprawdę to robią? Polują na Tinderze, czy jak mu tam? Nie, czekaj, nie odpowiadaj. Nie chcę wiedzieć. – Bea wystawiła przed siebie rozpostartą dłoń. – Pomyśleć, że miałabym się tłuc przez pół świata dla odrobiny seksu!

– Już to, jak mówisz „odrobiny seksu”, kompletnie mnie rozkłada! Zupełnie jak: „Może odrobinę ziemniaczków, odrobinę spokoju, odrobinę seksu?” – Kim parsknęła śmiechem przez nos.

– Miło, że cię to bawi. Już sam pomysł, żeby jechać gdzieś do kogoś z Tindera, cokolwiek to jest, nie mieści mi się w głowie. Gdybym naprawdę szukała sobie mężczyzny, zabrałabym się do tego zupełnie inaczej. Musiałby mnie przedstawić ktoś znajomy. Ale nie szukam! – zakończyła z naciskiem.

– Tylko że to brzmi nawet całkiem logicznie. Chcesz się cichaczem urwać, ale boisz się jechać sama, więc zabierasz ze sobą Florę jako wymówkę.

– Może dla ciebie to brzmi logicznie, ale gdyby chodziło mi o seks, to zaręczam ci, że mogłabym znaleźć mnóstwo okazji o wiele bliżej Surry Hills!

– Naprawdę? Gdzie? Powiedz!

Bea prychnęła i poprawiła sobie bransoletki.

– Mówiłam hipotetycznie.

– Aaa, już myślałam. Chociaż może faktycznie jest tak, jak mówisz, bo czasy seksu już dla ciebie minęły...

– Tak uważasz? A twoim zdaniem jak to się niby dzieje? Bo przecież nie chodzi o to, że moje ciało czy umysł nagle nie mają ochoty. Oczywiście, że tak! Powstrzymuje mnie tylko wstyd, jak pomyślę, że miałabym się przed kimś rozebrać. Nawet nie wiem, czy pamiętam jeszcze, co się potem robi! – Oparła się o Kim i wybuchnęła śmiechem, próbując wyobrazić sobie samą siebie, jak prowadzi tego typu rozmowę ze swoim szefem całe wieki temu. – Ale w tym właśnie rzecz, moja droga. Może ci się wydawać, że w moim wieku ma się to już za sobą, ale to nieprawda. Pewnego dnia sama się przekonasz, że nie istnieje żaden przełącznik, który przeskakuje, kiedy kończysz czterdzieści siedem lat i zupełnie przestajesz rozmyślać o seksie i pragnąć przyjemności! Nie jest tak, że ludzie z dnia na dzień tracą zainteresowanie sobą, a nabierają zamiłowania do krzyżówek i sadzenia pomidorów!

– Nie no, nie przy czterdziestu siedmiu, to jasne. Ale już czterdzieści osiem to mógłby być ten moment! – zarechotała Kim.

Bea odgarnęła sobie włosy z oczu.

– Żyję w tym samym świecie co ty. W świecie, w którym seks jest siłą napędową całej sprzedaży, a przy każdym ogłoszeniu czy artykule widnieje zdjęcie ponętnego ciała jakiejś niezmiernie pięknej dwudziestki. W tym świecie wszystkie produkty i usługi sprzedaje się poprzez seks, a ja jestem częścią tego świata bez względu na to, jak mogę ci się wydawać zadowolona i jak trudno ci w to uwierzyć. Tobie i innym ludziom w twoim wieku. To, że mam trochę oklapnięte ciało osoby po pięćdziesiątce nie znaczy, że nie mam marzeń i potrzeb takich jak młoda kobieta. Niestety.

– Okej. – Kim wyglądała na nieco zbitą z tropu. – Ale to chyba nie to samo, co dla mnie i moich znajomych? To nie to, że całe twoje życie kręci się wokół seksu, prawda? To się jednak kiedyś uspokaja, no nie?

Bea uśmiechnęła się na widok miny Kim, która wyraźnie oczekiwała potwierdzenia z jej strony.

– To prawda. To nie jest to samo, oczywiście.

Kim wypuściła powietrze z wyrazem ulgi.

– Ale to nie znaczy, że nie podobają mi się pewni ludzie albo że nie potrzebuję towarzystwa i bliskości drugiej osoby. Mężczyzny. Nadal bym tego chciała, ale kiedy się już dobieje do półmetka, to wcale nie jest łatwe. Wszystko jest inaczej.

– Dlaczego? Bo nie ma żadnych klubów albo barów, gdzie mogłabyś wpaść i sobie kogoś poderwać?

Bea przewróciła oczami.

– Nie. Bo ludzie w moim wieku mają już swoje przejścia i wielu albo nie chce się już dalej próbować, albo życie ich nauczyło, że i tak nie warto. Za dużo wysiłku i zawracania głowy.

– To okropnie smutne! A ja myślałam, że mój wiek jest trudny.

– Tak, to chyba *jest* trochę smutne. Na pewno nie łapiemy się już na słówka, które działały, kiedy byliśmy młodzi. Jesteśmy na to za bardzo cyniczni. Na dodatek każdy jeszcze dźwiga swój bagaż poczucia winy.

– Masz na myśli jakieś trupy w szafie i ciemne sprawy, które wolałabyś ukryć? – Kim uniosła brwi, ale nie odrywała oczu od lady przed sobą.

– Nie, nie to. – Bea się zaśmiała. – Tylko z wiekiem jesteś coraz bardziej na widoku. Coraz trudniej cokolwiek ukryć. Czujemy się winni z powodu rzeczy, które powinniśmy byli zrobić albo które zrobiliśmy i których żałujemy. Nasze sukcesy i porażki nie są już w sferze zamierzeń. Widać je jak na dłoni na naszych twarzach i w naszych historiach. Nie możemy już snuć wielkich planów na przyszłość albo zauroczyć kogoś naszym potencjałem.

– Myślałam, że na starość człowiek ma coraz mniej powodów do zmartwień i robi się bardziej wesoły i optymistyczny.

Bei podobało się jej rozumowanie.

– Nie chodzi o to, że martwisz się mniej, tylko twoje zmartwienia ewoluują. Na przykład kiedy masz małe dziecko, martwisz się tym, że jest za gorąco albo za zimno, albo że może się udusić w czasie snu. A potem zaczyna się szkoła, więc może wpaść pod samochód. Ani się obejrzysz, a ono *prowadzi* samochód, więc martwisz się, że może mieć wypadek! A potem, że ktoś może złamać mu serce, że zacznie brać narkotyki... I tak non stop, w nieskończoność. Nigdy nie przestajesz się martwić, tylko te zmartwienia się zmieniają.

– Rany, nigdy nie przypuszczałam, że dzieci mogą być takim wrzodem na tyłku! Zresztą to i tak raczej nie dla mnie. Nie sądzę, żeby Tait chciał mieć dzieci, w każdym razie nieprędko. W sumie to wiem, że nie chce. – Uśmiechnęła się krzywo.

– Są wrzodem na tyłku, jak mówisz, ale są też najwspanialszą radością. – Bea rzuciła Kim twarde spojrzenie. – I na pewno nie będziesz teraz decydować o tym, czy to coś dla ciebie, czy nie. Możesz mi wierzyć, że wbrew temu, co wciskają nam media, to najczęściej nie jest twój wybór. Świat pędzi naprzód i kto wie, co będziesz czuła i na kogo trafisz za miesiąc albo za rok. Może twoja przyszłość jest u boku Taita, a może nie. I o to właśnie chodzi. Im dłużej żyjesz, tym bardziej wyważone staje się twoje podejście.

– Bo już wszystko widziałaś...

Bea uśmiechnęła się, myśląc o tym wszystkim, co jeszcze miała nadzieję zobaczyć i osiągnąć.

– No, coś w tym rodzaju. Chyba po prostu im jesteś starsza, tym trudniej cię zaskoczyć.

– O, to musi być super, życie bez niespodzianek!

Bea przyjrzała się profilowi Kim. Sama była dokładnie odwrotnego zdania.

– Starsi ludzie są jak książka napisana w dwóch trzecich. Coraz bardziej zawęża się wybór możliwych zakończeń. Tyle że, co ważniejsze, znamy też pewien sekret, o którym nigdy nikomu nie mówimy. Ale ja ci go mogę zdradzić, chcesz?

Kim kiwnęła głową.

– Nikomu nie powiem.

– Życie jest wyłącznie dla odważnych, Kim. Musisz je sobie urządzić tak, jak chcesz i sama dla siebie je zdobyć. Więc jeżeli naprawdę zależy ci na Taicie, a na to wygląda, to zrób coś! Nie możesz pozwolić, żeby definiowali cię inni, nie przejmuj się Janine czy kim tam. Po prostu bądź sobą, bo któregoś dnia otworzysz oczy i już będzie za późno, żeby pójść własną drogą. I może się okazać, że idziesz drogą, którą wytyczył dla ciebie ktoś inny.

– O rany, Bea, ale mnie zdołowałaś!

– Przepraszam, nie miałam takiego zamiaru. Musisz się tylko postarać, żeby mieć tak jak ja: fantastyczne i bogate życie, prawdziwy rollercoaster, który wyniesie cię najwyżej, jak się da. Starzenie się nie jest smutne. To raczej powód do radości!

Kim westchnęła.

– Masz rację, wiem. Muszę wziąć sprawy w swoje ręce, tylko po prostu nigdy nie zdarza się odpowiedni moment. I patrzę, jak czas mija, a dla mnie nic się nie zmienia. – Obejrzała się na wahadłowe drzwi. – Nieważne, jak bardzo bym chciała.

– To ty musisz dokonać tych zmian, Kim. Nie możesz tak siedzieć i czekać, aż same ci się przytrafią. Jestem dwa razy starsza od ciebie, a rzucam wszystko i jadę!

– Ooo, szczęściarz z tego Alexa! – Kim się roześmiała.

– Oj, na litość boską, Kim, daj już spokój! – warknęła Bea.

– Przepraszam, tak się tylko wygłupiam. Nie chciałam ci dokuczać.

– Obie wiemy, że to nieprawda.

Kim roześmiała się.

– Jesteś pewna, że w ogóle nie pociąga cię pan McKay, nasz książę o białych włosach?

– Nie! W najmniejszym stopniu. Tylko potwornie się boję. – Bea potrząsnęła głową raczej zakłopotana.

Na dworze rozległ się dźwięk klaksonu.

– To Wyatt. – Bea złapała plecaczek i po raz enty sprawdziła przed wyjściem, czy jej paszport, portfel i telefon są na swoim miejscu w odpowiednich przegródkach.

Cmoknęła Kim w policzek.

– Dziękuję ci za wszystko, kochana.

– Jedź już! Baw się dobrze! I nie martw się, wszystkim się tu zajmiemy – zapewniła Kim. Bea uściskała Taita.

– Dobrze. Jakby co, to macie moje namiary. Mario przyjdzie jutro, a my zobaczymy się za dwa tygodnie!

– Miłej zabawy, Bea, będziemy za wami tęsknić. – Kim wygięła usta w podkówkę.

– Ale damy radę, no nie, Kimmy? – Tait mrugnął.

Kim szybko skinęła głową. Na policzki wypłynęła jej purpurowa łuna i wołała nie ryzykować odpowiedzi.

– A gdybyś wpadła na moją ciotkę albo kuzyna Gideona, to pozdrów ich ode mnie – dorzucił Tait pogodnie.

– A, tak, oczywiście. A gdzie mieszkają? – zapytała Bea.

– W Weston-super-Mare – odparł.

Bea zanosła się śmiechem.

– Tait, jeżeli jakimś cudem znajdziemy się w pobliżu Weston-super-Mare, to by znaczyło, że nieźle się pogubiłyśmy. Chyba nie ma miejsca dalej od Edynburga!

– Skąd niby mam to wiedzieć? – Wzruszył ramionami Tait.

– Zostawiłam wam coś w spiżarni. To jeszcze nie właściwe prezenty gwiazdkowe, ale takie małe, przedświąteczne podziękowanie.

– O, Bea! Dziękujemy! – zawołali chórem.

Zostawiła każdemu wiklinowy kosz pełen smakołyków, łącznie z butelką szampana i eleganckim, przewiązany kokardą pudełeczkiem domowych czekoladek z cukierni Haigh's w Queen Victoria Building.

Bea posłała im ręką buziaka i ruszyła w stronę wyattowego holdena, popychając przed sobą walizkę na kółkach. Usiadła na miejscu pasażera i natychmiast wyczuła, że znalazła się w środku awantury. Flora wydawała się spięta, chociaż jej grymas na buzi ustąpił słabemu uśmiechowi, którym przywitała się z babcią.

– No jak, cieszysz się? – zapytała Bea.

Flora kiwnęła głową i wetknęła sobie słuchawki do uszu.

– Spróbuj przemówić jej do rozumu, jak już tam będziecie, dobrze? – rzekł Wyatt, przejeżdżając Elizabeth Street koło dworca. Wygłosił te słowa do przedniej szyby zza lustrzanych okularów słonecznych, jakby Flory z nimi nie było.

– No coś ty, przecież Flora jest bardziej rozsądna ode mnie! Myślałam, że to ona będzie mieć na mnie oko!

Wyatt prawie niedostrzegalnie pokręcił głową.

Gdy skręcili w Botany Road, Bea zauważyła na chodniku pana Giraldiego. Stał w słomkowym kapeluszu od słońca i wycierał sobie twarz i szyję niebieską chustką w groszki. Najwyraźniej właśnie wracał z zakupów, bo w ręce dźwigał pękata reklamówkę Harris Farm, bez wątpienia pełną pomarańczy, za którymi przepadał. Bea zamachała gwałtownie. Pan Giraldi pochwycił jej spojrzenie i, zapominając o swej pozie starego zrzędy, odmachał z szerokim uśmiechem, spoglądając za samochodem, dopóki nie zniknął mu z oczu.

Wyatt zacisnął dłonie na kierownicy, z czego wywnioskowała, że nawet ten gest z jakiegoś powodu zadziałał mu na nerwy. Cóż, w takim razie, jak to niedawno powiedziała Florze, to jego pasztet.

Wyatt wysadził je pod pierwszym terminalem. Wymienił z córką niezgrabny uścisk, po czym musnął policzek matki chybionym pocałunkiem. Następny raz mieli się zobaczyć tuż przed świętami, kiedy on i Sarah wrócą już z Bali. Bea i Flora cieszyły się, że lecą z międzynarodowego terminala, chociaż czekał je praktycznie cały dzień drogi: dziesięć godzin lotu do Hongkongu, a następnie kolejnych szesnaście do Edynburga z przesiadką w Amsterdamie.

– Wpadniemy do pani Alex i jej gromady kotów, kiedy przyjedziemy? – zapytała Flora nieoczekiwanie, kiedy wchodziły na pokład, po czym zaniósła się takim chichotem, że Bea uśmiechnęła się mimo woli. – Kim przysłała mi esemesa, żeby cię o to zapytać. Nawet nie wiem, dlaczego to miało być śmieszne!

– Cóż. – Bea cmoknęła. – Odpisz pani Kim, że bardzo być może.

Chociaż zdawało się, że podróż zajmie im wieki, to jednak ciepło panujące w samolocie i zaciszne miejsce pod kocem, z którego i tak nie mogły się nigdzie ruszyć, nastrajało do drzemki. Tak więc po obejrzeniu kilku nadawanych filmów obie zapadły w sen i przespały tak większą część podróży.

Tego ranka po przebudzeniu Bea długo leżała w ciemności z zieloną jedwabną poduszczką przy twarzy i przypominała sobie, jak kiedyś odbyła tę samą trasę, tylko w przeciwnym kierunku, żeby razem z rodziną rozpocząć nowe życie na drugim końcu świata. Babcia pożegnała ich łzawo na lotnisku, a mama nie przestawała płakać. Pamiętała, jak ojciec powiedział mamie, że lzy są zaraźliwe i żeby się powstrzymała ze względu na dziewczynki.

Miała czternaście lat, raptem kilka miesięcy więcej niż Flora teraz, i wyobrażała sobie, że w Australii, która miała być jej nowym domem, będzie tak jak na jej ukochanym angielskim

wybrzeżu, które kojarzyło jej się ze słońcem, plażą i lodami. Przejmowała się tylko tym, czy zabrała ze sobą wystarczająco dużo sandałów i czy mają tam odpowiednik listy Top 40. Przyjazd do Byron Bay był więc dla niej nie lada szokiem. Poza kościołem i kilkoma masywnymi budynkami przy głównej ulicy wszystko wyglądało jakoś nędznie i prowizorycznie i w najmniejszym stopniu nie przypominało solidnych zabudowań na obrzeżach Surrey, gdzie się wychowała. W pamięci pozostał jej zwłaszcza koszmarne mdlący smród z rzeźni i przetwórnicy mlecznej, które zapluyały miasto swoimi wyziewami. Było niemiłosiernie gorąco. W ciężkim upale unosiło się nieustające brzęczenie owadów, muchy natarczywie siadały jej na ustach i na języku, a kiedy chroniła się przed skwarem w morzu albo w cieniu eukaliptusów, chcąc nie chcąc myślała tylko o rekinach i krokodylach. Wszystko było zupełnie inne, niż się spodziewała. Trudno wyobrazić sobie coś bardziej dalekiego od łagodnie ciepłego letniego dnia w domu. Brakowało jej też ulubionego jedzenia i nie mogła przeboleć, że nie wzięli ze sobą sowitych zapasów błyskawicznego puddingu Birda i mlecznych napojów Ovaltine.

Myśli Bei pobiegły do Diane, jedynej siostry i najbliższej przyjaciółki. To już ponad trzydzieści lat, jak widziały się po raz ostatni. Bardzo za nią tęskniła. Spośród wszystkich rzeczy, które utraciła, najbardziej nie mogła odżałować Di. Ale zrobiła tak, jak zażądali rodzice – dotrzymała słowa i nie szukała żadnego kontaktu. *Brakuje mi Ciebie, Di...* Nigdy już nie wróciła do Byron Bay. Być może bała się tego, co by tam zastała. Chociaż z tego, co słychać, miasteczko zmieniło się nie do poznania. Nieciekawa miejscowość portowa przekształciła się ponoć w popularny ośrodek alternatywnego stylu życia i bliskości z naturą. Zastanawiała się, czy Di nadal tam mieszka, czy została lokalną hipiską i czy jeszcze o niej pamięta. Miała nadzieję, że tak.

Flora pierwsza wysiadła z samolotu. Ziemię pokrywała cienka warstewka lodu. Dziewczyna stanęła na górnym stopniu schodów i spojrzała na babcię, obejmując się ciasno ramionami.

– Rany, Bea! Tu jest lodowato! – krzyknęła, a gwałtowny podmuch mroźnego wiatru odrzucił jej włosy do tyłu i zaczerwienił nosek. Nigdy jeszcze nie doświadczyła takiej temperatury.

Bea roześmiała się, bo sama już zapomniała, jak zimne może być zimno. To już nie był ten rodzaj chłodu, kiedy człowiek pod wieczór narzuca bluzę na plaży, patrząc, jak napęczniałe słońce spada do oceanu, albo wciąga na nogi skarpetki przed rzeźkim chłodem wczesnego poranka. To był ziąb, od którego ścinała się skóra i drętwiały kości. Taki ziąb, od którego bolą człowieka uszy i który sprawia, że jedyne, na co ma się ochotę, to wpełznąć pod grubą, puchatą kołdrę i nie wyściubiać nosa aż do lata. Przypomniała sobie nagle, jak w podstawówce wracały z Diane ze szkoły w środku zimy, gdy o trzeciej robiło się już ciemno. Pomyślała o szorstkich w dotyku policzkach i o tym, jak w ciężkich kozakach pędziły do domu, żeby jak najszybciej usiąść przy kominku, wystawiając do ognia skostniałe ręce i nogi, a wokół unosił się nieprzyjemny zapach zawilgłej wełny z ich szalików i rękawiczek, które mama wywieszała do wyschnięcia na koślawym stojaku przy kominku.

– To może jednak Bali? – zażartowała Bea, śmiejąc się i szczękając zębami jednocześnie.

Jak tylko odebrały bagaże, Flora otworzyła plecak i wyciągnęła kurtkę narciarską, wełnianą czapkę i gruby szalik z angory. Bea dwukrotnie omotała sobie szyję kaszmirową chustą i przetrząsała walizkę w poszukiwaniu długiego płaszcza z granatowej wełny. Kiedy szły do wypożyczalni samochodów, wydawało jej się, że zęby grzechoczą jej w dziąsłach, a lodowate powietrze przenikało ją do szpiku kości.

– Boże, jak zimno! – powtarzała co kilka minut, rozcierając dłonie.

Flora tylko potakiwała głową, jakby szok termiczny odebrał jej głos.

Billboardy na hali lotniska przedstawiały smakowicie wyglądające dania bożonarodzeniowe i przyozdobione kokardami prezenty, które czekały na nie w edynburskich sklepach i restauracjach, na co Beę ogarnęło nagle podniecenie. Zimno, bo zimno, ale na Boże Narodzenie tak właśnie ma być.

– Możesz prowadzić, ba... Bea? – zapytała Flora.

– Absolutnie! Jestem całkowicie przytomna i gotowa do drogi! – Twarz Bei, okolona siwymi włosami do ramion równiutko wyglądającymi spod czapki, promieniała.

Wynajęły maleńkiego czerwonego fiata 500 zafascynowane nieznaną sobie marką. Podziękowały uśmiechniętemu Andrew z wypożyczalni, który mówił tak szybko i z tak silnym szkockim akcentem, że Bea była w stanie zrozumieć może co trzecie słowo. Flora wrzuciła jedną torbę na tylne siedzenie, a druga bez trudu weszła do zaskakująco pojemnego bagażnika. Bea zatrzasnęła klapę, wskoczyła za kierownicę i wprowadziła dane do lokalizatora GPS, który następnie zapikał.

– Świetny ten samochód! Jakbyśmy jechały pomidorkiem czereśniowym! – Flora zachichotała, zaś Bea wsunęła kluczyk do stacyjki, podkreśliła ogrzewanie na full i wyciągnęła rozpostarte dłonie w stronę wywietrznika.

– Albo raczej w bombce choinkowej! – Roześmiała się.

– Nieważne, czym jedziemy, byle w ciepło. Nie czuję palców u nóg! – Flora zatupała stopami w adidasach w gumową wycieraczkę na podłodze.

– Zaraz się nagrzej – powiedziała Bea z nadzieją, a ręka tak dygotała jej na kierownicy, że słychać było brzęk bransoletek w rękawie jej płaszcza.

Wyglądało na to, że od hotelu Balmoral, który miał być ich domem przez następne dwa tygodnie, dzieliło je jakieś trzynaście kilometrów. Żadna z nich nie była wcześniej w Szkocji i nie miały pojęcia, czego się spodziewać, gdyż cała ich wiedza na temat tego kraju ograniczała się do kilku zdjęć znalezionych w sieci – same wysokie góry i krzaczaste lasy – oraz *Nieśmiertelnego* i *Taggarta*.

Bea zapięła pas i wygładziła na udach kremowe spodnie z bawełny, żeby nie pogniotły się w czasie jazdy. Założyła sobie poły płaszcza na kolana, owijając się nim jak kocem i zwyczajowo poprawiła bransoletki na przedramieniu.

– Dawno już nigdzie z tobą nie jechałam. – Flora ziewnęła i wzdrygnęła się, żeby strząsnąć ogarniające ją zmęczenie.

Bea kiwnęła głową.

– Rzeczywiście. Ale nic się nie bój, chyba jeszcze pamiętam, jak się to robi. – Mrugnęła figlarnie. – Chociaż tyle, że jeżdżą tutaj po właściwej stronie!

Flora parsknęła śmiechem.

– Cieszysz się? – zapytała Bea, zapalając silnik.

– Jak nie wiem! – pisnęła Flora.

Bea poczuła się trochę nieswojo, bo zdała sobie sprawę z odpowiedzialności związanej z wożeniem Flory samochodem. To, że Wyatt i Sarah oddali jej swoje jedyne dziecko pod opiekę na otwartej drodze w obcym kraju, stanowiło nie lada wyróżnienie.

– Niebo jest raczej szare, co? – Pochyliła się do przodu i spojrzała przez przednią szybę na nisko zawieszony gęste chmury, które nadawały krajobrazowi osobliwie zimowy charakter. – Wszystko wygląda przez to jakoś tajemniczo, nie uważasz?

– No. Przypomina mi się *Harry Potter*. – Flora zachichotała.

Bea sprawdziła lewy i prawy kierunkowskaz, przećwiczyła włączanie i wyłączanie świateł oraz przeskakiwanie na długie, żeby zaznajomić się z funkcjonowaniem poszczególnych wajch w aucie. Wreszcie, siedząc sztywno w fotelu, napięta jak struna zwolniła hamulec ręczny

i dołączyła do sznura samochodów wyjeżdżających niespiesznie z parkingu. Objechały trzy runda, podążając za znakami, które wskazywały drogę do centrum miasta. Drogi były gładkie i pokryte szarym asfaltem, a małe rondka z wysokimi, jasnymi krawężnikami wysypane były ziemią i porośnięte trawą, w której od czasu do czasu tkwiła jakaś reklamowa tablica.

Dwa samochody wzięły sunącego powoli środkowym pasem fiacika w dwa ognie.

– Aj! Czuję się jak płotka w sadzawce szczupaków!

– Błyszcząca i czerwoniutka płotka – uzupełniła Flora.

Na A8 nieustannie jakby przybywało samochodów.

– Myślę, że nasz GPS może być niepoprawnym optymistą w swoich wyliczeniach, kiedy mówi, że dojedziemy tam za pół godziny – stwierdziła Bea. – Matko, co za ruch! Kiedy byłam mała, prawie w ogóle nie było żadnych samochodów, szczególnie tam u nas. Dasz wiarę, że razem z Diane najnormalniej w świecie bawiliśmy się na ulicy koło domu? Grałyśmy w tenisa albo w piłkę nożną wprost na asfalcie. Jeżeli już napatoczył się jakiś kierowca, to tylko na nas trąbił i schodziłyśmy na bok. A teraz spójrz tylko! To przecież jakiś obłęd!

Posuwały się na tyle wolno, że mogły zaglądać do wnętrza samochodów po obu stronach i uśmiechać się głupkowato do jadących w nich ludzi, nie wiedząc czemu całe rozanielone, że ugrzęzły w korku. Za to nie było jakim, ale prawdziwie szkockim! Przejeżdżając przez Corstorphine, Bea przyglądała się solidnym domom wykonanym z granitu. Ściany nad górnymi oknami wieńczyły blanki jak na murach obronnych, nadając im bardzo dostojny, masywny charakter, odwrotnie do lekkiej, nowoczesnej architektury Sydney.

– Naprawdę tu jestem... – Bea wypowiedziała na głos swoje myśli. – Znow jestem w Wielkiej Brytanii, ale jestem dorosła. Jak to się mogło stać?

– Nie wiem. – Flora wzruszyła ramionami. – Szkoda, że rodzice nie widzą, jak jedziemy sobie bombką na tym siarczystym mrozie. Tacie by się to spodobało. On lubi odkrywać i poznawać nowe rzeczy, prawda?

– O, tak. – Bea się uśmiechnęła, zadowolona, że Flora wyraża się o swoim ojcu ciepło i bez agresji, której popis dała nieco wcześniej.

– Jak myślisz, będą za mną tęsknić? – Głos Flory zabrzmiał cieniutko.

– Czy będą? No jasne, że tak! Ale na pewno cieszą się, że dobrze się bawimy.

– Zadzwoń do nich później – powiedziała Flora ze wzrokiem wbitym w okno.

– Dobry pomysł.

Flora pokręciła głową.

– Dobrze im robi, jak wyjadą sobie gdzieś tylko we dwoje. Bez pracy i tak dalej.

Bei wydało się, że to zabrzmiało nad wyraz dorośle.

– A ty, tęsknisz za nimi?

Flora skinęła głową.

– Trochę.

– No i bardzo dobrze. Pomyśl tylko, jak miło będzie, kiedy znow się spotkacie.

– Muszę kupić dla nich prezenty. I może coś dla Marcusa. – Flora nie odrywała oczu od krajobrazu za szybą.

– Marcusa, którego nie cierpisz? Tego, któremu przywaliłaś w zęby?

– Mhm. – Flora westchnęła. – To nieprawda, że go nie cierpię. Lubię go. Może nawet go kocham.

– Och, moja złota! Pozwól, że dam ci radę: jeżeli kogoś lubisz, a może nawet kochasz, to objanie mu gęby niekoniecznie stanowi najlepszy sposób na rozpoczęcie związku.

– No przecież wiem. – Flora spojrzała na babcie. – Ale ja go nie lubiłam tak od razu. Lori powiedziała, że chce z nim chodzić, więc nic nie mówiłam. Ale tak jakoś trzy tygodnie po

ostatnich feriach wracaliśmy kiedyś z plaży autobusem i zobaczyłam go, jak idzie Darley Road. Był sam i tak jakoś serce mi załopotowało. Miałam ochotę z nim porozmawiać i trochę go poznać, ale wiedziałam, że on podoba się Lori, więc nic nie powiedziałam. A potem myślałam o nim przez całą drogę do domu, a kiedy zobaczyłam go później w szkole, znowu się tak poczułam. A wtedy zrobiła się ta chryja z okresem i mu przywaliłam.

Bea dobrze pamiętała, jak to jest, kiedy się ma kilkanaście lat i „łopoczące” serce. Młody, wolny od pracy i innych obowiązków umysł nieustannie krąży wokół obiektu westchnień w dzień i w nocy.

– Rozmawiałaś z nim? Powiedziałaś mu o tym, co czujesz?

Flora potrząsnęła głową.

– Nie. Nie miałam odwagi, a Lori by mnie zabiła. Ale pamiętam, jak był ubrany wtedy na Darley Road i za każdym razem, kiedy o tym myślę, coś mnie łaskocze w żołądku.

Bea pomyślała o szarym niebie, niebieskiej koszuli, ciemnozielonym jedwabnym szaliku, szarych, roboczych spodniach, kosmyku włosów opadającym mu na oczy, wielkości jego dłoni, w której jej własna mieściła się tak idealnie, jakby do tego stworzona...

– Rozumiesz, o co mi chodzi?

– Tak – szepnęła Bea. – Rozumiem.

Flora wyprostowała się na siedzeniu.

– Poza tym nie ma sensu mówić mu o czymkolwiek. On mnie nie znosi.

– Na pewno nie – zaprzeczyła Bea półgębkiem, uważając na drogę.

– To i tak już nieważne. Lori mówi, że będą ze sobą chodzić, czyli po sprawie.

– A on nie ma tu nic do powiedzenia? Biedny chłopak. Nie uważasz, że należałoby mu powiedzieć, co czujesz i pozwolić mu zdecydować? – To była dokładnie ta sama rozmowa, którą niedawno odbyła z Kim.

– Może. Skąd wiadomo, że spotkało się miłość swojego życia?

– Dobrze pytanie. – Bea się uśmiechnęła. – Wydaje mi się, że trzeba zaufać swojemu instynktowi.

– Wydaje mi się, że go kocham, ale chyba wszystko zepsułam...

– Przez to, że mu przywaliłaś?

Flora skinęła niepewnie.

– O, zoo! – wykrzyknęła nagle, pokazując na szyld po lewej stronie drogi i zmieniając w ten sposób temat i nastrój w samochodzie. – Mają pandy! Prawdziwe pandy! Nie to, co te nasze grubaśne diugonie6. Aż mnie skręca, kiedy pomyślę, jak musi im być zimno! Pójdziemy zobaczyć?

– Ludzie z Edynburga byliby pewnie zachwyceni, gdyby mogli zobaczyć grubaśnego diugonia! I tak, możemy zrobić, co tylko chcesz, ale nie dzisiaj. Marzę o tym, żeby umyć włosy i pomoczyć się w wannie z bąbelkami.

– Ale fajnie! – zawołała Flora.

Korek chyba trochę się rozładował i samochód przyspieszył, a wtedy to nagle Bea wykrzyknęła:

– Patrz! Stadion Murrayfield! Nie do wiary! Widziałam go w telewizji, kiedy Wallabies grali ze Szkocją w zeszłym roku. Oglądaliśmy mecz wszyscy razem w kawiarni. Tait dostał kompletnego bzika na punkcie Lealiifana, który zagrał wtedy fenomenalne spotkanie! A teraz tu jestem! To niesamowite. Muszę zrobić zdjęcie, żeby im wysłać.

Flora zaśmiała się, rozweselona na widok entuzjazmu babci, która najwyraźniej podzielała zamiłowanie jej ojca do rugby – sportu, którym ona sama raczej mało się interesowała.

Potem obie podziwiały świąteczne dekoracje na domach wzdłuż drogi. Po drabinach

i gzymśach wdrapywały się neonowe mikołaje, a drzewa i krzewy tonęły w miriadach rozżarzonych światełek. Na podjeździe jednego z nich zobaczyły nawet podświetlone sanie ciągnięte przez dwie pary reniferów. Dmuchane bałwanki i morze innych czerwono-zielonych i złocistych ozdób migotało na tle szarego, popołudniowego nieba, rzucając lunę na kamienne ściany i brunatne tynki. Zakutane w grube palta, wełniane czapki i szaliki dzieci, maszerujące po chodnikach za rękę z rodzicami, taszczyły reklamówki z nadrukami choinek i świątecznych pozdrowień.

Bea przyglądała się mijanym butikom. Już zapomniała, że tutaj nie wieszano nad drzwiami specjalnych zadaszeń, które w Australii osłaniały przed słońcem wszystkie sklepy i kawiarenki. W porównaniu tutejsze fasady wydawały się dziwnie płaskie, bardziej wyeksponowane, ale też jakoś lżejsze i bardziej przystępne. Przez głowę przemknęło jej wspomnienie siebie jako sześciolatki ściskającej w rączce srebrną sześciopensówkę. Stała, niemal dotykając noskiem wypukłej, przeszklonej wystawy, i łakomie wybierała słodczyce, które następnie łądowały w papierowej torbie. Przechodziła istne katusze, musząc zdecydować się na coś pomiędzy żółciutkimi piankami o smaku bananowym, różowymi cukierkami w kształcie małych krewetek, śmietankowymi drażetkami z rabarbarem, ciągutkami Black Jack, laskami lukrecji, żelkowymi dżdżownicami i dropsami Parma Violets. I zaraz potem żałowała swojego wyboru, gdy okazywało się, że Diane wzięła pralinki truskawkowe albo jeszcze inny smakołyk, który umknął przed jej czujnym okiem. Już zapomniała o tych eskapadach do sklepu ze słodczymi co sobotę rano.

Wreszcie skręciły w Princes Street. Bea wstrzymała oddech, a serce skoczyło jej w piersi. Edynburg. Dokładnie taki jak sobie wyobrażała przez te wszystkie lata. Tak jak powiedział Alex, miasto wyglądało absolutnie cudownie. Było dopiero wczesne popołudnie, ale niebo już zaczynało zaciągać się fioletem. Między latarniami z epoki wiktoriańskiej rozpięto sznury lampek, a pod nimi kłębił się tłum ludzi. Po lewej wznosił się ciasny rząd wysokich, granitowych kamienic jakby strzegących wejścia do majestatycznego zamku, wokół którego murów roztaczały się Książęce Ogrody, łagodnie opadając ku ruchliwej Princes Street.

Serce Bei zabiło szybciej na dźwięk słów, które szeptał jej do ucha, gdy tańczyli walca w krwawym świetle księżycy: „Ta ulica wyznacza ci pole widzenia jak olbrzymi obraz. Nie ma takiego drugiego miejsca na świecie jak Princes Street. Zamek jest tak samo piękny w czasie deszczu, jak słońce migocze w drobinkach jego czerwonego piaskowca. Dla mnie to znaczy dom i pewnie nic już tego nie zmieni”.

– O, wesołe miasteczko! – Flora wystawiła rękę przed siebie.

Bea chłoneła wzrokiem świąteczne wystawy i właśnie przyglądała się fasadzie sklepu z kiltami Hector Russell, gdzie w każdym z trzech wielkich okien od ziemi aż do sufitu pyszniła się wspaniała kompozycja różnych rodzajów tartanu, uzupełniona manekinami w zawadiacko przekrzywionych mikołajowych czapkach. Miała wielką ochotę wbiec po łukowatych schodach i pobuszować w środku. Z ociąganiem odwróciła głowę.

– Diabelski Młyn! Ale tam musi być widok. Koniecznie się trzeba przejechać! – Flora aż kipiała z podniecenia. Bea cieszyła się z jej entuzjazmu. Pomimo tych wszystkich zajęć w szkole, Flora była po prostu młodą, pełną życia dziewczyną. I Bea miała nadzieję, że będzie tak jak najdłużej.

– Zrobimy, co będziesz chciała. Możesz to wrzucić w grafik – odparła Bea z uśmiechem.

– Najbardziej to bym chciała coś zjeść. Umieram z głodu. – Flora poklepała się po brzuchu. – Która jest teraz u nas godzina?

Trzymając jedną rękę na kierownicy, Bea zaczęła na oślep gmerać w kieszeni plecaka, znalazła telefon i włączyła go pierwszy raz po podróży. Przez chwilę aparat rozpoznawał sieć, po

czym rozćwierkał się jak szalony.

– Patrz, łapię O2. – Podsunęła ekran wnuczce pod nos i roześmiała się, jakby dopiero to było ostatecznym potwierdzeniem, że są za granicą.

– W Sydney jest teraz... O rany! – Bea zmrużyła oczy. – Druga nad ranem! Nic dziwnego, że jesteśmy trochę zamroczone.

– Już dawno powinnam być w łóżku! – Ziewnęła Flora.

– Ja też. – Bea się roześmiała.

GPS zagadał i Bea wysunęła palec do przodu.

– Musimy pojechać naokoło. Ta ulica przed nami jest chyba jednokierunkowa!

Flora wskazała na ekran lokalizatora.

– O, zobacz, przejeżdżamy nad Royal Mile! Cześć, Alex! – Pomachała przez okno.

Bea cmoknęła, bo niespodziewanie poczuła się naraz speszona i podekscytowana na myśl o spotkaniu z kaczkowatą wielbicielką kotów, która w rzeczywistości była mężczyzną. Szybko zmieniła temat.

– O rety! Patrz. Balmoral. Ale staro wygląda. I ekskluzywnie.

Zmęczone wtoczyły walizki do hotelowego lobby i z zachwytem rozejrzały się po imponującym wnętrzu. Wysoki sufit, zdobione karnisze i kolumnady zwracały wzrok ku górze. Na pokrytej pluszowym dywanem posadzce stały donice z palmami, w kominku płonął prawdziwy ogień, a tuż obok wznosiła się udekorowana choinka. Wrażenie było piorunujące. Czekać przy kontuarze recepcji z ciemnego drewna, żeby się zameldować, co i rusz popatrywały na siebie i chichotały radośnie. Naprawdę były w Szkocji i miały spędzić w tym luksusowym hotelu najbliższe dwa tygodnie!

6 Zagrożony wyginięciem roślinożerny ssak morski, zwany także krową morską (przyp. red.).

Jedenaście

– Ojeju! Popatrz! Mamy widok na zamek i ogrody! Ale tu wszystko jest stare. – Flora stanęła w wykuszu pokoju hotelowego i spoglądała na gęszcz historycznych budynków, świątecznych świateł i ludzi kręcących się radośnie po ulicach.

Przestronny pokój wyposażony w dwa podwójne łóżka z niezwykle kuszącą, świeżą, bielutką pościelą oświetlały rozliczne, eleganckie lampki rozstawione na toalecie z ciemnego drewna i szafkach przy łóżkach. Efektowny dywan miał wzór szkockiej kraty w pastelowych odcieniach. Ktoś ułożył także wspaniałą bukiet z jasnofioletowych kwiatów ostu przetykanych białymi różami. Bea i Flora uśmiechnęły się do siebie. Zarówno pokój, jak i widok były fantastyczne.

– Okej, Bea, chodźmy pozwiedzać, zanim zwałę się na to łóżko i zasnę na sto lat.

– Dobra, niedoszła Śpiąca Królowo, jeżeli tylko uważasz, że dasz jeszcze radę. Ja jednak czuję się trochę nieświeżo. Dasz mi chwilę, żeby wziąć prysznic i zmienić ubranie? – Bea zdjęła spinkę, przeczesła swoje gęste włosy palcami i upięła je znowu, odgarniając z twarzy wszystkie luźne kosmyki.

– Jak ty to robisz, że zawsze tak świetnie wyglądasz? Mama często opowiada swoim koleżankom, jak zobaczyła cię po raz pierwszy. Podobno miałaś na sobie żakiet *à la* Coco Chanel, jedwabną bluzeczkę, naszyjnik z pereł i rozszerzane spodnie. Mówi, że wyglądałaś przepięknie, stylowo i supermodnie i że strasznie się przez to zestresowała.

– Och, no cóż, dziękuję ci, Sarah! – Dla Bei to był nie byle jaki komplement, ale i zaskoczenie dowiedzieć się, że jej synowa postrzega ją w ten sposób. – To fakt, że lubię się ubrać. Może dlatego, że kiedy byłam mała, prawie nic nie miałam, tylko kilka burych ciuszków, które zrobiła mi mama. I ja, i moja siostra, i mama zawsze miałyśmy te same ubrania. Raz w roku ojciec kupował belę taniego, jednobarwnego materiału, a mama rozwijała go na podłodze i przykładała do niego trzy identyczne papierowe formy w różnych rozmiarach, po jednej dla każdej z nas, i wychodziły z tego trzy spódnice, trzy bluzki czy co tam innego. Umiała świetnie szyć i w domu zawsze słychać było terkotanie maszyny. Ale ja po cichu marzyłam o ciuchach ze sklepu, innych od mojej siostry. Dopiero kiedy poznałam Petera, mogłam sobie pozwolić na porządne ubrania. I od tego czasu zawsze udawało mi się kupować rzeczy wysokiej jakości, które nosiłam potem przez lata. Nadal tak jest.

– No i masz wspaniałą figurę.

– O, Bóg zapłać, Flora! Bardzo miło to słyszeć.

– Byłaś kiedyś gruba? – zapytała Flora z typową dla nastolatki bezpośredniością.

Oczami wyobraźni Bea ujrzała siebie leżącą na łóżku, wyglądając, jakby połknęła beczkę. Skóra rozciągnęła jej się pod naporem rosnącego w niej nowego życia. Przypomniała sobie, że gdy stojąc nago w łazience, spoglądała w dół, nie widziała stóp. Była olbrzymia i nawet jej się to podobało, pomijając nieznośną świadomość, że była samotną kobietą w ciąży.

– Nie, raczej nie. Co masz ochotę zjeść na kolację?

Żadna z nich nie skomentowała naglej zmiany tematu. Flora wzruszyła ramionami.

– Może po prostu pójdziemy się rozejrzeć? Sama nie wiem. Najchętniej to zjadłabym frytki, ale w sumie ja zawsze mam ochotę na frytki! Na recepcji znalazłam tę ulotkę. – Pomachała Bei przed nosem kawałkiem papieru, na którym widniało logo jakiegoś baru w formie wielkiego homara. – Wydaje się w porządku.

– No, wygląda świetnie! Bardzo dobry pomysł. – Bea złapała plecaczek i zarzuciła go

sobie na ramię. Telefon jej zawibrował.

– O, e-mail od Alexa. – Przyłożyła palec do ekranu i kliknęła ikonkę, tak jak jej pokazano. – Píše, że ma nadzieję, że miałyśmy dobrą podróż i zaprasza nas jutro na kawę. Podał też wskazówki. Cały czas nie mogę się przyzwyczaić do tego rodzaju męskiego!

– Fajnie, że się z nim w końcu spotkamy! – Flora klasnęła w dłonie.

– Hmm, może. – Bea nie była tego taka pewna. Wzięła do ręki kartę do drzwi pokoju i poprawiła sobie chustę wokół szyi, próbując ukryć rumieniec. – Trochę się niepokoję, że mogłam sprawić na nim mylne wrażenie. Nie interesuje mnie żadne takie pogruchiwanie, a już na pewno nie z kimś, kto mieszka na drugim końcu świata. I kto tyle wie o moich prywatnych sprawach! – Ponownie wzdrygnęła się na samą myśl.

– No ale teraz nie jesteś na drugim końcu świata. Jesteś tu, na miejscu! Jakie znów „pogruchiwanie”? – Flora wpatrywała się w babcię.

Bea roztarła sobie obolałe plecy. Po dwudziestu czterech godzinach w samolocie stawy jej zeszytniały, tym bardziej że nie zrobiła przeciw swojej zwykłej porannej gimnastyki ani nie miała okazji rozruszać się jak co dzień krzątającą po Kuchni Reservoir Street.

– Sama nie wiem, ale na pewno nie będę się tym teraz przejmować, możesz mi wierzyć. – Roześmiała się. – A „pogruchiwanie” to nie jest brzydkie słowo, więc nie ma potrzeby dopisywać go do waszej listy!

Flora zarumieniła się na wzmiankę o liście przekleństw.

Wyszły z hotelu, uśmiechając się do wytwornie ubranych pracowników obsługi w holu.

– Rany, ale zimno! – zawołały chórem, gdy lodowate powietrze owiało im twarze.

Flora wsunęła Bei rękę pod ramię.

– Mogłyśmy jechać wszędzie indziej, a wybrałyśmy akurat tutaj, gdzie praktycznie nie czuć nóg ani twarzy. Ale mróz!

Bea objęła wzrokiem Princes Street. Na moście stał młody grajek w kilcie z tradycyjną futrzaną torebką dyndającą z przodu i brzdąkał rzewnie na dudach. Melodia była dziwnie poruszająca, brzmiała niemal jak płacz. Poczowała, że w gardle pęcznieje jej wielka kula. Przełknęła ślinę i odkaslnęła. Pamiętała, co opowiadał jej o lirycznym brzmieniu tego instrumentu, który potrafi wycisnąć łzy z oczu każdego Celta rzuconego daleko od domu. W tej chwili doskonale rozumiała, co miał wtedy na myśli.

– Masz rację, Flora, mogłyśmy pojechać dokądkolwiek indziej. Ale ja się cieszę, że jesteśmy tutaj, bo to jest piękne miasto z cudowną architekturą. I zdecydowanie czuć tutaj święta, nie uważasz?

– No. – Flora jeszcze ciaśniej przywarła do jej ramienia. – Dziękuję, że mnie tu zabrałaś. – Przystanęła zniemacka cała rozdygotana i popatrzyła na babcię. – Tak sobie myślę, że Kim może mieć rację. Może Alex mógłby być twoim chłopakiem? Dziadek tak bardzo cię kochał, na pewno byłby szczęśliwy, że ty jesteś szczęśliwa.

– O, kochanie! To urocze, co mówisz. Tak, myślę, że dziadek byłby szczęśliwy, wiedząc, że jestem szczęśliwa. – Bea pomyślała o cudownym liściku, który zostawił jej w książce. „Nie uciekaj od szczęścia i pozwól sobie kochać!”. – Ale Alex nie będzie moim chłopakiem.

– Skąd możesz wiedzieć? Jeszcze nawet go nie poznałaś. – Flora uśmiechnęła się łobuzersko i podjęły wędrowkę.

Na chodniku roilo się mnóstwo ludzi, dookoła unosiły się śmiechy i gwar rozmów, a co jakiś czas z wesołego miasteczka dobiegała fala radosnego pisku. Wszędzie panowała atmosfera zabawy, co nieco ożywiło zmęczone podróżą turystki. Kobiety przechadzały się w grupkach pod ramię w szpilkach i migotliwych bluzkach bez płaszczy. Bea aż się wzdrygnęła na widok ich nagich ramion wystawionych na podmuchy zimnego, wieczornego wiatru. Roześmiała się, kiedy

zaczepiło je trzech wyraźnie podchmielonych mężczyzn w mikołajowych czapkach podtrzymujących się nawzajem pod rękę i śpiewających na całe gardło.

– Wesołych świąt, ślicznotki! – Jeden z nich odłączył się od pozostałych i chwiejnym krokiem ruszył w kierunku Bei, która zwinnie uchyliła się przed soczystym całusem.

– Dzięki! I wzajemnie!

– O, nie jesteście no z Nowej Zelandii? – Jeden z nich zbliżył się do Bei.

– Po sąsiedzku – odparła ze śmiechem, nie chcąc wdawać się w geograficzne zawłości i zróżnicowanie akcentów z kimś, kto ledwo trzyma się na nogach.

– Może znacie mojego kuzyna Bradleya? Mieszka w Nowej Zelandii.

– A gdzie dokładnie?

– Ja pierdołę, nie wiem. Oj, przepraszam! – Złapał się za usta, bo zauważył młodą buzię Flory.

– Nie ma problemu – odparła błyskawicznie Flora. – To już mam na liście. A poza tym sama powiedziałam to niedawno trzy razy, no nie, Bea?

Bea skinęła wymijająco głową, żeby jej nie zachęcać.

– No więc... Bradley. – Mężczyzna trzymał się swojego tematu. – Nie wiem dokładnie, gdzie mieszka, ale obok jest jakaś góra i mają dom z przybudówką. – Opowiadał nieco bełkotliwie. – Jest dość wysoki. – Wyciągnął sobie rękę nad głowę, żeby unaocznić im wzrost kuzyna Bradleya.

– Aaa! Jasne, raczej wysoki Bradley, w domu z przybudówką obok góry! Tak, mieszka zaraz koło nas.

– To musicie go ode mnie pozdrowić! I powiedzcie, że przepraszam za tę historię z psem. – Zasalutował, z trudem zachowując pion, po czym ruszył za towarzyszami i wszyscy razem potoczyli się dalej, na przemian wpadając i spadając z krawężnika.

Flora roześmiała się dźwięcznie i przytuliła do babci.

– Chyba przesadził z winem!

– Pewnie tak. I z piwem, i z whisky! – Bea się zaśmiała. – Kusilo mnie, żeby spytać, czy nie zna Gideona, kuzyna Taita z Weston-super-Mare!

Gdy tylko weszły przez obrotowe drzwi do Café Royal, wiedziała, że dobrze trafiły. W powietrzu unosił się smakowity zapach, od którego ślinka napływała do ust. Bei zadrżały skrzydełka u nosa, gdy z lubością wciągnęła aromat sosu z czerwonego wina, czosnku i szalotek. Spojrzały z Florą po sobie ucieszone, że bar w rzeczywistości prezentował się tak samo świetnie, jak obiecywała ulotka. Zdjęły kurtki i czapki i powiodły wzrokiem po wnętrzu w stylu lat dwudziestych pełnym oryginalnych malowideł na ścianach. Przypominało to trochę wystawną salę balową, a trochę melinę z alkoholem z przemytu. Świąteczne akcenty były raczej dyskretne i sprowadzały się do łańcucha drobnych żaróweczek przeplatanych gałązkami świerku wijącego się wokół baru.

Nienagannie uprzejmy kierownik sali obchodził się z Beą jak z gwiazdą filmową. Zaprowadził je do stolika pod ozdobnym parawanem z drewna oddzielającym bar z ostrygami od sąsiadującego pubu, po czym zaraz zmaterializował się znowu z butelką zimnego szampana.

– Muszę spytać, czy może pani już pić alkohol.

Flora popatrzyła na niego troszkę zdeprymowana.

– Nie wiem. Mam niecałe czternaście lat!

Kelner wyprostował się i spojrzał na nie z góry, poruszając cieniutkim wąsikiem.

– Właściwie to mówiłem do pani. – Wskazał na Beę, co wprawiło ją w doskonały humor na resztę wieczoru.

Wystrój baru mógłby równie dobrze pochodzić z Titanica: kryształowe żyrandole

zwisające ciężko z sufitu, złoczone wykończenia, żłobione szkło i lśniące marmury. Wnętrze było przepiękne. Zamówiły homara z frytkami i rozsiadły się wygodnie na krzesłach: Bea z kieliszkiem szampana, a Flora ze szklanką wody.

– Co za luksus. Ale miałyśmy szczęście! – zauważyła Flora.

– O, tak, moja złota. – Bea podniosła kieliszek. – Za nas, Flora, i dziękuję ci, że wybrałaś się ze mną w tę cudowną, spontaniczną podróż!

Flora stuknęła szklanką o jej kieliszek.

– Bea, mogę cię o coś zapytać?

– Oczywiście. Strzelaj. – Pociągnęła łyk schłodzonego szampana miło poszczypującego w język. Z baru obok dolatywały donośne śmiechy i odgłosy rozmów, a także urywki hitów bożonarodzeniowych, tworząc odpowiednio świąteczną atmosferę.

– Zastanawiałam się nad tym, co mi powiedziałaś i nie mogę pojąć, dlaczego zakładasz, że mój tata ma żal o coś, co wydarzyło się tak dawno temu, kiedy był całkiem mały. Po co się wścieka, skoro sytuacja była po prostu taka, a nie inna? Nie miał ojca, okej, no i co z tego? Dużo moich znajomych nie ma ojca, wielkie mi halo. – Flora wbiła wzrok w swoje kolana i unikała spojrzenia Bei, niepewna, czy nie posunęła się za daleko.

Bea odstawiła kieliszek, położyła dłonie płasko na białym obrusie i poprawiła bransoletki na przedramieniu.

– Wiesz, Flora, musisz zrozumieć, że świat był zupełnie inny, kiedy ja miałam tyle lat, co ty. Boże, jak to strasznie zabrzmiało. „Kiedy ja miałam tyle lat, co ty”! Jakbym była jakimś zabytkiem muzealnym. Ale to prawda. Wszystko *było* o wiele trudniejsze. Coś, co dzisiaj nie ma najmniejszego znaczenia, naprawdę mogło urosnąć do rangi wielkiego halo, jak to mówisz. Ty jesteś z pokolenia, które ma nieporównanie więcej swobody. Masz szczęście.

– Jakoś tego nie czuję – odparła Flora szeptem.

– A powinnaś. Wiem, że wydaje ci się, że masz teraz pod górkę, ale to tylko przejściowe zawirowania. Trzydzieści, czterdzieści lat temu młode kobiety traktowano bardzo rygorystycznie. Kiedy ja miałam raptem osiemnaście lat, przeżyłam najgorszy i najwspanialszy okres jednocześnie, o ile możesz to sobie w ogóle wyobrazić. Przez długie lata miałam poczucie winy, chociaż przecież nic takiego nie zrobiłam. Byłam po prostu młoda. Nie chciałam nikogo skrzywdzić i na pewno miałam więcej skromności i przyzwoitości niż większość tych dziewczyn, które teraz pozują do zdjęć w czasopismach. Dzisiaj sama możesz budować sobie swoje życie i nie ogranicza cię ani kariera męża, ani społeczne potępienie za to, że ośmieliłaś się posłuchać głosu serca.

Flora złączyła brwi, próbując przeniknąć znaczenie jej słów.

Bea mówiła dalej:

– Możesz być, kim zechcesz, Flora. Masz przed sobą nieograniczony wybór możliwości, które dla mnie były całkiem niedostępne. – Wzięła głęboki oddech. – Kiedy urodziłam Wyatta, nie miałam męża i to była poważna skaza na mojej reputacji.

– „Skaza na reputacji”. – Flora zachichotała. – Nawet nie wiem dobrze, co to znaczy, ale nie brzmi miło.

– Nie jest miło. – Bea uśmiechnęła się na ten prostolinijny osąd. – To znaczy, że zrobiłaś coś albo ktoś tobie zrobił coś takiego, czego ludzie nie pochwalają. Takie, powiedzmy, znamię, którego już nigdy nie uda ci się pozbyć. – Flora zmarszczyła brwi. – Straszne, nie? Pomyśl tylko! Ale tak wtedy było. W mojej miejscowości to było uważane za potworny skandal.

– I co się stało?

– Kiedy?

– Kiedy urodziłaś tatę. On nigdy o tym nie mówi. Poznał swojego ojca? Kochałaś go?

– Rany, Flora, nie zadajesz mi łatwych pytań. – Westchnęła Bea. – Nie, Wyatt nie poznał swojego ojca, a jego ojciec nigdy się o nim nie dowiedział.

– A jak go ukryłaś? – Flora wydawała się zaskoczona.

– Nijak. To znaczy, nie do końca. Jego ojciec nie wiedział, że byłam w ciąży. Ja sama przez długi czas o tym nie wiedziałam. Byłam młoda i, jak dziś na to patrzę, o wielu rzeczach po prostu nie miałam pojęcia. Ty jesteś już pewnie bardziej uświadomiona ode mnie. My nie mieliśmy w szkole takich lekcji jak wy. Wszystko było bardziej utajnione. Nie mogłam nawet powiedzieć w rodzinie, że dostałam okres, bo to uchodziło za rzecz zbyt intymną!

– Też już bym chciała zacząć. – Flora skubała rąbek obrusa.

– O, kochanie, nie ma się co spieszyć. To wcale nie jest takie fajne, wierz mi!

– A ty jeszcze masz?

– Tak. Nie tak regularnie jak wcześniej, ale mam. To zabawne, że najpierw człowiek nie może się doczekać, a ja już wyglądam chwili, kiedy się to skończy! – Bea się roześmiała.

– A kochałaś go? Ojca mojego taty?

Bea wychyliła resztkę swojego szampana i z wdzięcznością przyjęła dolewkę od kelnera, który momentalnie wyrósł tuż przy niej.

– Rany, dziwnie mi o nim rozmawiać. Szczególnie z tobą. Nieczęsto mi się to zdarza. – *Ale nie ma dnia, żebym o nim nie pomyślała.*

– Dlaczego?

– Bo to bardzo trudne. Cały czas boli. – Przypomniała sobie siebie z młodości, tuż przed porodem, i uczucie potwornego wstydu, które ogarniało ją za każdym razem, gdy spoglądała w lustro na swoje rozdęte ciało, a w uszach rozbrzmiewały jej słowa rodziców. – Mój ojciec, jak wiesz, był pastorem i przyjechał z Wielkiej Brytanii do Byron Bay, żeby tam objąć parafię. No i... Co roku organizowali taki letni rejs wzdłuż wybrzeża. – Uśmiechnęła się na samo wspomnienie. – To było wielkie wydarzenie, bo poza tym nie mieliśmy tam wielu atrakcji towarzyskich. Razem z siostrą zawsze opracowywałyśmy sobie cały plan, przemyśliwałyśmy, jak się ubierzemy i jak by tu podwędzić trochę czerwonego wina i innych niedozwolonych rzeczy. Jeden z członków kościoła pracował jako szyper na dużym jachcie, którym opływaliśmy latarnię morską na Przylądku Byrona i z powrotem. Coś pięknego, to był zawsze fantastyczny wieczór. Wszystkie kobiety przygotowywały różne smakołyki na piknik na pokładzie, a mężczyźni przystrajali statek chińskimi lampionami, które przymocowywali do takielunku i zapalali pochodnie na burtach. Ani przedtem, ani potem nie widziałam nic równie pięknego. – Posłała Florze nieśmiały uśmiech. – Panowała szampańska atmosfera. Było nas jakieś kilkadziesiąt osób i wszyscy śpiewaliśmy i tańczyliśmy do muzyki irlandzkiej kapeli, która płynęła z nami ze skrzypkami, piszczałkami, fujarkami, harmonią i oczywiście *bodhránem*.

– Co to jest brodan?

– *Bodhrán*. To taki duży bęben celtycki z drewnianą obręczą. – Bea nakreśliła okrąg w powietrzu. – Kiedyś wykonywano go z koziej skóry.

Flora skinęła głową, chłonąc obraz, jaki odmalowywała przed nią babcia.

Bea opowiadała dalej, popijając od czasu do czasu swojego szampana.

– Zawsze grali do późnej nocy. Muzyka dodawała nam energii. Dopóki grali, to myśmy tańczyli. Kiedy wirowaliśmy tak po pokładzie, słychać było tupot stóp o deski i ten dźwięk stawał się częścią muzyki. – Bea zamknęła oczy i uderzała rytmicznie płaską dłońią o stół, wspominając rozkołysany pokład pod cienkimi podszwami pantofelków.

Flora nachyliła się do przodu.

– Brzmi super. Jak jakaś rewia.

– Tak było. – Bea wciągnęła powietrze przez nos i otworzyła oczy. – To była

niepowtarzalna impreza. Jednoczyliśmy się wokół muzyki najedzeni i zadowoleni i wszyscy poddawali się nastrojowi nocy. Ostatni raz wzięłam udział w rejsie, kiedy miałam osiemnaście lat. Wyruszyliśmy o zmierzchu, wszyscy rozgadani. Dziewczęta popatrywały nawzajem na to, w co się która ubrała i strzelały oczami do chłopaków, z którymi miały chęć tańczyć po zachodzie słońca. Pamiętam, że mój ojciec był w świetnym humorze. Śmiał się i podrygiwał z mamą w ramionach. Wydawała się bardzo szczęśliwa, jakby dużo młodsza. Nieczęsto miałam okazję widzieć ją taką. Stałam z boku i patrzyłam, jak brzeg oddala się coraz bardziej, kiedy nagle poczułam przy sobie czyjąś obecność. – Bea przełknęła ślinę, całkowicie pochłonięta wizjami z przeszłości. – To był młody mężczyzna. Staliśmy obok siebie i przyglądaliśmy się, jak plaża znika nam z oczu, a potem on się odezwał. Powiedział: „Chyba na całej planecie nie ma drugiego miejsca, gdzie wolałbym teraz być”. Podniosłam głowę, a on się do mnie uśmiechał. Miał burzę ciemnorudych włosów i zielone oczy, tak samo jak jego szalik.

– Tak samo jak ja. – Flora uśmiechnęła się i musnęła sobie palcem rzęsy.

Bea kiwnęła głową.

– Tak, tak samo jak ty. Uśmiechał się do mnie, jakby mnie dobrze znał i nagle poczułam, jakby ktoś dzielił mnie prosto w splot słoneczny. W dobrym tego słowa znaczeniu, rzecz jasna! Patrzyłam na niego i gwałtownie zapragnęłam go poznać. Już po tych kilku chwilach byłam gotowa pójść tam, dokąd będzie chciał i zrobić wszystko, o co mnie poprosi.

Flora zastygła w miejscu ze wzrokiem wlepionym w Beę, chłonąc każdy szczegół w stanie absolutnego szoku i zafascynowania, jakby siedziała w kinie. Była zachwycona, że babcia rozmawia z nią jak z dorosłą, którą już spieszno jej było się stać.

– W którejś chwili podeszła do nas pani, która pomagała przy zakrystii i cały czar prysnął. Bardzo miła kobieta, chciała tylko nas sobie przedstawić. Jako córka pastora cieszyłam się szczególną pozycją. Takie rzeczy były wtedy ważne. „Panno Gerraty, to jest doktor John W. Brodie”, powiedziała, podkreślając słowo „doktor” i wypowiadając jego imię w pełnym brzmieniu z nabożnym szacunkiem. Zaraz potem gdzieś się ulotniła. Ale jego imię nie miało dla mnie znaczenia. Bo ja już dałam się zaczarować i on też.

– I zakochaliście się? – wyszeptwała Flora cała zasłuchana.

Bea skinęła głową.

– Tak. Cóż, miałam tylko osiemnaście lat. Dzisiaj mówię „tylko”, ale wtedy wydawało mi się, że jestem bardzo dorosła i światowa. To oczywiście nieprawda, ale mnie wystarczyło to, że leciałam jeden raz samolotem, przyjechałam z Anglii do Australii i byłam już na kilku imprezach. Tak naprawdę nie miałam zielonego pojęcia o świecie. Nie to co osiemnastolatki dzisiaj. Niczego przecież nie widziałam ani nie dokonałam i nie wiedziałam zupełnie, jaka przyszłość mnie czeka. Z perspektywy czasu uważam, że to dobrze. – Uśmiechnęła się blado. – Moi rodzice byli bardzo surowi i konserwatywni. Nawet po osiemnastce nie wolno mi było samej wychodzić z chłopakami, Boże uchroni! I mieszkaliśmy z dala od jakichkolwiek rozrywek wielkomiejskiego życia. Mieliśmy dom na wybrzeżu zaraz obok kościoła. Moja mama była bardzo wyczulona na punkcie porządku i ciągle się bała, co pomyśli ojciec. Zawsze miałam wrażenie, że jej życie jest raczej nieciekawe, a kiedy patrzę na to dzisiaj, myślę, że miałam rację!

Bea wyprostowała się na krześle.

– Nie chcę się wdawać w szczegóły, dość na tym, że przeżyłam niezapomniane chwile z... Johnem. – Urwała. Dziwnie się czuła, wypowiadając na głos jego imię. – Robił staż tuż po studiach medycznych i mieliśmy dla siebie trzy miesiące, które mogę tylko opisać jako absolutnie magiczne. – Twarz jej się rozjaśniła.

– Czyli mój dziadek miał na imię John. – Flora zaryzykowała i zerknęła na Beę ostrożnie. Obydwie doznały dziwnego poczucia zdrady w stosunku do Petera.

– Tak.

– Ale skoro się kochaliście, to czemu nie zostaliście razem? – Flora posmarowała masłem kawałek chleba i wrzuciła sobie do ust.

– Jego praktyka w Byron Bay dobiegła końca. Ostatnią noc spędziliśmy razem na plaży, potajemnie ma się rozumieć. Ani się obejrzałam, a zrobił się świt, a wtedy... – urwała.

– Co wtedy? – Flora aż płonęła. Przełknęła pokaźny kęs chleba.

– Wtedy powiedział mi, że jest żonaty i ma dwoje malutkich dzieci. – Bea spuściła oczy.

– Miał żonę? Co ty mówisz! – wykrzyknęła Flora zszokowana. To nie było bajkowe zakończenie, jakiego się spodziewała.

Bea rozłożyła ręce i skinęła głową.

– Był o pięć lat starszy ode mnie, czyli młody, ale na tyle dojrzały, że miał już poukładane życie. Nawet jeżeli to nie był jego wybór. Wdał się w romans z koleżanką ze studiów, ona zaszła w ciążę i tak skończył z parą bliźniaków. Zrobił to, co w danej sytuacji należało, czyli ożenił się z nią i tak dalej, chociaż daleko temu było do romantycznej miłości. Tak się wtedy robiło, człowiek kierował się poczuciem obowiązku, a kwestia szczęścia czy takie fanaberie jak miłość schodziły na dalszy plan.

– Dobrze, że nie urodziłam się w tamtych czasach. To nie brzmi zachęcająco. – Flora wyobraziła sobie, że musi związać się z kimś, kogo nie chce. – Ale to chyba był jakiś uwodziciel, po co cię w sobie rozkochał, skoro przez cały czas w domu czekała na niego żona?

– Nie, to wcale nie tak. Wiem, że trudno ci to zrozumieć, mnie samej też było trudno! – Objęła się ramionami, próbując opanować dreszcz wzdłuż kręgosłupa, ciągle tak samo straszny jak w dniu, kiedy jej powiedział. – Nie zamierzał się zakochiwać. Nie planował tego. Wręcz przeciwnie. Bardzo chciał zbudować z żoną udany związek. Ale kiedy spotkaliśmy się tego wieczoru na statku, to było jak przeznaczenie. Oboje to poczuliśmy już od pierwszej chwili. To go zaskoczyło tak samo jak mnie. I jednocześnie go załamało. Było mu wstyd, czuł się kompletnie rozdarty. To był dobry człowiek, któremu los w młodości spletał przykrego figla. Nie mógł znieść ciężaru swoich błędów. Tamtej nocy na plaży był w okropnym stanie. Niesamowicie płakał. – *Płakał, bo zaklinałam go, żeby zostawił dla mnie rodzinę, porzucił swoje dzieci. Powiedziałam, że i tak są za małe, żeby móc go pamiętać. Błagałam...*

– Biedny John! – powiedziała Flora.

Beę rozbawiła zmienność ocen wnuczki. I cudownie było słyszeć z jej ust to imię, które zawsze miała na końcu języka, ale nigdy nie ośmieliła się go głośno wypowiedzieć.

– Owszem, biedny John. Już wtedy wiedziałam i wiem to też dzisiaj, że gdyby nie był taki honorowy, to by ze mną został. Kochał mnie, co do tego nigdy nie miałam wątpliwości, ale czuł się odpowiedzialny wobec żony i dzieci. Powiedział, że powrót do domu wydaje mu się teraz zupełnie jak zesłanie, po tym jak zobaczył, co to znaczy naprawdę kochać. Wyjechał, a ja potwornie rozpaczalam. O, Flora, nie masz pojęcia, jak za nim tęskniłam, po prostu do bólu... – Potarła sobie ramiona, jakby broniąc się przed jakimś wewnętrznym uczuciem zimna.

– A potem okazało się, że jesteś w ciąży z tatą?

– Tak – szepnęła Bea. – Moi rodzice wpadli w szal, gdy się dowiedzieli. Mówię ci, istny obłąd.

– Wyobrażam sobie – westchnęła Flora.

– O, możesz mi wierzyć, szal Wyatta i Sarah przy moich rodzicach to przyszcz! To było okropne, prawdziwy koszmar. Nigdy nie powiedziałam im, że ojcem jest John. Ale nieślubne dziecko w tamtych czasach oznaczało wielki wstyd dla rodziny, szczególnie dla córki pastora. Mogę się tylko domyślać, jakie tobie musi się wydawać dziwne, ale tak właśnie było. Takie rzeczy łamały ludziom życie. Mojej matce było obojętne, jaki wpływ cała sytuacja może mieć na

mnie i na moją przyszłość. Liczyło się tylko to, żeby zachować całą rzecz w tajemnicy. Tylko na tym wszystkim zależało.

– No, ale byłaś w ciąży! Powinna się chyba cieszyć, że zostanie babcią! Moja mama mówi, że już się nie może doczekać. Że to będzie najwspanialszy okres w jej życiu i że sama urządzi pokój dla swojego wnuczka.

Bea uśmiechnęła się do sztukaterii na suficie zadowolona z nastawienia Sarah.

– No, tu było trochę inaczej. W oczach mojej mamy dopuściłam się czegoś niewybaczalnego, popełniłam grzech. W ogóle była bardzo powściągliwa i mało wylewna, nawet przy wesołych okazjach, ale w czasie ciąży traktowała mnie wyjątkowo oschle. Sprawiała, że ten okres stał się dla mnie czymś brudnym i wstydliwym. Nikt się nade mną specjalnie nie rozczulał, należało po prostu załatwić jakoś tę sprawę. Miałam dużo szczęścia. Byłam silniejsza niż niejedna dziewczyna w moim wieku, bardziej odporna i, paradoksalnie, to moje fałszywe przeświadczenie o tym, jaka to niby jestem obeznana w świecie, dodało mi odwagi, żeby zacząć walczyć. A to nie było łatwe.

– I wtedy przyjechałaś do Sydney? To znaczy pojechałaś do Sydney? – Łatwo było zapomnieć, że znajdują się na drugiej półkuli.

– Tak. Wynajęłam pokój w paskudnej części Kings Cross i zaczęła się walka o przetrwanie. Mówię ci, to było straszne. Sama nie wiem, jak mi się udało przez to wszystko przejść. Często nie dojadłam i bałam się spać, żeby szczury przypadkiem nie wlażyły mu do łóżeczka albo żeby nie spadły na niego karaluchy z sufitu. To były ciężkie czasy. – Wzdrygnęła się. – I tak sobie żyliśmy, aż poznałam dziadka – zakończyła pogodnie.

– Dlaczego nigdy nie rozmawiałaś o tym z tatą?

Bea zastanowiła się, jak odpowiedzieć.

– Chyba dlatego, że nigdy nie nadarza się dobra okazja, a im dłużej unikamy tego tematu, tym trudniej go w końcu poruszyć.

Flora głośno wciągnęła powietrze, a dolna warga zadrżała jej niebezpiecznie.

Bea przesunęła ręką po czole i otworzyła plecak w poszukiwaniu chusteczki.

– Jakie to smutne! – Flora chlipnęła. – Nic o tym nie wiedziałam. Ale musiało wam być ciężko z tatą. Strasznie was kocham i nie wyobrażam sobie, jak to jest, kiedy trzeba zostawić kogoś, kogo się kocha. – Zgniotła w rękach chusteczkę. – Przepraszam, nie chciałam beczeć.

– Nie przepraszaj, kochanie. To naprawdę smutne. I nie możesz sobie tego wyobrazić, bo świat jest już dzisiaj inny. Dzięki Bogu! A wiesz, w porównaniu z niektórymi, to się wcale nie skończyło tak źle. Inne dziewczyny w mojej sytuacji często musiały potem oddać komuś dziecko, czyli całe to ich cierpienie szło kompletnie na marne.

– Tobie się przynajmniej udało zatrzymać tatę – zauważyła Flora ledwo dosłyszalnie.

Bea skinęła głową i osuszyła oczy rogiem chusteczki.

– Tak. I do dziś Bogu za to dziękuję. I za ciebie. – Pochyliła się i wzięła drobną rękę dziewczyny w swoją dłoń.

Kiedy najedzone, ale zmęczone wyszły z Café Royal w ciemność wieczoru, Flora wsunęła Bei rękę pod ramię i zawołała:

– Rany! Ale...

– Cicho! – Bea zamachała jej ręką przed oczami. – Nie możemy bez końca narzekać na pogodę. Jest taka, jaka jest, a od naszego jojczenia nie zrobi się cieplej. Moja babcia mówiła zawsze, że nie ma czegoś takiego jak zła pogoda, są tylko złe ubrania. Kilka dodatkowych warstw i jakieś solidne buty i po krzyku.

Flora kiwnęła głową, starając się zapanować nad szczękaniem zębów. Bea pocałowała ją w rękę, ścisnęła jeszcze mocniej i ruszyły równym krokiem przed siebie. Cieszyła ją więź, jaka

wytworzyła się między nią a wnuczką.

– Fajnie tu jest, Bea.

– Też tak uważam.

W pokoju było ciepło i przytulnie. W środku paliły się światła, a nieskazitelnie biała, świeża pościel z egipskiej bawełny i złocista jedwabna narzuta były odchylone, ukazując kusząco miękkie, puchowe poduszki.

– Mogłabym się do tego przyzwyczaić – roześmiała się Bea. Luksusowy wystrój, tartanowy dywan, eleganckie tapety i ozdobne lampy byłyby przesadą u niej na poddaszu, ale tu, w tym niezwykłym otoczeniu, wyglądały świetnie.

Bea usiadła przy toalecie między oknami i zajęła się zmywaniem makijażu, podczas gdy Flora w łazience szorowała zęby. Splunęła do umywalki i opłukała ją wodą, po czym splotła włosy w gruby warkocz.

– Gdzie on mieszkał, ten doktor John W. Brodie? – krzyknęła nagle do lustra, jakby jej słowa miały się w ten sposób łatwiej odbić i dotrzeć do babci w sypialni.

Bea obróciła się na stołku i spojrzała na wnuczkę.

– Jak to gdzie mieszkał?

– No, kiedy cię zostawił, to dokąd wyjechał? Gdzie była jego żona i dzieci?

Zapanowała krótka chwila ciszy, po czym Bea odezwała się lekko spiętym głosem:

– W Edynburgu. Mieszkał w Edynburgu.

Dwanaście

Bea i Flora siedziały przy pięknie nakrytym śniadaniowym stole w restauracji na dole Balmoral. Herbatę podano im w eleganckim, srebrnym dzbanuszkach, a sztucce iskrzyły się w świetle żyrandoli.

– Ale tu miło. – Bea mrugnęła do wnuczki. – Chociaż nie wydaje mi się, żeby to się mogło przyjąć w Kuchni Reservoir Street. Nasi klienci wolą bardziej rustykalny styl. I moje „barachło”, jak mówi pan Giraldi. Wyobrażam go sobie tutaj, jak wymachuje laską, żeby tylko zająć jak najlepszy stolik. Nie sądzę, żeby mu się tu spodobało.

Zachichotały obydwie.

– Myślisz, że mają tu płatki „Choco Pillows”? – wymruczała Flora, przeglądając elegancką kartę dań.

– O, to może być trudne, ale myślę, że jajecznica i croissanty to był dobry wybór. Dobrze jest zjeść coś ciepłego na początek dnia, rozgrzać się od środka. – Pomyślała o śniadaniach serwowanych w Kuchni Reservoir Street. – Ciekawe, jak Kim i Tait dają sobie radę – powiedziała na głos. – Ona jest w nim po uszy zakochana, wiesz?

– Co? – pisała Flora. – Kim i Tait? Żartujesz! Ale super! Myślisz, że się pobiorą? To by było fajne. Co za farciarz, złapać taką dziewczynę! Ona przecież gra na czymś w orkiestrze, prawda?

– Tak, na wiolonczeli – potwierdziła Bea z dumą, jakby mówiła o swojej własnej córce. W pewnym sensie oboje byli trochę jej dziećmi. W każdym razie kochała ich tak, jakby nimi byli.

– To jest dopiero coś! Uwielbiam Kim. Chciałabym być taka jak ona, kiedy będę starsza. Ma fajne mieszkanie i w ogóle. – Flora łyknęła świeżo wyciśniętego soku pomarańczowego ze szklanki i zerknęła przez stół na drzwi prowadzące do kuchni. Nie mogła się już doczekać swojej jajecznicy.

Bea się uśmiechnęła. Gdyby tylko Kim to słyszała.

– To fakt, ale z tego co wiem, to nie ma wanny w sypialni i plakatów 5 Seconds of Summer zamiast tapet! Ani psa.

Flora roześmiała się, zadowolona, że Bea pamięta.

– Myślałam o tym, co opowiedziałas mi wczoraj.

Bea skinęła głową i łyknęła kawy.

– Tak się zastanawiam, co powinniśmy zrobić z tym doktorem Brodiem?

– Przepraszam, że przerywam, potrzebują panie lekarza? – Żadna z nich nie zauważyła kelnerki uprzątającej stół obok.

Bea obejrzała się, czując, że szyja staje jej w ogniu.

– Nie, nie! Dziękuję. – Uśmiechnęła się i zwróciła na powrót do Flory. – Nie zrobimy absolutnie *nic* – stwierdziła kategorycznie.

– Przepraszam. – Flora wymówiła to słowo bezgłośnie, po czym nachyliła się konspiracyjnie i wyszeptwała: – Ciekawa jestem, czy żyje. Myślałam o nim przez całą noc.

Ja też... Bea skinęła głową i przełknęła ślinę. W ciągu tych lat nieraz przemknęło jej to przez głowę.

– Kto to może wiedzieć? Miałby dzisiaj dopiero pięćdziesiąt osiem lat, ale w życiu bywa przecież różnie. Może w ogóle już tu nie mieszka. Ludzie się przeprowadzają. Tak jak powiedziałam, nie będziemy nic robić. To wszystko było dawno, dawno temu.

– I nie rozmawiałaś z nim od tamtego poranka na plaży? – Flora pokręciła głową, jakby nie była w stanie pogodzić się z tak smutnym zakończeniem.

– Nie – potwierdziła Bea.

– Boże, to straszne.

– Ale zachowałam sobie jego szalik. Z ciemnozielonego jedwabiu, kazałam sobie z niego uszyć małą poduszeczkę.

– Tę twoją ulubioną? Wiem którą!

– Lubię mieć ją przy sobie. Przytulać się do niej w nocy. Wiem, że to idiotyczne. – Zaróżowiła się, bo nigdy wcześniej nikomu tego nie wyjawiała.

Flora wysunęła podbródek do przodu.

– Wcale nie idiotyczne. Ja mam jedną koszulkę Marcusa. Ma w sobie jego zapach i zakładam ją, kiedy mi się zachce. Nie mówiłam Lori i Katie, że ją mam. Znalazłam ją koło bramki po meczu piłki nożnej i schowałam do torby, żeby mu później oddać. I jakoś tak nie oddałam. Ale to nie jest kradzież. Nie całkiem.

Obydwu przyszła na myśl torba kosmetyków, która jakimś cudem znalazła drogę pod jej łóżko. Flora poczuła, że policzki oblewa jej rumieniec, a serce zaczyna bić szybciej.

Bea wzruszyła ramionami.

– Tak naprawdę to prawie nic o nim nie wiem. Tylko że jest lekarzem, ma żonę o imieniu Margaret i dwoje dzieci, Moirę i Xandra. Ale powtarzam, nawet jeżeli żyje, to nie ma żadnej pewności, że cały czas mieszka w Edynburgu. Mógł wyjechać gdziekolwiek na całym świecie. Chciałam tylko zobaczyć jego miasto. Zawsze o tym marzyłam. Cieszę się, że tu jestem i to mi wystarczy. Opowiadał mi takie piękne historie o życiu w Auld Reekie!

– Gdzie? – Flora zmarszczyła nos.

– Auld Reekie. Szkoci mówią tak na Edynburg – wyjaśniła kelnerka i postawiła przed Florą talerz jajecznicy i wędzonego łososia. – To znaczy Stary Kopciuch. Kiedyś mieliśmy tu mnóstwo kominów i nad starym miastem wiecznie unosiła się chmura smogu. – Podała Bei miseczkę owsianki z miodem i jagodami.

– Wspaniale wygląda. Dziękuję. – Bea się uśmiechnęła i sięgnęła po srebrną łyżeczkę, bo widok i zapach śniadania rozbudził jej apetyt.

Flora stuknęła widelcem o brzeg talerza i nie kwapiła się do jedzenia, chociaż była głodna.

– Coś nie tak, kochanie? Wygląda apetycznie.

– Zrobiłam coś – wyszeptała.

– No nie, co znowu? – Bea wyobraziła sobie kolejne bijatyki, kręctwa, stopy skradzionych towarów...

– Wygooglowałam go – wyznała Flora z oczami wbitymi w talerz.

– Kogo?

– Doktora Johna W. Brodiego. – Flora w skupieniu nabierała jajka na widelec. – Dziś rano, jak brałaś prysznic.

– Aha. – Bea była tyle samo zła, co zaintrygowana.

Flora połknęła jedzenie, praktycznie go nie żując.

– Byłam tylko ciekawa.

Bei serce zaczęło łomotać.

– I czego się dowiedziałaś?

– Znalazłam dwóch. Ale twój John był w spisie emerytowanych lekarzy. Tam jest napisane, że doktor J.W. Brodie jest na emeryturze i mieszka w Edynburgu, w dzielnicy Davidson's Mains, gdziekolwiek to jest. Raczej dziwny adres.

Bea zastygła z łyżką w pół drogi do ust i obserwowała drzenie jagód w roztrzęsionej

dłoni. Odchyliła się do tyłu na krześle, bo nagle ogarnęły ją mdłości. *Twój John jest tutaj, w Edynburgu, tuż obok, dokładnie w tej chwili.*

– Dobrze się czujesz, babciu? – Flora sięgnęła nad stołem i lekko dotknęła jej ramienia. – Niewyraźnie wyglądasz.

Bea odstawiła łyżkę do miseczki, położyła ręce na kolanach i wzięła głęboki oddech, poprawiając sobie bransoletki.

– A niech mnie, Flora. Ja czekam tak ponad trzydzieści lat, a ty mi mówisz, że puknąłś sobie parę razy w ekran i być może jestem w tym samym mieście, co on? Właśnie teraz?

Flora skinęła głową, wciąż niepewna, czy dobrze zrobiła.

– Matko Boska! – Bea podniosła serwetkę i ukryła w niej twarz, koncentrując się na równym oddychaniu. *Co ja wyprawiam? Lepiej to zostawić tak, jak jest! Po co, Bea? Po co zakłócać mu spokój tyle lat później? Co miałby powiedzieć swojej żonie? Chcesz zniszczyć mu życie? Nie może się dowiedzieć, że tu jesteś. Nigdy.*

Odziana w kilka warstw swetrów, gruby skafander, rękawiczki i adidas Flora stanęła u szczytu hotelowych schodów, naciągnęła czapkę na uszy i zwróciła się do Bei, wypuszczając z ust kłęby pary.

– Wiem, że nie wolno mi tego mówić, ale...

– No właśnie! – przerwała Bea, podnosząc dłoń do góry. – Nie wolno.

– W porządku. A czy wolno mi wspomnieć, że w tej chwili mama i tata siedzą sobie na plaży pod palmami, zanurzając się od czasu do czasu w prywatnym basenie dla ochłody?

– Nie, nie wolno! – odpaliła Bea, przytupując w miejscu, żeby rozgrzać stopy. – Rozmawiałaś z nimi?

– Napisałam e-mail, bo nie byłam pewna, którą mają godzinę. Powiedziałam, że dojechalysmy bez przeszkód i świetnie się bawimy. Mama odpisała, że mają fantastyczny widok na ocean, bla, bla, bla i zakończyła uroczo pedagogicznie, że powinnam wykorzystać ten czas na przemyślenie sobie pewnych spraw! – Flora przewróciła oczami.

– Jest twoją mamą i martwi się o ciebie, bo cię kocha. – Bea z zadowoleniem usłyszała ciepłą nutkę w głosie dziewczyny. – No, dalej, czas na zwiedzanie. – Niemal zbiegła po schodach.

– A dokąd idziemy? – krzyknęła Flora, sadząc w ślad za nią.

Bea wskazała Royal Mile.

– Zobaczyć Fotel Króla Artura!

– Przejechałyśmy taki szmat drogi, żeby oglądać teraz czyjeś meble? – zrzędziła Flora, ale jej słowa rozpraszały się w podmuchach wiatru.

Podjechały autobusem do Pałacu Holyrood na samym końcu Royal Mile, przeszły przez bramę Szkockiego Parlamentu i zagłębiły się w Park Holyrood. Flora ogarnęła wzrokiem Fotel Króla Artura. Królująca nad parkiem góra z bliska wyglądała bardzo potężnie, jakby przyczajona na straży centrum miasta.

– Mamy wejść na sam szczyt? – upewniła się Flora.

Bea pokiwała głową i ruszyła przed siebie z zaróżowionym nosem i policzkami. Przecierała drogę nisko pochylona nad ziemią, podchodząc zakosami po stromym zboczu. Trawa ugięła się miękko pod jej stopami i, dokładnie tak jak lata temu opisywał John, miała wrażenie, że zbliża się do czegoś wyjątkowego. Z podniecenia coś ją aż łaskotało w żołądku. Flora wyrwała się naprzód niezrażona ostrym podejściem.

Na skalistym szczytce Bea przystanęła zgięta w pół, opierając ręce na udach, i łapała oddech z przyjemnym uczuciem przyspieszonego bicia serca i cienkiej warstewki potu na skórze. Gdy doszła do siebie, wyprostowała się i objęła wzrokiem widok przed sobą.

– O rety! – wykrztusiła, tocząc oczami w lewo, w prawo i z powrotem, a potem powoli obróciła się wokół własnej osi, chłonąc pełną panoramę miejskich wież, wybrzeża i zielonych gór spiętrzonych w oddali.

– Teraz rozumiem, dlaczego nasz stary Artur lubił tutaj siedzieć – zauważyła Flora. – Niesamowite.

– Przypuszczam, że z tego samego powodu, dla którego Fotel Pani Macquarie jest tam, gdzie jest. To najlepszy punkt, z którego widać wszystko, co się dzieje w mieście! Pięknie, prawda?

Jak pamiętała, John uwielbiał to miejsce i często o nim wspominał. „Widać stamtąd na tyle daleko, na ile pozwolą oczy. W którą stronę się nie obrócić, odkrywasz coś nowego”. Zmrużyła oczy i odszukała wzrokiem czarną iglicę Pomnika Waltera Scotta i ciągnącą się za nim Princes Street.

– Czy to możliwe, że jesteś tu gdzieś pode mną, w tym mrowisku? – wyszeptowała w fałdy szalika otulającego jej usta i nos. – Jesteś tu gdzieś blisko mnie, John?

Flora, jakby czytając w jej myślach, przeniosła na nią wzrok:

– Barnton Avenue West.

– Proszę? – Bea zwróciła twarz ku niej.

– To jego adres. Barnton Avenue West. Z rejestru wynika, że mieszka tam od ostatnich trzydziestu lat.

– Oj, Flora! – Bea wypuściła powoli powietrze, nie wiedząc, co począć z tą informacją.

– Uch! No, to się nazywa widok, co? – Żadna z nich nie usłyszała mężczyzny, który zaszedł je w międzyczasie od tyłu. Przystanął obok na występie skalnym i ciężko dyszał.

– To prawda – zgodziła się Bea.

– O, pani jest z Australii! Coś podobnego! Jaki ten świat mały. – Przez chwilę Bea spodziewała się, że zapyta ją o wysokiego Bradleya z domem z przybudówką koło góry... – Mój syn tam właśnie pojechał. Pracuje na łodzi nurkowej na wybrzeżu w Cairns. Mówi, że tęskni za domem, za to pogoda jest rewelacyjna. Tutaj jest rybakiem, więc pojechał na urlop robić w sumie to, co na co dzień! Ja to mówię do żony: „łódź jak łódź, pogoda jak pogoda, cóż tu może być takiego innego?”

Bea stuliła palce w rękawiczkach i starała się opanować dygotanie całego ciała.

– O, zdziwiłby się pan! – Roześmiała się głośno.

Na dole po zejściu z góry musiały zaczekać na autobus.

– Nie wiem, co robić, Flora. Chciałam zobaczyć miasto, z którego pochodził, ale przez myśl mi nie przeszło, że mogłabym go spotkać.

– Ale by było, gdybyś wpadła na niego przypadkiem, ot tak, na ulicy! – powiedziała Flora, naciągając czapkę na uszy. – Przyglądam się teraz wszystkim starym facetom, żeby zobaczyć, czy nie wyglądają jak tata!

– O Boże, nie mów tak! – Na samą myśl Bea poczuła jednocześnie przerażenie i podekscytowanie. – I nie jest stary, ma dopiero pięćdziesiąt osiem lat! – Zapatrzyła się w dal. – Tyle razy już sobie to wyobrażałam w najprzeróżniejszych kontekstach: że mnie odnajduje i przyjeżdża po mnie, i jakby to było znowu zobaczyć się pierwszy raz, i że to mogłoby albo potwierdzić, albo kompletnie zburzyć to, co mnie wydawało się prawdą. A potem znów niepokoiłam się, że mógłby po mnie przyjechać, kiedy ja już jestem z Peterem. Ale to przeszłość i nie myślę o tym od wielu lat. Wystarczy mi, jeżeli się dowiem, że był i jest szczęśliwy. Tylko tego dla niego chcę, tego zawsze chciałam.

– I co byś wybrała? – zapytała Flora bez owijania w bawełnę, jakby nie rozmawiały o czymś tak trudnym i bolesnym.

– Hm? – Bea usłyszała jej pytanie, ale potrzebowała chwili, żeby przygotować odpowiedź.

– Ciekawa jestem, kogo byś wybrała, gdyby John któregoś dnia zapukał do drzwi domu, w którym mieszkacie sobie spokojnie ty i dziadek. Co byś wtedy zrobiła?

Bea podniosła wzrok na zielone wzgórze przed sobą i wciągnęła do płuc ostre, szkockie powietrze.

– Zawsze i wszędzie wybrałabym dziadka. Ja go kochałam, Flora. Byłam dzięki niemu szczęśliwa przez dwadzieścia siedem lat. – To była prawda i dobrze było powiedzieć to głośno, szczególnie tu, w Szkocji.

Flora się zastanowiła.

– Czyli kochałaś ich obu?

– Tak. – kiwnęła Bea. – Kochałam ich obu i każdego inaczej. John był moją pierwszą miłością, rozpaczliwą, szaloną, ścinającą z nóg jak burza. Spadła na mnie nieoczekiwanie i złamała mi serce. Nasza miłość z Peterem była jak letni wieczór – czuła, łagodna, stabilna. Rozgrzewająca od środka.

– Trochę jak Szkocja i Australia – wyszeptała Flora.

– Tak, trochę tak. – Bea po raz pierwszy spojrzała na to w ten sposób.

– Czyli można kochać więcej niż tylko jedną osobę? – Flora stuknęła butem o brzeg krawężnika.

– Oczywiście. I za każdym razem to jest inna miłość, zobaczysz.

– Marcus pewnie się nawet do mnie nie odzywa, a co dopiero mówić o miłości. – Flora odrzuciła włosy za ramię.

– Jesteś jeszcze młodziutka. Kto wie, może Marcus jest dla ciebie, a może nie. Nie zapominaj, że najbardziej ekscytujące jest to odkrywanie.

– Pewnie tak. A może pójdziemy zobaczyć jego dom? – Pytanie zawisło w powietrzu.

Bea potrząsnęła głową.

– Nie, Flora. Nie wydaje mi się, że to dobry pomysł.

– Nie będziemy pukać ani nic takiego. Przejdziemy się tylko ulicą i rzucisz sobie okiem. Możemy się trochę poukrywać w krzakach albo przebrać się nie do poznania, a potem się zmyjemy!

– Widzę, że wszystko już sobie obmyślałaś! Ale to nie jest dobry pomysł, kochanie. Lepiej zmieńmy temat – powiedziała Bea, z ulgą dostrzegając nadjeżdżający czerwony piętrowy autobus. Wsiadły nieco dalej przy Royal Mile i ruszyły brukowaną ulicą, oglądając świąteczne wystawy. Z trudem zwalczyły pokusę, żeby zatrzymać się na kawałek tradycyjnego szkockiego *Dundee cake* w jednej z kafejek, ale były umówione z Alexem. Za to zaledwie parę metrów dalej Bea wypatrzyła w podwórzu sklep ze starociami i radośnie wskazała na zabrudzone okna.

Flora wzniosła oczy do nieba.

– No co? Co tak patrzysz? Rozejrzę się tylko! – Bea uśmiechnęła się, a oczy zapłonęły jej na myśl o nowym odkryciu.

W sklepie było niewiele cieplej niż na ulicy. Przenośny piecyk gazowy nakierowany był na nogi właściciela, który siedział za ladą i oglądał jakiś teleturniej w minitelewizorku. W zakurzonej powietrzu raz po raz wybuchały salwy metalicznego śmiechu. Nie odrywając oczu od ekranu, podniósł rękę na powitanie.

Bea krążyła po zagraconym wnętrzu, błędząc oczami po ścianach. Nagle wskazała na olbrzymi wypchany łeb jelenia na drewnianej podkładce.

– Dużo masz miejsca w plecaku? – zapytała.

Flora plasnęła się w czoło.

– Wiedziałam, że nie powinnam pozwolić ci tu wejść! Kim powiedziała, że mam na ciebie uważać.

Bea się zaśmiała.

– Żartuję tylko.

Przy wyjściu pomachały sprzedawcy za ladą, który, nie zwracając na nie najmniejszej uwagi, poprawił sobie okulary na nosie i jak zahipnotyzowany wpatrywał się w migający ekran.

Wreszcie odnalazły Świąteczną Kawiarenkę w głębi alejki zaraz za barem Scotch Whisky Experience i fabryką Tartan Weaving Mill. Bea rozpoznałaby ją wszędzie. Uśmiechnęła się na widok witryny przystrojonej tartanem i sosnowymi szyszkami. Na żywo kafejka wyglądała jeszcze bardziej uroczo. Na obramowanej świątecznymi lampkami szybie rozpylono leciutką mgiełkę szronu, a przy drzwiach stała donica z choinką obsypaną ciepłymi, białymi światełkami i przystrojoną na czubku kokardą w złoto-czerwoną kratę. Na drzwiach wejściowych tłoczyły się ulotki i plakaty zapraszające na lekcje zumby, imprezę charytatywną „Precz z sepsą” w Dobbies Garden Centre, kiermasz świąteczny i różne inne atrakcje.

Miejsce było po prostu czarujące: ciepłe, przytulne i przesympatyczne. *Boże Narodzenie przez cały rok, co za wspaniały pomysł.* Bea wzięła głęboki oddech. Była zdenerwowana przed spotkaniem z mężczyzną, któremu tyle o sobie naopowiadała. Wygładziła włosy i popchnęła drzwi.

Trzyznaście

Bea schyliła się, przechodząc przez niskie drzwi, i stanęła w długim, nieco chaotycznie urządzonym pomieszczeniu przedzielonym na pół przez niewielki stopień. Na obydwu poziomach stały małe, okrągłe stoliki otoczone krzesłami. Tu i ówdzie siedziało kilka par bez czapek i szalików i w rozpiętych kurtkach. Niektórzy tulili w dłoniach kubki mocnej, gorącej herbaty i zajadali wielkie kawałki świeżego ciasta pełnego pękających, połyskujących wiśni, inni pochłaniali potężne kanapki z boczkiem suto polane sosem barbecue. Na kominku buzował ogień, w którym co jakiś czas strzelały rozżarzone węgle, a gzyms przystrojona niezwykle starannie wykonana dekoracja z misternie splecionych gałązek z pęczkami szyszek i równomiernie rozmieszczonych złotych i kraciatych kokard. W powietrzu unosił się świeży, sosnowy zapach. Ściany pokrywały liczne fotografie przedstawiające rozmaite scenki świąteczne z dawnych czasów, jak na przykład wiktoriańskich uliczników handlujących pieczonymi kasztanami, jakąś rodzinę, na oko z lat siedemdziesiątych, zgromadzoną wokół olbrzymiej choinki, wszyscy w identycznych bluzach gwiazdkowych i grubych okularach, oraz czarno-białe zdjęcie choinki przed Centrum Rockefellera w Nowym Jorku.

Z zaplecza, gdzie zapewne mieściła się kuchnia, wyszedł mężczyzna, który skierował się ku nim, machając obiema rękami i ukazując w szerokim uśmiechu niewiarygodnie białe zęby pod przystrzyżonym wąsikiem. Miał na sobie dżinsową koszulę rozpiętą na tyle głęboko, że widać było fragment opalonego, nieowłosionego torsu. Wyglądał bardziej młodzieńczo niż na zdjęciach, Bea dałaby mu zdecydowanie mniej niż czterdziestkę.

– Nareszcie! Witam! Witam w Szkocji! – Alex McKay nachylił się i zagarnął Beę w uścisku przepojonym cudownym zapachem płynu po goleniu. – Moja e-przyjaciółka z samej Australii! – Klasnął w dłonie. – Na pewno zostaniemy najlepszymi przyjaciółmi! Ale najpierw musimy obciąć ci te włosy. Wiesz, co mówią o włosach poniżej ramion po pięćdziesiątce? Masz o jakieś pięć centymetrów za dużo, ale mniejsza z tym. – Machnął ręką.

Bea zachichotała, zachwycona jego szkockim terkotaniem, które zalało ją jak ciepły karmel. Alex podsunął krzesło i usadził ją przy stoliku, dając Florze znak, żeby zrobiła to samo, gdy już wyplącze się ze swojej kurtki, po czym sam usiadł, zakładając nogę na nogę. Bea się uśmiechnęła. Nie знаła powiedzonka o włosach, ale już wiedziała, że nie musi się martwić, że mogła wprowadzić go w błąd – pogruchiwanie było ostatnią rzeczą, jaka by powstała mu w głowie.

– Miło cię poznać na żywo, Alex! – Jej twarz samoistnie rozciągnęła się w ciepłym uśmiechu.

– Mnie również, serdeńko. I nie martw się, mamy tu na górze siłownię, gdybyś chciała coś zrobić z tym frontowym flakiem. – Wysunął starannie wypielęgnowany palec w kierunku sufitu.

Flora zaniósła się głośnym śmiechem i nawet Bea, która spuściła oczy z zażenowania, poczuła, że się odpręża.

– Och, przestań!

Jej nowy najlepszy przyjaciel był absolutnie uroczy.

– A to pewnie Flora? – Alex obrócił się ku niej z ciepłymi iskierkami w oczach i pełnym zachwyty uśmiechem. – Śliczna jak obrazek.

Flora promieniała, doceniona po raz pierwszy od dłuższego czasu.

Przez kilka minut gawędzili swobodnie i żartowali, przyjemnie rozluźnieni w swoim

towarzystwie.

– Tak się cieszę, że poznałem moją nową najlepszą przyjaciółkę! – Alex nachylił się i ponownie zgniół Beę w objęciach.

Znowu owiał ją przyjemny, męski zapach.

– Pięknie tu jest, Alex, tak przytulnie. A kominek wygląda rewelacyjnie.

– A, dziękuję, dziękuję! – Był wyraźnie zadowolony z pochwały. – To jak? Jedziemy z indykiem i wszystkimi dodatkami, czy też wolicie od razu rzucić się na pudding?

– Bardzo śmieszne! – Bea się uśmiechnęła.

Alex klasnął w dłonie.

– Myślę, że tu przyda się gorąca zupa i sodowy chlebek domowej roboty. Co wy na to?

– Brzmi świetnie. – Bea wreszcie zdjęła z siebie kurtkę i powiesiła na oparciu krzesła.

– A dla ciebie, laleczko? – Spojrzał na Florę.

– Ja też poproszę zupę!

Alex poszedł wydać dyspozycje w kuchni i po kilku minutach wrócił do stolika.

– Co się stało, że postanowiłyście wybrać się do Szkocji? To znaczy bardzo się cieszę, ale to było trochę nieoczekiwane.

Flora się naprężyła.

– Moi rodzice pojechali na Bali i miałam jechać z nimi, ale nie wypaliło. – Skrzywiła się pocieszenie. – Nie są ze mnie ostatnio zbyt zadowoleni.

– Od tego są rodzice. – Alex puścił oko. – Czemu rodzice nie są z ciebie zadowoleni, miła Floro? – Pochylił się zaciekawiony. – Co takiego zrobiłaś? Nie sprzątnęłaś pokoju? Zawaliłaś test?

– Nie. Rozkwaślałam nos jednemu koleśowi i zawiesili mnie w szkole, a potem znaleźli u mnie różne skradzione rzeczy, których ja w sumie nie ukradłam, ale przechowywałam je w pokoju.

Bea rzuciła Alexowi przepaszające spojrzenie i obiecała sobie porozmawiać z wnuczką o tym, co wypada opowiadać przy obcych.

– Jakoś to przeżyją. – Alex poklepał Florę po ręce.

Flora wzruszyła ramionami.

– I wtedy zaczęłyśmy się z Beą zastanawiać, gdzie by tu pojechać, gdziekolwiek na świecie, no i wylądowałyśmy tutaj.

– Chyba dało mi do myślenia, jak wspaniale pisałeś o swoich spacerach. Przebijał z tego jakiś cudowny spokój – wyjaśniła Bea.

– Spacerach? – Alex wydawał się nieco zmieszany.

– Mgły nad wrzosowiskiem, uśpione jeziora i unoszące się nad wodą opary. – Bea westchnęła tęsknie.

– A, o tych spacerach. Tak, jest naprawdę cudownie. – Rozpogodził się. – I tak po prostu wskoczyłaś do samolotu i już! To się nazywa luksus! – Wybuchnął śmiechem. – Chociaż nie wiem, czy ja zdecydowałbym się akurat na Szkocję, gdybym miał jakiegokolwiek miejsce na świecie do wyboru. Rozważałbym raczej, powiedzmy, Malediwy. Nowy Rok w Nowym Jorku też mogłoby być fajny. Swoją drogą, zawsze chciałem też wybrać się do Sydney.

– Zapraszamy, kiedy tylko zechcesz – zapewniła Bea.

– Doskonale. Flora mogłaby robić mi za bodyguarda. Całkiem nie od rzeczy.

Bea się roześmiała. Alex był ujmujący.

– Tait, który u nas pracuje, nazywa ją Małym Kliczko. – Cmoknęła.

– Ooo, to mi się podoba. – Alex się rozpromienił.

Do stolika podeszła kobieta w średnim wieku ubrana w długi czerwony rozpinany sweter

przepasany fartuchem i postawiła tacę, na której stały dwa głębokie talerze parującej zupy oraz drewniana deska z masywnym bochenkiem pokrojonego chleba i okazałą porcją masła.

– To wam dobrze zrobi, szczególnie po zwiedzaniu Holyrood na tym mrozie. Porządnie się rozgrzejecie. To przepis mojej mamy. Dziękuję, Elsie.

Kobieta skinęła leciutko głową i rozłożyła talerze przed Beą i Florą.

– Chodziłam dawniej na Fotel Króla Artura z moimi dziećmi. Siadały na górze i zjadały podwieczorek, a kiedy było naprawdę zimno, to wracając do domu, szliśmy sobie na frytki. Stare dzieje, co? – westchnęła kelnerka.

Flora i Bea zapatrzyły się na nią. Nie chodziło tylko o to, że ledwo mogły zrozumieć, co mówi, ale zdumiewająca była szybkość, z jaką Elsie wyrzucała z siebie poszczególne zdania. Bea skinęła głową uprzejmie, Flora zaś postanowiła wziąć byka za rogi.

– Z której części Polski pani pochodzi? – zapytała powoli i grzecznie.

– Z Glasgow – odparła Elsie i zawróciła do kuchni, potrząsając głową.

Bea włożyła sobie łyżkę zupy do ust.

– Mmm, dobre. Co to jest?

– *Cock-a-leekie*. – Alex pokiwał głową, jakby to się rozumiało samo przez się. Bea przygryzła usta. To nie był moment na dziecinne prześmiewki.

– Masz chłopaka, Flora?

Flora pokręciła głową przecząco.

– Nie, w sumie to nie. Ale podoba mi się jeden chłopak. Marcus. Nawiasem mówiąc, ten sam, któremu przywalałam.

– Przywalałaś? – Alex przyłożył sobie dłoń do piersi i spojrzał na Beę, która uniosła brwi w niemym potwierdzeniu. – Czy to jakiś rdzenny, australijski rytuał miłosny, o którym nie słyszałem? Chodźcie tak i tłuczecie się nawzajem w dowód sympatii? Mój Boże. Czy to znaczy, że też mam ci, Bea, przywalić? Bo nie przeczę, że bardzo cię polubiłem.

– Wolalabym nie. – Bea szybko wiosłowała zupę.

Flora sięgnęła po kawałek chleba i posmarowała go grubą warstwą masła.

– Nie jestem dzieckiem. Za dwa tygodnie skończę czternaście lat.

– Dziewczyno, moje majtki są starsze od ciebie – odparował Alex.

Flora nie była pewna, co ma jedno do drugiego.

– Nie wiem, czy go kocham, ale bardzo go lubię. Chciałabym, żeby był przy mnie cały czas.

– Pytanie tylko, czy on kocha ciebie?

– Nie wiem... Czasem wydaje mi się, że tak, ale nie wiem. – Flora utkwiała wzrok w blacie stołu.

– Czasem ci się wydaje? No to się musisz dowiedzieć! Po co masz się zadręczać, jeżeli nie wiesz nawet, czy w ogóle warto! Musisz wiedzieć na pewno, słonko. Jak będziesz tak żyła smutkiem, to skończysz jak Bea i ja, siedząc samotnie przed komputerem i klepiąc w klawiaturę o każdej porze dnia i nocy! – Roześmiał się i uderzył w stół dłonią.

Bea zachichotała. Dobrze się czuła w towarzystwie tego hałaśliwego i wesołego mężczyzny. Wydawał się zupełnie inny niż w swoich e-mailach, których ton był bardziej spokojny i refleksyjny.

– Nie chcę tak skończyć jak wy! Ale to nie takie proste. On się też podoba mojej kumpeli Lori... – Flora uśmiechnęła się blado.

– Ach, kielkująca miłość. Przeżyć to jeszcze raz, co, Bea? – powiedział Alex.

Bea skinęła głową.

– O, tak. Ale Peter nie żyje dopiero od roku.

– Tak, mówiłaś. Mój Robert umarł prawie siedem lat temu, a ja cały czas nie mogę tego przeboleć. Trudno jest się pozbierać i zacząć szukać na nowo.

– Siedem? Myślałam, że dziesięć – zdziwiła się Bea, przypominając sobie jego listy.

– Nie. – potrząsnęła głową. – Sześć lat temu, niedługo będzie siedem. Człowiek się raczej nie myli przy tego typu datach, prawda? Jak tu zapomnieć dzień albo godzinę, kiedy twój świat rozlatuje się na kawałki?

Bea pokiwała głową współczująco, niezadowolona, że coś pokręciła. Zawahała się, po czym zapytała:

– Pracował tu z tobą w Świątecznej Kawiarence? – Przed oczami pojawił jej się obraz Petera, jak pomagał przy ogarnianiu Kuchni Reservoir Street wczesnym rankiem i dotrzymywał jej towarzystwa, przeglądając jednocześnie gazety i wypijając hektolitry kawy przeznaczonej dla gości.

– Nie. Był księgowym. Wspaniałym, cichym facetem. Mieszkaliśmy tu, na piętrze. – Wskazał sufit. – To dlatego nadal tu jestem. Widzę go, jak siedzi na kanapie i wszędzie wokół czuję jego obecność. To trochę pomaga. – Rozchylił lekko usta w uśmiechu. – Cały czas z nim rozmawiam. Ile bym dał, żeby móc spędzić z nim jeszcze jeden dzień, porozmawiać choćby godzinę. To by było coś.

– Tak, ja też często tak myślę – powiedziała Bea z gardłem ściśniętym z emocji. – Gdybym tylko dostała jeszcze jeden dzień. Ale potem na pewno potrzebowałabym jeszcze jednego i jeszcze. Jest przecież tyle rzeczy. Byliśmy z Peterem bliskimi przyjaciółmi.

– My też. Byliśmy jak woda i ogień, ale to działało. Opiekował się mną. Zawsze troszczył się przede wszystkim o mnie i to było wspaniałe. Dawniej nie byłem przesadnie wybiórczy, więc to, że trafiłem akurat na niego było jak los na loterii. – Przyłożył sobie rękę do piersi. – Mówię ci, Bea, był wszystkim, co miałem najcenniejszego. Naprawdę.

Flora gapiała się na niego szeroko otwartymi oczami.

– Wygląda, że bardzo się wam poszczęściło, że mieliście siebie nawzajem – powiedziała łagodnie.

– Tak było. – Cmoknął i klasnął w ręce. – Przepraszam, robię się cikliwy. Siedzę tu i przynudzam, jak to ciężko nie mieć z kim pogadać, podczas gdy tobie musi być podwójnie trudno, zostać tak nagle samą...

– W moim wieku, chciałeś powiedzieć? – wpadła mu w słowo Bea. – Czekać na starość bez nikogo przy boku? Tak, to trochę przerażające. Jakby niebezpieczne.

– Nie wyglądasz na przerażoną. Wręcz przeciwnie, wydajesz się bardzo opanowana. – Alex odchylił głowę i zmierzył ją uważnym spojrzeniem.

– Dziękuję. To prawda, staram się podchodzić do tego z rozwagą. Ale nie mogę pogodzić się z tym, że tak wielu z nas zostaje samych akurat wtedy, kiedy najbardziej kogoś potrzebuje. Starzenie się jest jeszcze trudniejsze w pojedynkę. Tak dobrze byłoby mieć przy sobie jakieś silne ramię.

– Robert był dla mnie dokładnie czymś takim. – Alex przełknął ślinę. – Chociaż miałem tylko trzydzieści lat, kiedy go straciłem.

– Musisz się czuć oszukany – stwierdziła Bea ze smutkiem, patrząc przed siebie nieobecny wzrokiem. – Tak wcześnie, tyle rzeczy cię z nim ominęło...

– O tym babcia też coś tam wie, prawda? – wtrąciła Flora z typową dla siebie bezceremonialnością i spojrzała na Beę wcale niezamieszana faktem, że wyjawia jej najgłębsze sekrety nowo poznanemu człowiekowi. – Dawno temu bardzo kogoś kochała, ale nie mogli zostać ze sobą na dłużej.

Bea wzięła gwałtowny oddech, a Alex wyglądał na oszołomionego.

– Rety, to zaczyna brzmieć intrygująco. Mówisz o Peterze z taką czułością, że sądziłem, że to on był tym jedynym.

Bea zastanowiła się, jak rozegrać to dalej.

– O, Peter był wspaniały. Wspaniały! I tak, byliśmy bardzo, bardzo szczęśliwi. Dwadzieścia siedem lat. Był naprawdę cudownym przyjacielem. Był dobry dla mojego syna i dla mnie, ale to nie była ta namiętna, porywista miłość pełna uniesień. Kochałam go, ale nie w ten szaleńczy, zaślepiony sposób.

– A niech mnie, to ci dopiero historia. A on wiedział, co czujesz?

– O, tak, zawsze byliśmy ze sobą bardzo szczerzy. Wiedział, że go uwielbiam, że go kocham i wiem na pewno, że on kochał mnie, ale wydaje mi się, że zakres jego miłości był ograniczony przez to, ile ja mogłam zaoferować mu w zamian. Patrząc na to z perspektywy czasu, zastanawiam się, czy przypadkiem oboje na tym nie straciliśmy. Może przeze mnie nie miał okazji poznać swojej drugiej połówki i na odwrót.

– Czyli jednak w to wierzysz? – Flora spojrzała na babcię oczami pełnymi nadziei. – Że każdy ma swoją drugą połówkę? Kogoś, kogo się kocha w ten sposób i ta osoba tak samo?

Bea uśmiechnęła się do wnuczki.

– Wiem, że to istnieje. Trafiło mi się raz i to było cudowne, absolutnie magiczne. – W głowie zadźwięczały jej słowa: „Beatrice, weź, proszę, mój szalik...”. – Ale to nie był moment po temu i tyle.

– Boże, jaka szkoda. – Alex wydawał się całkowicie przybity.

Bea uśmiechnęła się na tak jednostronny punkt widzenia.

– Tak, wielka szkoda.

– Nie chciałbym cię urazić ani włączyć z butami, ale... – Alex nabrał powietrza i zawahał się. – Ale skoro wiedziałaś, że twoja przypuszczalnie druga połówka istnieje, dlaczego nie pojechałaś go szukać po tym, jak Peter umarł, albo nie odnalazłaś go jeszcze przed Peterem?

– Bo nie był wolny – odparła Bea bezbarwnie.

– W sensie nie to, że siedział w więzieniu czy coś. – Flora poczuła się w obowiązku sprostować.

Bea jęknęła, a Alex wybuchnął śmiechem.

– Nie! Na litość boską, jasne, że nie siedział w więzieniu! – Cmoknęła na samą myśl. – Ale był uziemiony. Miał swojego Petera. Boże, jak to strasznie zabrzmiało. Ale taka jest prawda.

Alex wyprostował się na krześle i odchrząknął. Wydawał się nieco przytłoczony.

– O rany, to ci dopiero spotkanie zapoznawcze!

– Bardzo było miło cię poznać, Alex.

– Wzajemnie. Jak również czarującą pannę Florę, Małego Kliczko.

– Wiesz, Alex, mam takie wrażenie, jakbym znała cię przez całe życie – wyznała Bea i zatoneła w jego pożegnalnym uścisku.

To był długi dzień. Gdy Bea i Flora wchodziły po schodach do Balmoral, odwróciły się, żeby jeszcze ostatni raz spojrzeć na Princes Street. W powietrzu panowała cisza jakby pełna oczekiwania. Nagle przed oczami Flory przeleciał jeden malutki płatek śniegu i wylądował na ramieniu Bei, znikając niemal natychmiast, gdy tylko dotknął granatowej wełnianej kłapy jej płaszcza. Zaraz po nim pojawił się kolejny, a potem jeszcze jeden.

– O, matko! – wrzasnęła Flora i zbiegła z powrotem na dół. – Bea! Bea! Śnieg pada! Prawdziwy śnieg! – wołała, kręcąc się wokół siebie z rozpostartymi rękami.

Bea skrętnie zachowała w pamięci ten obrazek i wrzuciła do swojego archiwum najcenniejszych wspomnień. Wiedziała, że nigdy nie zapomni widoku swojej ślicznej, australijskiej wnuczki z włosami koloru toffi pływającymi w świetle latarni, jak wiruje wśród

drobniutkich płatków osiadających jej na nosie i rzęsach.

– Chodź! Musisz tu zejść! – krzyknęła Flora. – Teraz to jest naprawdę Boże Narodzenie!

Bea zeszła po schodach i uniosła twarz w stronę nieba. Upłynęły wieki, odkąd ostatni raz czuła dotyk śniegu na twarzy, ale natychmiast rozpoznała tę jedyną w swoim rodzaju pieśczętę drobnych kryształków rozpuszczających się momentalnie w kontakcie ze skórą. Zamknęła oczy i przypomniało jej się, jak stała tak kiedyś u babci w ogrodzie. Siostra biegała dookoła niej, lepiała z płatków małe, twarde kuleczki i rzucała nimi o ścianę. Bea spojrzała wtedy w górę, tak jak teraz, i doznała wrażenia, że niebo się przed nią otwiera. To było oszałamiające, potężne i niezwykle. Magia.

Dopiero kiedy Flora położyła jej lekko rękę na ramieniu, Bea uświadomiła sobie, że płacze. Nie było sensu wyjaśniać, że płacze nad swoim życiem, które przeleciało tak szybko, ani się spostrzegła. Zdawało się, że ledwie kilka miesięcy temu stała w śniegu jako mała dziewczynka dopiero wchodząca w życie, uśmiechnięta i zaróżowiona, a jej babcia piekła ciasto na wieczór w ciepłej, gościnnej kuchni. Tak by chciała znowu stać się tą małą dziewczynką, choćby na jeden dzień. Przez jeden dzień nie czuć ciężaru bólu, wstydu, żalu i tęsknoty, które ukształtowały ją tak, a nie inaczej. Przez jeden dzień wierzyć, że świat jest cudowny, bo jeszcze nie zaznała jego okrucieństwa. Spędzić jeden jedyny dzień z najbliższymi, którzy wciąż ją kochali, bo jeszcze była niewinna.

Kiedy zrobiło im się tak zimno, że już nie mogły wytrzymać, przeszły w milczeniu przez wyłożony pluszowym dywanem hol i ruszyły do windy. Pokój powitał je ciepłym, przytulnym spokojem, a w zapadającym za oknem zmroku jarzyły się światła domów i wesołego miasteczka. Bea zgasiła światło, od czego nocny spektakl stał się jeszcze bardziej malowniczy. W milczeniu, zamyślone, zapatrzyły się w taniec płatków przesłaniających widok.

– Nie wierzę. Prawdziwy śnieg. – Flora była absolutnie oczarowana. – To chyba jedna z najpiękniejszych rzeczy, jakie w życiu widziałam.

– Ja też. – Bea się zgodziła, z trudem powracając do rzeczywistości.

– Super jest ten Alex. – Flora się entuzjasmowała.

– To prawda. I tak się zastanawiam... Chcę to zrobić – powiedziała Bea z mocą, pozbywając się butów i rozwijając w mroku fałdy szalika.

– Co zrobić? – Flora obejrzała się na nią.

– Pójść na Barnton Avenue West. Chcę zobaczyć, gdzie mieszka. To, co powiedział Alex, dało mi do myślenia. Wiem, o co mu chodzi, kiedy mówi o jeszcze jednej rozmowie, jeszcze jednym spotkaniu. Dla niego, biednego, jest już niestety za późno. Ale nie dla mnie. Chcę się przekonać, gdzie mieszka John, zobaczyć to tylko raz. Nie, żeby się z nim spotykać, ale zobaczyć jego świat. Obejrzeć dom, w którym mieszka od ponad trzydziestu lat. To byłoby coś. – Spojrzała na wnuczkę.

– Pojedziemy tam jutro? – Flora podeszła do babci i pocałowała ją w policzek.

– Tak. Pojedziemy jutro.

Czternaście

Bea siedziała na łóżku i skakała po kanałach telewizyjnych, ale nie mogła znaleźć nic godnego uwagi. Była kłębkim nerwów.

– To jaki jest plan, Bea? – zawołała Flora z łazienki, gdzie szczotkowała swoje gęste włosy. – Trochę się denerwuję. Nie boisz się, że mógłby cię zobaczyć?

Bea spojrzała na odbicie pleców dziewczyny w lustrze toaletki.

– E, raczej nie – skłamała, mając nadzieję, że jej maska spokoju pomoże im obu.

Flora sięgnęła po szczoteczkę i płyn do płukania ust.

– Rany, ja to bym wariowała! Wyobrażasz sobie jego szok, gdybyś nagle pojawiła się w drzwiach jak jakiś duch? Musimy pomyśleć, jak to zrobić, żeby cię nie rozpoznał. Może jakieś przebranie, tak jak już mówiłam? – Oczy jej rozbłyły.

Bea popadła w zamyślenie, podczas gdy z łazienki dobiegło głośnie gulgotanie. Ujęła koniuszek swojego szarego szala i przyłożyła do oka w kąciku, w którym niebezpiecznie pęczniała jej łza.

– Nie mam najmniejszego zamiaru pojawiać się jak duch. Poza tym to nieważne, czy mnie zobaczy.

– No jasne, że ważne! Jesteś jego dawno utraconą miłością! Jak pomyślę, że miałabym przez wieki nie widzieć Marcusa, aż tu nagle – bam! Staje w progu. Coś niesamowitego!

Bea odetchnęła głęboko, założyła włosy za uszy i przywołała uśmiech na twarz.

– Nieważne, moja droga, bo nie ma żadnej pewności, że on w ogóle o mnie pamiętał przez te wszystkie lata. A po drugie na pewno by mnie nie poznał. – Dotknęła sobie podbródka. – Chyba jasne, że w niczym nie przypominam już tamtej dziewczyny. A poza tym to mnie nie zobaczy. Już moja w tym głowa.

Flora nie odpowiedziała, ale podeszła do babci i mocno ją przytuliła.

Śniadanie zjadły, prawie się nie odzywając, każda zajęta myślami o czekającej je tego dnia misji. Flora raz po raz zerkała na swój telefon.

– Masz jakieś wieści od kolegów ze szkoły? – Bea nie mogła się powstrzymać.

– Lori się do mnie nie odzywa. Wścieka się, że rodzice odkryli te kosmetyki. – Flora zatopiła zęby w grzance z dżemem.

– A dlaczego się o to wścieka? Czy to jej rzeczy? Nie mówiłaś wcześniej.

Flora pokiwała głową, przeżuując jedzenie, i przełknęła.

– Tylko proszę, nie mów nic mamie i tacie. Jakoś tak dałam jej poznać, że to żaden problem, żeby przechowała to dla niej pod łóżkiem. Ale to był problem. Nie mogłam przez to spać i za każdym razem, kiedy ktoś pukał do drzwi, bałam się, że przyjechała policja. To było straszne, ale Lori powiedziała, że przyjaciele powinni sobie pomagać.

O, nie wątpię. Bea uśmiechnęła się nieznacznie i odstawiła filiżankę na delikatny spodeczek.

– Powiem ci, kochanie, że to mnie trochę martwi. Staram się nie oceniać, bo widzę, że zależy ci na tej przyjaźni, ale, na mój gust, kiedy ktoś prosi cię, żebyś zrobiła coś w tajemnicy i nie mówiła o tym rodzicom albo w ogóle nikomu, to mnie to zalatuje czymś brzydkim, nie uważasz? Co ona tak musi ukrywać?

– Wiem, wiem! Ale ja nie mam żadnych innych przyjaciół. Co mam niby robić? – Flora zaprotestowała. – Siedzieć sama jak palec?

Bea przyjrzała się wnuczce.

– Nie znam odpowiedzi na to pytanie, słonko. Przykro mi. Ale wiem, że Lori oznacza kłopoty i ciągnie cię w dół ze sobą.

Flora pociągnęła nosem. Oczy jej zwilgotniały, a kęs chleba utknął w przełyku.

– I tak nie odpisuje na moje esemesy i nie odbiera ode mnie telefonu, więc teraz to już nieważne. Chyba nie jest już moją przyjaciółką, co oznacza, że nie mam już zupełnie nikogo! Bo jeżeli ona nie będzie się ze mną przyjaźnić, to Katie też nie i nie będę mogła już widywać Marcusa.

– Kochanie! – Bea położyła wnuczkę rękę na ramieniu. – Nie płacz, proszę.

Wyszły razem na parking. Były chyba jedynymi osobami w mieście, które zachwycała cienka warstwa śniegu. Wszyscy inni mówili o niej „breja”. Kiedy wsiadły do swojej czerwoniutkiej bombki, Bea nastawiła ogrzewanie i odczekała, aż ciepły powiew rozgrzeje im stopy. Wprowadziła adres do nawigacji i włączyła się do wolno pełzającego ruchu. Fiacik nie spieszył się zbyt do celu swojej podróży, krążąc ostrożnie po nieznanym ulicach i przystając przed progami zwalniającymi, które miejscowi kierowcy brali na pełnym gazie.

Gdy podążając za znakami prowadzącymi do Forth Road Bridge, doturlały się do A90, Flora dostrzegła miejsce, którego nazwa brzmiała nader znajomo.

– O, zobacz, Bea! Perth! – Wysiliła się na uśmiech. – Nie sądziłam, że tak daleko zajechaliśmy, już prawie jesteśmy w domu!

Bea skinęła głową, próbując lekką rozmową uciszyć burzę nerwów. Ale radosna atmosfera poprzedniego dnia gdzieś się rozviała. Zerknęła z ukosa na wnuczkę, która siedziała na miejscu pasażera przechylona do przodu, tak zafascynowana, jakby oglądała serial w telewizji. I tak jak wcześniej obecność Flory dodawała jej pewności siebie, tak teraz wołałaby być jednak sama. To nie była zabawa.

Przysunęła twarz do przedniej szyby, jakby dzięki temu mogła zajrzeć za zakręt. Mięśnie szyi miała naciągnięte i oddychała szybko. Na moment oderwała rękę od kierownicy i potrząsnęła nią, żeby rozruszać bransoletki. Do dzisiejszego poranka rozmowy o przeszłości z Florą były nawet pewną formą rozrywki, ale teraz dotarła do niej cała powaga sytuacji. Czują przytłaczający ciężar odpowiedzialności i po raz pierwszy zaczęła się wahać, czy wizyta w jego dzielnicy to jednak dobry pomysł. Troszkę żałowała, że się na to zgodziła.

Flora wyczuwała napięcie babci. Z oczami utkwionymi wprost przed siebie Bea skojarzyła się jej z kimś, kto ma zaraz skoczyć z klifu do wody i próbuje pokonać lęk w ostatniej chwili.

– Wszystko okej, Bea? – zapytała.

Bea kiwnęła głową i wzięła głęboki oddech, żeby wyrównać rozszalałe tętno. W głowie pojawiło się jej kolejne wspomnienie. Spodziewała się tego. Dopiero co urodziła Wyatta. Był całkiem nowy i głośno płakał w plastikowym łódeczku na kółkach, jakby wyczuwał jej rozpacz. Leżała w stosie zmiętej pościeli na pokrytym folią materacu i płakała. Włosy kleiły jej się do spoconego czoła. Miała na sobie bawełnianą szpitalną koszulę rozciętą na plecach, która zsunęła się, kiedy wstała, odsłaniając jej nabrzmiałe mlekiem piersi i fałdy luźnej skóry na brzuchu. Głosy dookoła docierały do niej z daleka, jakby była w półśnie. Młoda pielęgniarka próbowała ją uspokoić. „Już dobrze, Beatrice. Wszystko będzie dobrze”. I jej własny głos, ale młodszy, prawie krzyk, żeby usłyszeli, i słowa zniekształcone przez strumienie łez: „Nie będzie! Nic nie będzie dobrze! John musi tu przyjść, zaraz, natychmiast! Pomóżcie mi go znaleźć, proszę! Pomóżcie, nie dam rady sama, proszę...”. To wtedy właśnie z przeraźliwą jasnością poczuła, że zawiodła swojego syna. *Chciałam dla ciebie wszystkiego, co najlepsze, Wyatt, ale już od początku wszystko było nie tak. Wybacz mi, synu. Tak strasznie mi przykro...*

Bea położyła sobie rękę na brzuchu czując jak jej łono pulsuje na samo wspomnienie

nawet teraz, po tak wielu latach. Odkasznęła, usiadła prosto i wrzuciła kierunkowskaz, żeby skręcić w Whitehouse Road. Minęły klub Royal Burgess Golfing Society, po czym wjechały w Barnton Avenue West. Była to szeroka ulica, po obu stronach której wznosiły się wille w wielkich, często pięknie utrzymanych ogrodach. Były tu gotyckie rezydencje z krzemienia i supernowoczesne bryły z przeszklonymi fasadami, a przed wieloma dało się dostrzec ślady życia zamieszkujących je rodzin. Gdzieniedzie za elektroniczną bramą ujadał pies. Śnieg lepiej się utrzymał w tej części miasta. Przysiadł w kupkach na owiniętych wokół kranów szlauchach z przodu domów i otulił dziecięcy rowerek porzucony żałośnie na ziemi przed wejściem. Dekoracje świąteczne były tu bardzo wysmakowane. Wokół kołatek na drzwiach frontowych wisiały ręcznie wykonane, eleganckie wieńce choinkowe, a fasady oplatały światełka-sopelki w gustownie dobranych aranżacjach kolorów. Była to dostatnia dzielnica.

– Niezłe chaty, co? – powiedziała Flora, przerywając milczenie, które zaczynało już niemal fizycznie ciążyć w ciasnej przestrzeni auta.

Bea skinęła głową, myśląc jednocześnie, że w innym życiu, z innym zakończeniem, na wycieraczkę któregoś z tych domów rzucano by listy zaadresowane do niej, a jej klucz otwierałby drzwi do jednego z tych wielkich holów, gdy ścisnęłaby w progu i zapraszała do środka gości, którzy wpadli któregoś zimowego dnia i strzäsali z siebie płaszcze przeciwdeszczowe. *Jak się macie? Wchodźcie, wchodźcie. Może herbaty? John zaraz przyjdzie, jest w ogrodzie z tyłu...*

– Podobają mi się te pomieszane style – paplała Flora. – Staroświeckie i nowoczesne. Pewnie drogo tu jest, jak myślisz?

Bea potwierdziła skinieniem głowy. Bardzo prawdopodobne.

Przed każdą bramą wysoki asfaltowy chodnik przechodził w łagodny podjazd dla ułatwienia dostępu. Wzdłuż drogi stały duże, nowoczesne latarnie. Bea zwolniła, bo zbliżały się do domu, w którym, jak wynikało z internetowych poszukiwań Flory, mieszkał doktor J.W. Brodie. Po przeciwnej stronie ulicy, w połowie na chodniku, stała biała furgonetka z wielkim, zielonym logo firmy architektury krajobrazu, a jej pracownik właśnie oporządził ozdobne krzewy zimowe w pobliskim ogrodzie. Bea zaparkowała tuż za nią, wykorzystując ją jako zasłonę do ich tajnej misji. Zaciągnęła hamulec ręczny, odpięła pas i mimo arktycznej temperatury spuściła szybę, i wystawiła łokieć w pozornie nonszalanckiej pozycji. W oczach przypadkowego przechodnia miała wyglądać na kogoś, kto czeka na znajomych, a nie czatuje pod domem dawnego kochanka.

Miały stąd dobry widok na dom naprzeciwko. Niska brama z pięciu drewnianych poziomych bali stała otworem wzdłuż starannie przystrzyżonego, wysokiego żywopłotu, podparta wielkim, omszałym głazem osadzonym w żwirowej nawierzchni. Wysadzany starymi drzewami podjazd zataczał łuk i kończył się przed wejściem do imponującej willi. Od frontu nie widać było żadnego samochodu ani nic, co świadczyłoby o płynącym w tym domu życiu. Budynek miał pomalowane na kremowo ściany, białe okna otwierane do góry i gontowy dach. Drzwi wejściowe były jaskrawoczerwone, co natychmiast przywiodło Bei na myśl jej dzieciństwo w Anglii, gdzie wszystko, od autobusów po budki telefoniczne, jakby świeciło na tle szarego krajobrazu tym samym soczystym, jarzębinowym kolorem. Spojrzała w prawo i uśmiechnęła się na widok zaśnieżonego pola golfowego, które musiało być widać prawie z każdego okna domu stojącego na niewielkim wzniesieniu. Pamiętała, jak próbował, bezskutecznie zresztą, zarazić ją swoją pasją do tego sportu. Wszystkie okna były pozamykane, czemu trudno się było dziwić w środku mroźnej zimy, i wszystkie znaki na niebie i ziemi wskazywały na to, że mieszkańców w tej chwili nie ma. Bea odetchnęła z ulgą i przyjrzała się kawałkowi trawnika od frontu. Wyobraziła sobie, jak mama, tata i dwójka dzieci grają na nim

w najrozmaitsze gry: piłkę nożną albo krykieta, lub jak urządzają przed tym domem urodziny i przyjęcia z okazji przyjazdu dzieci, podczas gdy ona z chłopcem tej samej krwi żyła gdzieś na drugim końcu świata.

– Na pewno dobrze się czujesz? – dopytywała Flora, z niepokojem obserwując, jak Bea nerwowo splata ręce na kolanach i pociera skronie.

Bea przygryzła dolną wargę do krwi. Nagle widać było po niej wszystkie jej pięćdziesiąt trzy lata.

– Wygląda na to, że nikogo nie ma, co? – zapytała zapatrzona na dom, jakby nie słyszała pytania.

Flora pokręciła głową, zastanawiając się, jak długo będą tak siedzieć i się przyglądać. Nie wiedziała, ile potrzeba czasu w takiej sytuacji i na co babcia ostatecznie liczy.

– Posiedźmy tu trochę, okej? – wyszeptwała.

Bea rozpoznała ton, którego sama używała, gdy chciała okazać wsparcie.

– Nie, Flora, lepiej już jedźmy. Zobaczyłam wszystko, co chciałam. Dziękuję ci, że ze mną przyjechałaś. – Uśmiechnęła się do wnuczki, ale jej oczy natychmiast powędrowały z powrotem ku domowi.

Zlustrowała uważnie okna, po czym przesunęła wzrok na drzwi. Wyobraziła sobie, jak jej ukochany naciska tę klamkę, kiedy wraca po ciężkim, pracowitym dniu, jak podnosi rolety w oknach, jak zamiata podest, grabi liście i krząta się wokół domu. W jego życiu nie było dla niej miejsca. Pomyślała o tym, jak rok w rok, w każde święta jego żona Margaret wychodzi na ten sam podest i z rozłożonymi rękami wita przyjaciół i bliskich, którzy przyszli z wizytą, podczas gdy to *jej* ślady powinny widnieć na tym śniegu przez te wszystkie lata, a te wszystkie scenki powinny być *jej* udziałem i *jej* wspomnieniami. I gdyby to wszystko zdarzyło się kiedy indziej, tak właśnie by było. Cały czas nie mogła się z tym pogodzić. Na widok domu, w którym mieszkała z inną kobietą, poczuła się przeraźliwie pusta i smutna jak nigdy.

Flora nie miała pojęcia, co powiedzieć, żeby rozładować napięcie. Już otworzyła usta, gdy nagle furgonetka przed nimi zawarczała głośno i odjechała, a dokładnie w tym samym momencie zza zakrętu wyłonił się srebrny sedan i skręcił gwałtownie na podjazd. Nie którykolwiek podjazd, ale ten przed domem doktora J.W. Brodiego.

Bei serce załomotało w piersi, gdy błyskawicznie przekręciła kluczyk i zaczęła w panice deptać pedał gazu. Silnik zacharczał, ale nie podchwycił. Przekręciła kluczyk jeszcze raz i znów wcisnęła gaz.

– No, dawaj! Jedź, ty rżęchu! – wymamrotała pod nosem i rozpaczliwie walnęła rozpostartymi rękami w kierownicę.

Spojrzała w bok i dostrzegła trzy głowy w samochodzie – dwie z przodu i jedną na tylnym siedzeniu. Kierowca mignął jej tylko w przelocie, ale bez wątplenia była nim jakaś jasnowłosa kobieta. Gwałtownie wciągnęła powietrze, przyłożyła sobie drżącą dłoń do kołnierzyka bluzki i szarpała go nerwowo palcami. *Oni mogą go znać.*

Florze też serce zamarło i przez sekundę bała się, że jej babcia dostała zawału. Może szok był zbyt silny? Ale na szczęście Bea wypuściła powietrze, zakryła usta dłonią, a po twarzy spływały jej łzy. Flora podała jej wyciągniętą z kieszeni chusteczkę i przyglądała się, jak babcia ociera oczy i wydmuchuje nos. Niemal natychmiast podsunęła jej drugą.

– Musimy się stąd jak najszybciej wydostać, Flora, ale ten czort nie chce zapalić! – Bea starała się opanować drżenie paniki w głosie.

Flora skinęła głową i obserwowała kobietę, która wysiadła zza kierownicy sedana. Wyglądała na około trzydzieści parę lat, naturalnej urody, z włosami w odcieniu truskawkowego blondu sięgającymi do ramion.

Bea aż zaniemówiła na jej widok. Wyglądała zupełnie jak Wyatt. Nie było cienia wątpliwości, że to córka Johna.

Srebrny samochód, kilkuletni i mocno przykurzony, nosił ślady wgnieceń na bagażniku, a na zderzaku widniała naklejka „Moirax Taxi”. Bea wpatrywała się weń intensywnie, szukając jakichkolwiek wskazówek.

Tylne drzwi otworzyły się i ze środka wygramolił się wysoki, kilkunastoletni chłopiec w dżinsach, wysokich tenisówkach i bluzie z kapturem. Był całkiem pochłonięty swoim telefonem, w który stukał zawzięcie obydwoma kciukami. Miał szerokie ramiona, włosy koloru toffi, zupełnie jak Flora, i duży, orli nos swojego dziadka. Ten nowy szok wywołał u Bei kolejną falę łez. Zwróciła się ku Florze zapłakana, lecz rozpromieniona.

– To twój kuzyn – powiedziała i natychmiast przeniosła spojrzenie z powrotem na podwórze.

Kilka chwil później ponownie spróbowała uruchomić samochód, dociskając kluczyk tak mocno, aż rozboleły ją palce, z nadzieją, że siłą skłoni maszynę do współpracy.

– No jedź! Błagam! – Jeszcze raz walnęła rękami w kierownicę, ale silnik tylko zakrzusił się i zakaszlał, wydając przy tym jakiś irytujący zgrzyt, w miarę jak Bea deptała sprzęgło i dusiła gaz.

Patrzyły razem, jak chłopak obchodzi samochód, żeby otworzyć klapę bagażnika wypakowanego po brzegi torbami zakupów. Moira przelotnie obejrzała się na hałaśliwego fiata na ulicy. Bea, zmartwiała z przerażenia i zachwytu naraz, mogła jedynie odwzajemnić spojrzenie.

A potem, zanim Bea zdołała nieco ochłonąć, z drugiego miejsca z przodu wysiadł mężczyzna. I to był on. Stał przy samochodzie dokładnie w centrum jej pola widzenia. Tak po prostu. Doktor John Wyatt Brodie, ojciec jej syna i miłość jej życia.

Bea straciła oddech. Rozpoznałaby go na końcu świata. Gdzieś w głębi żołądka poczuła znajome, tęskne ssanie, jeszcze teraz, w jej wieku. To była ta sama instynktowna potrzeba co zawsze i czuła ją tak samo silnie, jak wiele lat temu na jachcie w księżycową noc. Byli ze sobą połączeni.

Widziała go po raz pierwszy od ponad trzydziestu lat. Zmienił się, naturalnie postarzał, ale też dojrzał w ten uroczy sposób, w jaki dojrzewają niektórzy mężczyźni po pięćdziesiątce, gdy czują się bezpieczni i spełnieni. Był niższy niż Bea zapamiętała, na oko metr osiemdziesiąt, czyli o kilka centymetrów mniej od Wyatta, średniej budowy ciała – ani przy kości, ani przesadnie szczupły. W krótko przystrzyżonych, rudawych włosach widniały srebrne nitki. Miał jasną, gładką karnację i oczy trochę głębiej osadzone niż w jej wspomnieniach, ale nadal intensywnie niebieskie i piękne. Ubrany był w granatowy sweter z trójkątnym wycięciem, z którego wystawał kołnierz białej koszuli, granatową marynarkę, beżowe sztruksy i jasnobrązowe półbuty. Wyglądał elegancko jak zawsze.

Chłopak stał przy aucie, całkowicie zaabsorbowany swoim telefonem. Najwyraźniej nie chciał zaczynać wyładowywania zakupów, dopóki jego matka nie weźmie się za to pierwsza. John wszedł na ganek, odemknął zamek w drzwiach i otworzył je nogą. Chłopak szybko zanurkował w bagażniku i wyciągnął z jednej z toreb paczkę mrożonego groszku, którą zaraz potem ukrył za plecami. Gdy matka pochyliła się nad zakupami, podszedł z tyłu i przyłożył jej groszek do karku.

Moira wrzasnęła i odskoczyła na bok.

– Co za okropne dziecko! – krzyknęła, usiłując odebrać mu paczkę, którą trzymał sobie nad głową zbyt wysoko, żeby mogła dosięgnąć. Wybuchnęła donośnym, nieskrępowanym śmiechem.

– Złap ją za ręce, dziadku! – zawołał chłopiec.

Bea wpatrywała się w tę scenę jak urzeczona.

John uśmiechnął się w odpowiedzi.

– Nie dam rady! – odparł. – Dobra, Cal, wnieśmy to do środka. Biedna ta twoja mama. Już bez tego jest porządnie zimno.

Bea wyostriżyła zmysły, chwytając jego lekki, edynburski akcent i głos, który co noc słyszała w snach od tamtego wieczoru ponad trzydzieści lat temu. Niemal przestała oddychać, nie mogła oderwać od niego wzroku. Czuła się jak w potrzasku – bała się, że mógłby ją zauważyć, ale też za nic nie chciała, żeby zniknął jej z oczu.

Flora i Bea tak były pochłonięte rozgrywającą się przed nimi sceną, że przestały pilnować, żeby się nie gapić. Jakby wyczuwając ich wzrok, Moira niespodziewanie odwróciła się i spojrzała wprost na ich samochód, bezpośrednio w oczy dawnej kochanki ojca. Podniosła rękę i potrząsnęła głową, jakby mówiła: „Och, ci faceci!”.

Bea odpowiedziała nieznacznym kiwnięciem. Często potem wracała myślami do tego gestu, do jej pierwszego spotkania z córką Johna, małą dziewczynką czekającą na powrót taty, kiedy oni leżeli spleceni na plaży o wschodzie słońca. Tą dziewczynką, którą chciała, żeby dla niej zostawił. Błagała go i płakała, aż miała wrażenie, że pęknie jej serce, a on, tak samo zboleły, zapewniał ją przez łzy, że niczego tak nie pragnie, jak tylko móc z nią zostać i że kocha ją ponad wszystko. Tyle że tamtego ranka, gdy na plażę padły pierwsze promienie świtu, nie chodziło o miłość. Chodziło o odpowiedzialność. Jego słowa, że gdyby mógł, wybrałby ją bez namysłu, latami przynosiły jej pocieszenie i ulgę, ale teraz nabrały gorzkiego posmaku zdrady. Nie spodziewała się żadnego kontaktu. To było dziwne i straszne, a jednocześnie wspaiałe.

Moira powiedziała coś do syna, który razem z dziadkiem kursował już z pakunkami z samochodu do domu i z powrotem. Następnie odwróciła się w stronę fiata i ruszyła ku nim.

– Oż, cholera jasna! – Bea rozpaczliwie szamotała się z kluczykami, które w panice wyciągnęła ze stacyjki, po czym wetknęła je znowu roztrzęsionymi palcami.

– Dzień dobry! – Moira pomachała do nich raz jeszcze, podchodząc do samochodu z miłym, otwartym uśmiechem. – Wszystko w porządku? Zgubiły panie drogę? – zapytała przez szparę w uchylonym oknie, które Bea teraz zupełnie otworzyła.

Bea była kompletnie sparaliżowana, więc to do Flory należała jakakolwiek reakcja. Dziewczyna przechyliła się do przodu.

– Wszystko okej, dziękujemy. Samochód się chyba przegrzał czy coś. Nie chce zapalić, więc pozwalamy mu chwilę odsapnąć.

– Masz ci los! Ja też mam wiecznie kłopoty z samochodem. Cały czas pechowo coś na niego wpada. A to jakaś brama, a to znów szlaban na parkingu w sklepie. – Wykonała nieokreślony gest w stronę poobijanego tyłu srebrnego sedana. – W każdym razie taka jest moja wersja i twardo się jej trzymam!

Bea uśmiechnęła się w odpowiedzi.

– Z daleka panie jadą?

Z samej Australii, a w mojej głowie jakiś milion lat świetlnych, z których wszystkie wiodą do twojego ojca, którego kocham i zawsze kochałam!

– Nie, tylko z centrum – odrzekła Flora, w gruncie rzeczy nie mijając się całkowicie z prawdą. – Mieszkamy w Balmoral.

– O, to świetne miejsce! – Moira kiwnęła głową i odwróciła się w kierunku syna, który popatrywał z daleka na samochód z dwiema obcymi kobietami w środku. – Callum! Pozwól na chwilę.

Grymas ust chłopca i jego nisko opuszczone ramiona były nad wyraz wymowne. Miał widać inne rzeczy do roboty. Niechętnie podszedł bliżej.

– Samochód nie chce paniom zapalić. Mógłbyś rzucić okiem, kochanie?

– Jasne. Proszę otworzyć maskę – polecił.

Bea zanurzyła się pod kierownicę, gdzie wymacała odpowiednią dźwignię. Flora wysiadła z samochodu i stanęła obok Calluma. Bea widziała ich kolorowe kurtki w szparze pod otwartą klapą maski. Kuzyni. W innym życiu tych dwoje brałoby razem kąpiel i, siedząc koło siebie u niej na balkonie, wsuwałoby zgodnie lody.

– Dobrze się pani czuje? Może przynieść wody? Błado pani wygląda. Wszystko w porządku? Mój ojciec jest lekarzem. Może go zawołam? Na pewno nie będzie miał nic przeciwko temu. – Tym razem Moira zwracała się bezpośrednio do niej. Nie było jak uciec od odpowiedzi.

Podniosła głowę i spojrzała na nią przez okno.

– Nie! Nie. – Starła się stłumić nutę paniki w głosie. – Ale dziękuję bardzo. Wszystko okej. Jestem trochę rozbita z powodu różnicy czasu. – Głos zadrżał jej niebezpiecznie. *Błagam, Boże, nie idź po ojca. Nie może mnie zobaczyć za żadne skarby!*

– Panie są z Australii?

Bea kiwnęła głową.

– Tak, z Sydney. Przyjechaliśmy na wakacje.

– No, to dopiero pomysł! W Sydney jest chyba teraz pełnia lata, prawda?

Bea znowu kiwnęła.

– A panie wybrały to? – Wykonała niesprecyzowany ruch ręką w stronę szarego nieba, które wyglądało, jakby lada chwila miało lunąć deszczem.

– Tu jest bardzo pięknie.

– No, to prawda. Pójdę po wodę. Zaraz wracam!

I pod wpływem impulsu Moira pogłaskała Beę po ramieniu. Pogłaskała ją, kobietę, która mogła sprowadzić smutek i cierpienie na całą jej rodzinę. W miejscu, gdzie musnęły ją palce Moiry, pozostało uczucie ciepła, jakby jej dotyk wypalił Bei na skórze niewidzialny tatuaż. Patrzyła, jak kobieta pokonuje alejkę i wchodzi do domu. Wydawała się spokojna i szczęśliwa. Szczęśliwa córka. Miła, szczęśliwa kobieta.

Bea odpięła pas i wysiadła. Stała obok Calluma, który sprawdził chłodnicę przy silniku, a następnie wysunął umorusany olejem bagnet.

– Ma pani jakąś szmatę, coś, żeby to wytrzeć? – zapytał burkliwie.

– Sekundę. – Flora wsadziła głowę do wnętrza samochodu.

Przez kilka cennych chwil Bea znalazła się z Callumem sama.

– Jesteś mechanikiem? – Sama nie wiedziała, czemu o to pyta.

– Nie! – Roześmiał się. – Mam dopiero piętnaście lat! Ale mnóstwo razy przyglądałem się tacie.

– Aha. A on jest mechanikiem? – Bea zająknęła się przy tym pytaniu, walcząc z przyspieszonym oddechem i falą gorąca na twarzy. Nie powinna tak dopytywać, to było nie na miejscu. Miała wrażenie, że wyciągając każdy okrucieństwo informacji, obrabowuje z czegoś Margaret, a to nie było w porządku. Już dość jej w życiu zabrała.

– Prawdę mówiąc, nie. Mój tata jest w wojsku, a dziadek jest lekarzem.

– Proszę bardzo! – Moira stanęła przy nich i wręczyła jej wysoką szklanekę wody. – O rany, pani się cała trzęsie! Proszę wracać do samochodu. I proszę się nie martwić, Cał zaraz coś tu poradzi. Prawda, skarbie?

Callum nie odpowiedział, bo wpatrywał się w niewielki wacik, który Flora wydobyła dla niego z głębin swojego plecaka. Zwisający z niego sznureczek nie pozostawiał cienia wątpliwości co do przeznaczenia owego rekwizytu.

– Fuj! – Callum wziął go do ręki z obrzydzeniem.

– Co? – Flora przewróciła oczami. – To tylko kawałek bawełnianej waty.

Moira zachichotała, zasłaniając sobie usta dłonią.

– Oj, nie mogę, Cal, ale masz minę! Przy ojcu wojskowym i samych facetach w domu nieczęsto mamy okazję widywać takie rzeczy! Ja jestem w mniejszości.

– Wiem, o czym pani mówi. Też mam syna – wyszeptała Bea. *Który jest twoim bratem, ma na imię Wyatt i wygląda zupełnie jak ty.*

Flora wstrzymała oddech w obawie, że babcia się zagalopuje i wyjawi coś, czego mogłaby później żałować. Martwiła się niepotrzebnie.

– Moja wnuczka nie zdaje sobie sprawy. Nic już dziś nie jest tabu. – Bea się uśmiechnęła.

– O, dzisiaj oni wszyscy są tacy – zauważyła Moira uprzejmie.

– Halo, jestem *tu*. I wszystko słyszę! – Flora zaznaczyła, biorąc się pod boki. Była zadowolona, że wreszcie udało jej się znaleźć zastosowanie dla ekwipunku, który nosiła ze sobą w torbie od przeszło roku.

– Nie masz nic innego? – zapytał Callum, z miejsca niespokojny, co jeszcze mogłaby znaleźć.

– Nie. Użyj tego, będzie w sam raz!

Moira i Flora wybuchnęły śmiechem na widok jego zmieszania. Bea śmiała się także, ale nie tyle z chłopca, który spieszył się na widok tamponu, ale z faktu, że stali tak sobie we czwórce, wygłupiając się i żartując, dokładnie jak w jej tęsknych fantazjach, a przy tym nie mając pojęcia, jak są sobie bliscy. Niebываłe.

– Dobrze, ja muszę uciekać, bo mi rozmarzną zakupy. – Moira zrobiła krok w tył. – Zostawiam panie w złotych rękach Calluma.

– Nie! Chwileczkę! – Bea miała świadomość, że krzyknęła to o wiele za głośno. Wszyscy spojrzeli na nią. Uplłynęła cała długa sekunda, zanim udało jej się odzyskać głos.

– Pani szklanka. – Bea oddała ją Moirze. *Nigdy nie chciałam skrzywdzić ciebie ani twojej mamy. Nigdy. Dowiedziałam się o tobie, kiedy już było za późno. Kochałam go. Ciągle go kocham.*

– Trzeba dolać oleju, uzupełnić wodę i po sprawie. Zalało silnik i przez to jest wychłodzony. – Callum przyjął ekspercki ton. Bea dosłyszała w nim apodyktyczną nutkę i zrobiło jej się go żal. Brzmiał tak samo jak Flora. Stali koło siebie, obydwójce niemal identycznego wzrostu i budowy ciała, każde z burzą gęstych, karmelowych włosów.

– Dobra. Dziękuję ci bardzo. – Bea zwolniła podpórkę i zatrzasnęła maskę. – Dziękuję, że się tym zająłeś.

– Nie ma problemu. Wesołych świąt. – Callum pomachał im na pożegnanie, po czym wyciągnął z kieszeni telefon i ruszył alejką do domu.

Bea wyobraziła sobie siebie krzątającą się po tej kuchni. „Wszystko w porządku, Cal? Idź i usiądź z dziadkiem przy kominku”. Uśmiechnęła się.

– Wesołych świąt.

Przekręciła kluczyk i uruchomiła silnik. Wypuściła powietrze z ulgą, zerknęła w stronę pola golfowego, po czym jeszcze raz obejrzała się na dom Johna. Najwyższy czas dać tej rodzinie spokój i pozwolić im bez przeszkód szykować się do świąt.

Jechały w ciszy przerywanej jedynie chlupaniem Bei. Flora wyciągnęła rękę i położyła ją babci na ramieniu.

– To było megadziwne!

Bea kiwnęła głową. Tak.

– Ale się denerwowałam. Myślałam tylko o tym, czego nie mogę powiedzieć i musiałam

cały czas gryźć się w język. – Flora wypuściła powietrze.

Bea nie zwracała uwagi na jej trajkotanie, pogrążona w natłoku myśli zaprzatających jej głowę.

– Widziałam go! Naprawdę go widziałam! – Przyłożyła sobie rękę do brzucha, próbując opanować nerwowe uczucie mdłości.

Flora skinęła głową.

– Mhm.

– Fajna rodzina, co? Wszyscy pomagali Moirze z zakupami i byli dla nas mili. A Callum naprawił nam samochód.

– No. – Flora także odpłynęła myślami do innego życia. Życia, w którym znalazłby się Callum i Moira, i inni – rodzina, o której zawsze marzyła. Byłoby fantastycznie. Może mogłoby się zaprzyjaźnić i wtedy nie potrzebowałaby już głupiej Lori.

– Fajnie by było mieć dużą rodzinę, jak myślisz, Bea? Miałabym braci i siostry, ciotce i wujków, i mnóstwo kuzynów do rozrabiania, byłoby super.

– Tak. – Bea przełknęła ślinę.

Flora się uśmiechnęła.

– Nie przypuszczałam, że ich dziś zobaczymy, a ty? Nie mówiąc już o tym, żeby porozmawiać. Ale udało się. Powiedziałyby, że misja została wykonana, co?

Bea ponownie skinęła głową, bo nagły przypływ emocji odebrał jej głos. Pokonały niewielką odległość do miasta i zostawiły samochód.

Bez uzgadniania ruszyły Princes Street i znów zapuściły się w głąb ogrodów, które stały się już stałym elementem ich wycieczki. Flora opadła na jedną z ławek stojących wzdłuż alejki i oparła się z głową odchyłoną do tyłu. Objęła się za ramiona i zapatrzyła w niebo.

– Jestem wykończona. – Bea stopniowo odzyskiwała równowagę. – Dziękuję, że pojechałaś tam dziś ze mną, Flora. Nie wiem, co bym zrobiła, gdyby cię tam nie było. Ani na chwilę nie straciłaś głowy i pokierowałaś wszystkim tak jak trzeba.

Flora puściła komplement mimo uszu.

– Cóż, żeby już całkiem oddać sprawiedliwość, to beze mnie siedziałabyś teraz pewnie w Surry Hills z Taitem i z Kim!

– Bardzo prawdopodobne.

– Dziwnie mi z tym, że poznałyśmy przyrodnią siostrę mojego taty i widziałyśmy jego ojca, a on nic o nich nie wie.

– Wiem. Powiem mu. Powiem mu o wszystkim. Powinam, prawda? Już najwyższy czas. Zwłaszcza teraz, kiedy ty już wiesz.

Flora skinęła głową.

– Nie widziałyśmy żony Johna.

– To prawda. – Bea się zawahała. – Może była gdzie indziej, w środku lub na zakupach. Bałam się, że też zaraz wyjdzie. Matko, to by było okropne. – Zamknęła oczy i ukryła twarz w dłoniach, wciągając głęboko mroźne, rześkie powietrze.

– Wiesz, Bea, cieszę się, że tu przyjechałyśmy.

– Wiem. Ja też. Jest wspaniale, prawdziwa karuzela emocji. Po raz pierwszy od dawna czuję, że żyję.

– No ale to było jednak trochę dziwne, nie? Pogadałyśmy z Moirą, zobaczyłyśmy Johna. Jaki ci się wydał?

Niespodziewanie po policzkach Bei znów popłynęły łzy.

– Nigdy tego nie zapomnę. Ani chwili. Ma więcej siwych włosów, rzecz jasna, ale jego sylwetka praktycznie się nie zmieniła. Nie dla mnie. Wyglądał przepięknie i musiałam siłą

powstrzymywać się, żeby do niego nie pobiec. – Zaciśnęła usta, próbując opanować szloch. – Wszystko jest teraz zupełnie inaczej.

– Jak to?

– Przez całe lata zamartwiałam się o niego, że nasz związek mógł mu przysporzyć kłopotów. Zastanawiałam się, czy ułożył sobie sprawy rodzinne, czy byli razem szczęśliwi... A może zmarł jeszcze młodo, może miał wypadek? Wiem, że to brzmi głupio, ale te pytania chodziły za mną przez ostatnich trzydzieści kilka lat. To, że nie mogłam dostać odpowiedzi, było nie do zniesienia.

– Musiało cię to doprowadzać do szału.

– Owszem, i to nie raz. A dzisiaj, wreszcie, po tylu latach, przekonałam się, że nie muszę się o niego niepokoić. Jest szczęśliwy. Wyglądał świetnie, piękny mężczyzna z cudowną rodziną i wspaniałym domem. Mogę przestać się martwić. *Nareszcie*. Co za ulga! Nic mu nie jest i jest szczęśliwy!

– A nie miałaś ochoty wyskoczyć z samochodu i z nim porozmawiać?

Bea wzdrygnęła się i ciaśniej otuliła się płaszczem.

– Pewnie, że miałam. Bardziej niż możesz to sobie w ogóle wyobrazić. Ale po co? Tylko dlatego, że ja tego potrzebuję? On ma swoje życie i dobrze mu z tym. Jest takie powiedzonko, które Peter lubił powtarzać: „Wszystko, co potrzeba, to dosyć”. A on ma już wszystko, czego mu potrzeba. Po co miałabym teraz komplikować mu życie? To boli, ale muszę się z tym pogodzić.

– Skąd wiesz, że mu z tym dobrze?

Bea zaśmiała się.

– Flora, ludzie, którzy nie są zadowoleni, wiecznie się gdzieś spieszą. Bez przerwy gdzieś wyjeżdżają, zmieniają pracę albo się przeprowadzają, ciągle za czymś gonią. Bo wydaje im się, że szczęście czeka na nich gdzieś indziej. A on bez pośpiechu wysiadł z samochodu, pośmiał się z rodziną, pomagał wносить zakupy. Wyglądał na zadowolonego.

Bea uśmiechnęła się do wnuczki, po czym zamknęła oczy, żałując, że jej życie nie potoczyło się inaczej, choć wiedziała, że tak było lepiej. Mogła teraz wrócić do Sydney ze świadomością, że on jest szczęśliwy, i życząc jemu i jego wspaniałej rodzinie wesołych świąt i wszystkiego dobrego.

Flora dźwignęła się z oparcia ławki i podciągnęła kolana pod brodę, obejmując się ramionami za łydki. Bea popatrzyła na wypustki kręgosłupa rysujące się pod jej grubą kurtką. Nachyliła się i pogłaskała wnuczkę po plecach.

– Cieszę się, że jesteś tu ze mną, Flora. Nie wyobrażam sobie, że mogłabym to zrobić bez ciebie. Chciałyśmy zbliżyć się do siebie i chyba nam się udało, nie uważasz?

– Tak – odrzekła Flora i zawahała się. – Jest genialnie. I ja też czuję się lepiej. Chciałabym, żeby z mamą i z tatą wszystko było jak dawniej. Smutno mi, kiedy o nich myślę.

– A jak sądzisz, dlaczego?

Flora wzruszyła ramionami i zaczęła obgryzać paznokcie.

– Wydaje mi się, że każdy miał trochę racji. Dałam się wpackować w tę całą historię, chociaż wiedziałam, że to nierozsądne. Ale mnie nie zależało na rozsądku. Zależało mi, żeby mnie lubili.

– Rozumiem to, kochanie.

– A teraz, kiedy zobaczyłam dzisiaj tych ludzi i kiedy opowiedziałas mi, przez co z tatą musieliście przejść, to rozumiem, jakie w sumie mam szczęście i że trzeba dbać o rodzinę, którą się ma. Nie chcę, żeby rodzice się o mnie martwili. – W jej oczach błysnęły łzy.

– Jesteś bardzo rozsądna, skarbie i zapewniam cię, że wszystko się ułoży. Poczekaj, to zobaczysz.

Flora kiwnęła głową.

– Wiem. I miałam rację, wiesz? Jesteś naprawdę fajną babcią.

– Tego nie wiem, ale teraz jestem na pewno przemarzniętą babcią. Wracamy do hotelu na herbatę?

– Okej. – Flora wstała i wsunęła jej rękę pod ramię, po czym obie ruszyły Princes Street w kierunku Balmoral.

Piętnaście

Flora pognęła przodem, przeskakując po dwa stopnie naraz i jak bomba wpadła w drzwi obrotowe. Leciała do łazienki, więc umówiły się w restauracji na popołudniową herbatę.

Bea weszła z lodowatego dworu do ciepłego holu hotelowego. Jak zawsze zachwyciła ją majestatyczna wręcz dostojność jego wnętrza. Powiodła wzrokiem dookoła, podziwiając bogaty żyrandol, łukowate schody i rozłożysty fortepian. Uśmiechnęła się do mijanych pracowników obsługi, gdy nagle jej wzrok padł na znajomą postać.

– Alex! Jaka miła niespodzianka! Mam nadzieję, że niedługo czekasz. Poszliśmy do parku odmrozić sobie zadki i poukładać pewne rzeczy w głowach. – Przypatrywała mu się spod zmrużonych powiek trochę zmieszana, zastanawiając się, czy aby nie zapomniała, że się na dziś umówili.

Alex popatrzył na nią z powagą.

– Musimy porozmawiać, Bea.

– Jasne, oczywiście. Coś się stało?

– Może pójdziemy na herbatę? – Ujął ją za łokieć i skierował w stronę restauracji.

W milczeniu usiedli naprzeciwko siebie przy odosobnionym stoliku w głębi sali i zamówili dwie filiżanki earl greya.

Beę niepokoił jego sztywny sposób bycia i zachodziła w głowę, czy go czymś nie uraziła i czego mógł od niej chcieć.

– Alex, muszę przyznać, że zaczynam się bać. Taki jesteś poważny! – próbowała żartować.

Kiedy tak doszukiwała się w tym raczej spiętym mężczyźnie wczorajszego zgrywusa, na salę wpadła Flora.

– Cześć, Alex!

– Cześć, cukiereczku. Miałem właśnie zamiar zafundować twojej babci popołudniową herbatkę. Nie obrazisz się, jeżeli poproszę, żebyś zostawiła nas na pół godziny? O ile nie masz nic przeciwko temu, Bea.

– Nie. – Bea poprawiła sobie bransoletki na ręce. Czowała się skołowana i jakby w pułapce. – Idź do pokoju, Flora. Możesz sobie pooglądać telewizję i masz tam jakieś przekąski. Ja za chwilę przyjdę. Jakbyś czegoś potrzebowała albo by ci się nudziło, to cały czas jestem tutaj.

– Okej. – Flora wzruszyła ramionami i wyszła z restauracji.

– Co się, u diabła, dzieje? – zapytała Bea dość surowym tonem.

Alex przesunął sobie palcami po włosach i powoli wypuścił powietrze.

– Naprawdę nie wiem, od czego zacząć. Po pierwsze uważam, że jesteś fantastyczna. – Posłał jej krótki uśmiech.

– O rety, nie przyszedłeś mi się chyba oświadczyć! – Roześmiała się.

Alex mówił dalej, jakby nie słysząc dowcipu:

– Bardzo brakuje mi Roberta. Wiedziałem to od razu, jak tylko go zobaczyłem. Nie wiedziałem, co wiedziałem, ale wiedziałem, że *coś* się dzieje, wiedziałem, że ten facet będzie kimś w moim życiu.

– To wspaniale, Alex. Naprawdę obojdwaj mieliście wielkie szczęście. – Bea zastanawiała się, do czego on zmierza.

– To prawda. Dziękuję. – Uśmiechnął się do kelnera, który rozkładał na stoliku czajniczki i filiżanki. Srebrne siteczka leżały każde na osobnym, czystym spodeczku, a do cytryny podano

malutki widelczyk do nabijania plasterków.

Bea nalala sobie herbaty i przyglądała się, jak jej towarzysz robi to samo dygoczącymi rękami.

– Kiedy powiedziałem w domu, kim jestem... Cóż, mój ojciec był wspaniały. A mama... Jakby to powiedzieć... Musiała się z tym pogodzić. Ale to zmieniło stosunki między nami. Jakby spadła jej jakaś maska. Łatwo się mówi o bezwarunkowej miłości do czasu, kiedy faktycznie nadchodzi chwila próby.

Bei podobało się, jak to ujął.

– Pewnie tak. Moim zdaniem człowiek kocha tego, kogo kocha i jeżeli ta druga osoba odwzajemnia uczucie, to to jest najwspanialszy dar na świecie. Tylko to się naprawdę liczy. Miłość rzeczywiście popycha świat do przodu, jak w tym powiedzeniu. Mieszkam w Sydney na tyle długo, żeby wiedzieć, że miłość może przybierać najróżniejsze postacie.

– O Boże, a więc jesteś jedną z tych do znużenia wyrozumiałych, wszystko wybaczących matek? – Alex uśmiechnął się z wczorajszą iskrą w oku.

– A, rozumiem. Taką, co to nic jej nie bulwersuje i nie sposób się przy niej zbuntować?

– Dokładnie. – Alex łyknął herbaty. – Powiedziała mi, że ze zbyt wielu rzeczy rezygnuję i że jestem za młody, żeby rozumieć, czego sam chcę od życia. Już myślałem, że zaraz powie mi, że to przejściowe. – Wzniósł oczy do sufitu.

– Pewnie trudno jej było po prostu to zaakceptować. I jest w tym jednak jakieś ziarno prawdy.

– Co masz na myśli?

– Matka zawsze chce, żeby jej dziecku wszystko układało się w życiu jak najłatwiej. Żeby wszystko mu się udawało, żeby było szczęśliwe. I trudno jest się pogodzić z tym, że dziecko samo często wybiera drogę pod górkę. Twoja orientacja seksualna nie ma tu nic do rzeczy, co to kogo w ogóle obchodzi? Ale w ten sposób narażasz się na prześladowanie. Myśl, że twoje dziecko choćby przez sekundę miałoby cierpieć z powodu głupoty czy fobii jakichś innych ludzi, że zetknie się z nienawiścią i odrzuceniem, może być bardzo trudna do zniesienia. Pewnie bała się, że może ci być ciężko.

– Komu nie jest? – Alex zamrugał.

– To fakt. – Uśmiechnęła się, odstawiając uważnie filiżankę na spodek.

– Mój ojciec był niesamowity. Przytulił mnie i powiedział, że kocha mnie od dnia, kiedy się urodziłem, i będzie mnie kochał aż do śmierci, i że absolutnie nic tego nie zmieni.

– To piękne.

– A kiedy poznałem Roberta i powiedziałem tacie, jak się czuję, że tylko na niego spojrzałem i od razu wiedziałem, to on odpowiedział, że rozumie, bo jego też coś takiego spotkało.

Bea kiwnęła głową z lekkim roztargnieniem, bo zastanawiała się, czy aby nie powinna zajrzeć do Flory.

– Powiedział, że to się stało, kiedy był już żonaty z moją mamą.

– Biedna!

Alex spojrzał na nią.

– Tak. Nigdy się nie dowiedziała. Umarła dziesięć lat temu.

– Tak mi przykro. – Położyła mu rękę na ramieniu i uściśnęła lekko współczującym gestem.

– Jakiś rok po jej śmierci powiedziałem ojcu, że powinien spróbować znaleźć szczęście, znaleźć prawdziwą miłość. Nigdy nie zapomnę, co mi odpowiedział. Byliśmy w ogrodzie. Ojciec przycinał bluszcz w roboczych rękawicach i swoim starym kapeluszu do krykieta. Powiedział:

„Już raz znalazłem miłość i od tamtej pory jest ze mną cały czas. Nie muszę niczego szukać, noszę ją w sobie, tutaj” i przyłożył dwa palce do piersi, i postukał jakby w rytmie serca. – Alex urwał na chwilę. – Myślałem, że mówi o mojej mamie, ale nie. – Spojrzał jej prosto w oczy. – Okazało się, że mówił o bardzo krótkiej, ale niesłychanie intensywnej miłości, którą spotkał, kiedy ja i moja siostra byliśmy jeszcze mali, a on pracował przez jakiś czas z dala od domu.

Bea nie mogła oddychać. Udawało jej się nabierać powietrza, ale nie mogła go w całości wypuścić. Wpatrywała się w Alexa, także wyraźnie wzruszonego.

– Powiedziałem mu, żeby jechał i znalazł ją, tę kobietę, którą nosił w sercu.

Bea nie mogła opanować łez, które gwałtownym strumieniem zalały jej twarz. Przełknęła ślinę, bo głos uwiązł jej w gardle.

– I dlaczego tego nie zrobił? – zapytała głucho.

– Zrobił. Pojechał tam. Pojechał na drugi koniec świata i ją odnalazł. Odszukał jej adres i dowiedział się, że jest mężatką i że ma syna.

Bea przycisnęła serwetkę do twarzy. *O, Boże! Boże, John. Nie mogę w to uwierzyć, nie mogę...*

Alex sięgnął przez stół po jej dłoń.

– Został tam kilka dni, podpatrując, jak sobie żyje. Chciał się tylko upewnić, że jest szczęśliwa, zobaczyć, gdzie mieszka. Nie chciał jej mącić w życiu, zwłaszcza kiedy dowiedział się, że ma męża i syna. Zobaczył ją szczęśliwą, usłyszał jej śmiech. Była tak samo piękna, jak ją zapamiętał. Przyglądał się jej w Manly, jak bawi się na piasku z małą dziewczynką...

Flora, moja malutka Flora.

– A potem zobaczył ją z synem, który wyglądał tak znajomo, że nogi się pod nim ugięły. Powiedział, że wygląda zupełnie jak Moira, moja siostra bliźniaczka. Ale nie jak ja, Xander. Alexander.

Bea nie mogła wydobyć głosu. W nosie jej bulgotało, a z oczu lały się łzy. *To się nie dzieje naprawdę. To nie może być prawda.*

– Od tej pory zbierał wszelkie informacje o niej. O Beatrice Greenstock, dawniej Beatrice Gerraty. Czytał wszystkie wycinki na jej temat, wszystko, co znalazł: ogłoszenia w gazecie, artykuły o jej działalności, cokolwiek, do czego miał dostęp na odległość. A potem, któregoś dnia dowiedział się, że jej wspaniały mąż, który ją uszczęśliwił, umarł. Odczekał rok i poprosił mnie, żebym nawiązał z nią kontakt. Zaproponował, żebym zaprosił ją do mojego forum. I zaczął do niej pisać.

Bea podniosła głowę i pociągnęła nosem.

– To on do mnie pisał?

– Tak. To z nim rozmawiałaś, zaprzyjaźniłaś się i wymieniałaś szczegóły na temat swojego życia. Nie ze mną. Nie dało się go oderwać od komputera, siedział tam dzień i noc i czekał na e-mail od ciebie. To on lubi chodzić na spacer i pewnie pisze o mgłach nad wrzosowiskiem i uśpionych jeziorach. – Uśmiechnął się.

– O, Boże. Brak mi tchu... – Bea odwinęła chustę i masowała sobie szyję rękami.

– Zastanawiał się, jak to rozegrać, jak ci powiedzieć, kim naprawdę jest, a tu nagle ty postanowiłaś przyjechać! Zupełnie mu odbiło z radości i z niepokoju. A potem, dzisiaj, znienacka Moira opowiedziała mu o pewnej kobiecie, której się zepsuł samochód, która przyjechała z Australii i mieszka w Balmoral...

– Ja... Nie wiem, co powiedzieć. Ja nie... Nie mogę w to uwierzyć! To nie do wiary. – Bea ze wszystkich sił starała się dojść do siebie. – Myślałam, że na tym się skończy. Tylko go zobaczę i wystarczy. I wystarczyło! Przekonałam się, że jest szczęśliwy.

– Nie gniewaj się na nas, proszę.

Gwałtownie pokręciła głową.

– Nie... gniewam się, tylko... Jestem po prostu ogłuszona, przerażona, szczęśliwa i nie wiem, co jeszcze!

– Bea, on tu jedzie.

– Co? – Wyprostowała się gwałtownie i patrzyła na niego przez stół zmrużonymi oczami, nie mogąc zrozumieć, co mówi.

– Jedź się z tobą spotkać. Będzie czekał w Świątecznej Kawiarence.

– O, Boże!

Alex wziął Beę za rękę, poszli do pokoju po Florę, a potem wszyscy troje powędrowali do kafejki przy Royal Mile.

– Co mnie ominęło? – dopytywała Flora ciekawa szczegółów i trochę zaniepokojona dziwnie odwrętywałym zachowaniem babci.

– O, moja droga, jesteś mocno do tyłu! – Alex roześmiał się i zakręcił nią w kółko. Poruszali się niemal w podskokach, zostawiając za sobą ślady na świeżym śniegu.

Gdy dotarli na miejsce, Alex wpuścił je do środka i zapalił lampy. Flora aż podrygiwała w miejscu.

– Rany, Bea! On cię odnalazł! Odnalazł cię! Pomyśl tylko, gdybyś nic nie zrobiła, to nie zdarzyłoby się, a tak, on cię odnalazł! – Była całkowicie zauroczona romantyzmem sytuacji i wizją spotkania dwojga dawnych kochanków.

– Chodź, Flora. Pójdziemy na górę pooglądać sobie telewizję. Trzeba dać im trochę prywatności. Cała kawiarnia jest do waszej dyspozycji, Bea. – Alex pochylił się, żeby zebrać z podłogi naburmuszonego kota, który obrzucił Beę pogardliwym spojrzeniem, a następnie odwrócił głowę w inną stronę. – Tak, Profesorze Richards, to jest ta pani, o której ci mówiłem, co to nie bardzo przepada za kotami.

– O, przepraszam! – Bea pospieszyła z wyjaśnieniem. – To nie to, że nie przepadam, po prostu sama ich nie mam! – Nie było do końca jasne, czy kierowała przeprosiny bardziej do Alexa czy Profesora Richardsa.

Alex podrapał kota za uchem.

– Nie przejmuj się, Bea. Profesor Richards także za tobą nie bardzo przepada, powiedział mi. – Uśmiechnął się. – Co za ulga, że się na mnie nie gniewasz. Bałem się, że może Mały Kliczko odziedziczył po tobie swoje bokerskie zapędy i że jak się dowiesz, to spuścisz mi zdrowy łomot! – Westchnął. – Tak się cieszę, Bea. To coś niesłychanego. Zupełnie jak bajka. – Zagryzł usta, jakby to miało mu pomóc opanować łyzy.

– Mogę zapytać, skąd się wzięło nazwisko McKay?

– To nazwisko Roberta – odparł cicho.

– No tak. – Urwała na moment. – A co na to wszystko Moira?

– Moira chce, żeby tata był szczęśliwy. Oboje tego chcemy. – Zagarnął ją w swoje ciepłe objęcia. – Poczekaj, zdejmij płaszcz. – Alex zsunął jej okrycie z ramion i zachęcił, żeby podeszła bliżej do kominka, na którym traskał ogień. – Wyglądasz wspaniale. – Zrobił krok do tyłu i obrzucił pełnym podziwu spojrzeniem jej wąskie dżinsy i luźną, kremową bluzkę z jedwabiu. – Nie wiedziałem, co zrobić do jedzenia, więc przygotowałem wam kilka przekąsek: ser, ciasteczka owsiane, sos czatni i takie tam. – Zakrzętnął się, ustawiając solniczkę i pieprzniczkę w równym rzędzie i obracając miniaturową choinkę na stoliku tak, żeby wszystko prezentowało się jak najlepiej. – Będziemy na górze, jakby czegoś wam było potrzeba. Czegokolwiek. Wystarczy wrzasnąć albo walnąć w sufit i jestem, zanim zdążysz wymówić „Jack Flash”! – Podniósł w górę ostrzegawczy palec, jak gdyby miała piętnaście, a nie pięćdziesiąt lat.

– Dziękuję, Alex. Dziękuję ci za wszystko. – Wzruszyła ją jego serdeczność.

Puścił do niej oko, po czym zgarnął paplającą Florę i oboje zniknęli na schodach.

Bea przez chwilę przyglądała się otwartej butelce czerwonego wina stojącej na jednym z krzeseł przed kominkiem, niezdecydowanie rozpinając i zapinając górny guzik bluzki. Z jednej strony nie chciała wyglądać zbyt oficjalnie, ale z drugiej nie miała ochoty odsłaniać swojego przekwitłego dekoltu. Odgarnęła włosy za uszy, ale zaraz znów pozwoliła im swobodnie opaść. Serce waliło jej jak oszalałe, a ręce się pociły. Miała wrażenie, jakby właśnie przebiegła maraton i musiała opanować zadyszkę.

Powoli wypuściła powietrze i spróbowała się uspokoić. *Na litość boską, kobieto, przecież on wie, że się postarzałaś. Weź się w garść!*, krzyczał jej wewnętrzny głos i Bea skinęła głową. *Jedź tu! John, twój John jedź do ciebie, dokładnie w tym momencie! Lada chwila znowu go zobaczysz!* Ponownie kiwnęła głową, nadal nie mogąc uwierzyć, że Alex to nikt inny jak Xander. Czuła się jednocześnie skołowana i uradowana.

Zamknęła oczy, żeby spróbować się wyciszyć i spokojnie nad wszystkim zastanowić, ale gdy tylko zdążyła nabrać głęboko powietrza, u drzwi rozległo się delikatne pukanie. Poprawiła bransoletki, przywołała swój najbardziej neutralny wyraz twarzy, wstała i ruszyła do wejścia. Szła wolno, z jedną drżącą ręką przyłożoną do ust, ciągle nie mogąc pojąć, co się dzieje. Odemknęła zasuwkę, cofnęła się i otworzyła drzwi.

Stojący przed nią mężczyzna był tak piękny, a jego widok tak niespodziewany, że Bea straciła oddech i serce jej zamarło. Poczowała miękkość w kolanach i ogarnęły ją nagłe zawroty głowy. Przycisnęła rękę do piersi w obawie, że zemdleje. Drżała na całym ciele, a świat wokół niej przestał istnieć. Widziała tylko tego mężczyznę na ulicy wśród płatków śniegu, które osiadały mu na ramionach. *To ty! Jesteś prawdziwy i jesteś tutaj!* Postąpiła do przodu, aż dzieliło ich zaledwie kilka kroków.

– Mój Boże! – szepnął. – Beatrice...

Bea wolno skinęła głową.

– John. – Po raz pierwszy od dziesięć lat zwróciła się do niego naprawdę, a nie tylko w myślach.

Oboje byli porażeni, niezdolni wykrztusić słowa i trochę onieśmieleni. Nie było miejsca na wymianę błahych uprzejmości. Jakoś absurdalnie byłoby rozprawiać o pogodzie albo planach na święta, kiedy w każdym z nich kipiał wulkan emocji.

Bea cofnęła się i wpuściła go. Szybko zajęli miejsca przy kominku, rzucając sobie ukradkowe spojrzenia i próbując na nowo odkryć swoje rysy, zmienione przez czas i życie.

– Rozpoznałeś mnie? – wyszeptała ze wzrokiem utkwionym w swoje dłonie splecione na kolanach, zastanawiając się, czy zauważył siatkę kurzych łapek w kącikach jej oczu, luźną skórę pod brodą i posiwiałe włosy.

– Miałem dziś jakieś dziwne wrażenie... Widziałem cię tylko przelotnie, ale coś mnie tknęło. Coś mi się nie zgadzało, sam nie wiedziałem co. Dopiero kiedy Moira powiedziała, że jesteś z Australii, wszystko stało się jasne. – Położył sobie rękę na sercu. – Wyczułem cię.

Na te słowa Beę przeniknął dreszcz. *Ja też cię czułam każdej nocy z daleka od ciebie i kiedy wzięłam na ręce nasze nowo narodzone dziecko, gdy patrzyłam, jak stopniowo coraz bardziej przeobraża się w swojego ojca.*

– Nie miałam zamiaru pakować się w twoje życie, John, ani w żaden sposób naruszać spokoju twojej rodziny. Nie chcę ci sprawiać kłopotów. Chciałam cię tylko zobaczyć. Nie sądziłam...

– Wszystko w porządku. Naprawdę. – Przerwał jej. – Margaret zmarła dziesięć lat temu. – Wypowiadając jej imię na głos, przełamał jakieś tabu, otwarcie nazwał powód dręczącego oboje poczucia winy i odpowiedział na niezadane pytanie. Jak on to napisał w swoim mailu? „Wiem,

jak to jest, jedziemy na tym samym wózku. Dla mnie to już ponad dziesięć lat”. No jasne. Zapomniał, że jest Alexem i napisał prawdę. Dziesięć lat to była jego prawda.

– Alex mi powiedział. Przykro mi. – Bea z niesmakiem zdławiła przyływ radości.

John przyjął jej współczujące słowa ze szczerym uśmiechem.

– Kiedy odeszła, wszystko się dla mnie zmieniło. Ciągle o tobie myślałem, chyba wreszcie poczułem, że mi wolno. Chciałem spróbować nawiązać z tobą kontakt, ale nie miałem odwagi. Więc postanowiłem zrobić to po cichu. Bałem się, że mógłbym niepotrzebnie namieszać ci w życiu.

Bea szybko skinęła głową. Sama miała przecież te same obawy.

– Widziałem cię, Bea. I widziałem twojego syna. – Wpatrywał się w nią, czekając na potwierdzenie.

Bea spoglądała na niego bez słowa.

Obrócił się na krześle, żeby patrzeć wprost na nią.

– Musimy porozmawiać, poważnie porozmawiać. – Jego ton był łagodny, ale stanowczy. – Niekoniecznie dzisiaj. Mamy teraz tyle czasu, ile tylko nam będzie potrzeba, nie musimy się spieszyć.

Bea przyglądała mu się, gdy wstał, zdjął płaszcz i szalik i przeszedł przez salę, żeby położyć je na pustym krześle. Zawładnęło ją przemożne pragnienie, żeby przypaść do niego, chwycić go z całych sił i już nigdy nie pozwolić mu odejść.

– Boże – westchnęła. – Nie wierzę, że tu jestem. – Zdawało się jej, że drży w niej każda komórka.

– Moja Beatrice – powiedział John i przylgnął spojrzeniem do jej twarzy. Patrzyli tak na siebie, siedząc naprzeciw ognia w Świątecznej Kawiarence.

Podniósł rękę i odgarnął jej z policzka niesforne pasmo włosów.

– To naprawdę ty? – zapytał, a jego oczy zmieniły się w uśmiechu w dwa przecinki, tak jak pamiętała.

Od dotyku jego dłoni na twarzy, zetknięcia z jego skórą, przebiegł przez nią ładunek elektryczny.

– Tak. To ja.

Doktor John Wyatt Brodie wstał i zrobił krok po skrzypiącej, drewnianej podłodze przytulnej kawiarenki. To był jeden krok, ale zawierał w sobie tysiące kilometrów i dziesiątki lat. Wyciągnął do niej dłoń i pomógł jej wstać. Bea ostrożnie podniosła ręce i wsunęła mu je na plecy, wtulając twarz w zagłębienie jego szyi pod brodą, od zawsze jakby stworzone specjalnie dla niej. Trwali tak przez kilka minut, rozkoszując się wzajemną bliskością i nie mogąc się nasycić swoim zapachem.

– W ciągu tych lat przyszło mi do głowy, że sam sobie to wszystko wymyśliłem, ciebie i tę całą historię. Moje uczucie do ciebie było takie silne, że aż nierealne – powiedział miękko.

Bea kiwnęła głową. Czuła dokładnie to samo.

– I nagle jesteś! – Odsunął się, żeby się jej przyjrzeć, ani na chwilę nie wypuszczając jej dłoni.

– Tak. Jestem. – Podniosła na niego oczy. – Zrobiłam się stara. – Uciekła spojrzeniem w dół.

– Ja też. I nie „stara”, a „starsza”. Ale to ciągle ty i ciągle... – Pokręcił głową, jakby z niedowierzaniem – Ciągle tak samo piękna.

Bea przelknęła pęczniący w niej balon radości.

– Mamy wino. – Usiadła przy stole, żeby zachować dystans. Jego bliskość była dla niej zbyt silna, bała się, że nie wytrzyma i ulegnie pokusie, żeby przylgnąć do jego skóry i nigdy się

nie oderwać.

John usiadł i wyciągnął przed siebie nogi skrzyżowane w kostkach.

– Xander jest na górze?

– Tak. – Ciągle trudno jej było połączyć człowieka, którego uważała za przyjaciela z małym Xandrem, o którym myśl towarzyszyła jej przez tyle długich lat.

– A gdzie Flora?

Zachwyił ją sposób, w jaki wymówił jej imię.

– Razem z nim, pewnie wyklócają się o pilota nad wielką michą popcornu.

– Miło zobaczyć, jak się nawzajem poznają.

– To prawda.

– Jak długo będę cię miał dla siebie? – zapytał John przez trzask rozżarzonych węgli.

– Dzisiaj? – zapytała w obawie, że on się gdzieś spieszy.

– Nie! – Roześmiał się. – Jak długo zostaniesz w Edynburgu?

– A! Jeszcze kilka dni. – Nie chciała na razie myśleć o wyjeździe. Jeszcze nie. To była jej wielka podróż na drugi koniec świata.

– Nie masz pojęcia, jak cudownie było dostawać e-maile od ciebie. Sama świadomość, że jesteś przed komputerem po drugiej stronie i piszesz do mnie! – Pokręcił głową.

– No, niezupełnie do ciebie. – Uśmiechnęła się niepewnie, myśląc o najbardziej intymnych sprawach, którymi się z nim podzieliła.

– Nie wiedziałem, jak ci powiedzieć. Nasze rozmowy sprawiały mi tak wielką radość. Fajne to było, prawda?

– Tak – przyznała. – Fajne. – Postanowiła nie wtajemniczać Johna w całą piramidę nieporozumień związanych z tym, że dopiero ostatnio uświadomiła sobie, że jej e-przyjaciółka jest w istocie mężczyzną, a teraz okazuje się, że do tego nie tym, tylko innym. *Przez cały ten czas to byłeś ty.* Nie mogła tego teraz spokojnie przepracować.

John powiódł wzrokiem po zdjęciach na ścianach.

– Lubię to miejsce. Lubię zastanawiać się, jak ci wszyscy ludzie spędzali Boże Narodzenie. Zawsze w czasie świąt myślałem o tobie. – Przyglądał się uchwyconym na fotografiach sytuacjom. Bea zastanowiła się, czy tak jak ona myślał teraz o tych wszystkich świątach, które spędzili osobno.

– Pamiętasz, jak zapytałam cię, czy Świąteczna Kawiarenka nazywa się tak tylko w czasie Bożego Narodzenia i czy zmienia nazwę na Wielkanocną, Walentynkową i tak dalej?

– Pamiętam! Spodobał mi się ten pomysł. – Roześmiał się.

– To ty wtedy do mnie pisałeś? – zapytała Bea.

– Tak. Pierwszy list, ten wysłany pocztą, napisał Alex. Początkowo sądziłem, że wystarczy mi, jeżeli pozwoli mi przeczytać waszą korespondencję, ale szybko okazało się, że to za mało. Więc przejąłem pałeczkę.

Przez kilka chwil siedzieli w milczeniu, wsłuchując się w posykiwania i trzaski szczap w palenisku.

– Nie mogę uwierzyć, że tutaj jesteśmy. Ciągle nie wiem, czy jesteś prawdziwy – wymruczała Bea.

– Jestem. – Sięgnął przez stół i wziął ją za rękę. Obojgu tak samo drżały palce, gdy próbowali przyjąć to, co się dzieje.

– Tak długo o tobie śniłam. Boję się, że zaraz się obudzę – wyszeptała.

– Ja mam ciągle jeden i ten sam sen. O naszej ostatniej nocy. Zasnęłaś...

– Nie zasnęłam!

– Zasnęłaś. – Pokiwał głową. – Na kilka minut. Trzymałem cię w objęciach i odpłynęłaś.

Patrzyłem, jak drżą ci powieki i kąciki ust i całowałem cię. Wspaniale było patrzeć, jak śpisz, choć wiedziałem, że to ostatni raz. Już na samą myśl pękało mi serce. Do dzisiaj często mi się to śni: jak leżysz uśpiona w moich ramionach. Wtedy wszystko jest na swoim miejscu. I wtedy budzę się i jestem naraz bardzo smutny i bardzo szczęśliwy.

– Och, John. A ja wyobrażałam sobie, że nie żyjesz. Mimo że to bolało, jakoś łatwiej było myśleć, że cię nie ma, niż że postanowiłeś żyć gdzieś w ukryciu przede mną.

– Nie, Bea, to nieprawda, że ukrywałem się przed tobą. Nie chciałem tylko zranić cię jeszcze bardziej. Nie mogłem znieść widoku tego bólu, który ci sprawiłem. – Przełknął ślinę. – Nie jest mi łatwo. Nie mam zwyczaju tak otwarcie mówić o tym, co myślę. Rzadko rozmawiam w ten sposób o moich uczuciach.

– Mnie też nie jest łatwo. Mam poczucie zdrady. I winy. – Bea przesunęła językiem po ustach, jakby chcąc się pozbyć nieprzyjemnego posmaku. – Miałam szczęście wyjść za wspaniałego człowieka.

John nabrał powietrza.

– Cieszę się, Bea. Cieszę się, że znalazłaś miłość i szczęście.

Kochałam go. Ale nie tak, jak kochałam cię. Bea potrząsnęła włosami, próbując uporządkować myśli.

– Miał na imię Peter. Zmarł rok temu, tuż przed świętami.

John uścisnął jej palce krzepiąco.

– Tak, wiem. I wiem, że nie mam żadnego prawa być zazdrosny, ale jestem.

– Kiedy wyjechałeś wtedy, tamtego ranka... – Bea przełknęła łzy, które uwięzły jej w gardle. Wiedziała, że musi jak najszybciej poruszyć ten temat, bo inaczej zawiśnie jak przepaść między nimi. – Myślałam, że umrę. Naprawdę. Byłam zdruzgotana, szalałam z rozpacz. To był fizyczny ból.

– Ja też nigdy nie czułem tak wielkiego smutku – rzekł John urywanym głosem. – Nienawidziłem się. Nienawidziłem się przez całe lata. Miałem wrażenie, że cię oszukałem, chociaż ani przez chwilę nie miałem takiego zamiaru. – Utkwił oczy w zarysowaniu na blacie stołu. – Miałem dwadzieścia trzy lata, to była moja pierwsza praca w zawodzie i znalazłem się tysiące kilometrów od domu pod tym cudownym słońcem. Nagle wyrosło przede mną tyle możliwości. To było tak, jakby... Jakbym się odnalazł. Jakbym był kimś innym i nagle odzyskał wolność i prawo do tego, żeby być młodym i zacząć wszystko od nowa. – Zerknął na nią. – Sam od siebie odsuwałem myśl o tym, co na mnie czeka w Szkocji, a tym bardziej nie potrafiłem powiedzieć o tym tobie.

– Musiało ci być trudno po powrocie do domu. – Bea zaryzykowała.

– Do domu – powtórzył John, potrząsając głową. – Nie czułem się jak w domu. Czasami to bardziej przypominało więzienie. Zawsze byliśmy z Margaret przyjaciółmi, ale między tobą a mną buchał taki ogień... – Urwał. – Nie, to nie w porządku. Więc przyjaźniliśmy się dalej, wychowywaliśmy dzieci. Moira też tu mieszka. Oboje są fantastyczni.

– Poznałam Moirę dzisiaj – przypomniała mu Bea.

– No tak, oczywiście. – Poklepał ją po ręce. – Złamałaś mi serce, Beatrice, rozłupałaś je równo na pół.

– A ty złamałaś moje.

– Jestem wprawdzie lekarzem, ale powiem ci, że to się nigdy nie goi. – Uśmiechnął się do niej.

Bea skinęła głową. O tym też już przekonała się sama.

– Milion razy tańczyłam z tobą w snach. Słyszałam tupot naszych stóp o pokład. Dałeś mi swój szalik...

– Pamiętam.
– Przerobiłam go na poduszkę i przytulam się do niej każdej nocy.
– Pamiętam, że pachniałaś różami.
– To była woda różana. Pożyczona.
– Zawsze, kiedy czuję ten zapach, ogarnia mnie tęsknota.
– Moja dłoń pasowała do twojej, jakby to było jej miejsce.
– Myślałem o tym przez tyle zimnych nocy. – Popatrzył na nią.
– I kiedy wyjechałeś... – Nieoczekiwanie straciła oddech i zalała ją fala żalu. Spod powiek wymknęły się łzy, a twarz wykrzywił jej szloch. Z przerażeniem dostrzegła, że John również płacze. Zsunął się z krzesła, ukląkł przed nią, chowając głowę na jej kolanach, i płakali razem.

Bea położyła dłoń na jego kłującym policzku, a drugą ręką gładziła go po włosach.

– John, mój John! Wychowałam twojego syna najlepiej, jak tylko mogłam. Tak się bałam, byłam całkiem sama. – Podniosła jego głowę, żeby zajrzeć mu w oczy, te same co u dwudziestotrzylatka, który zostawił ją o wschodzie słońca. – Był wspaniałym dzieckiem i jest dobrym człowiekiem.

– Wiedziałem! Wiedziałem, że to mój syn! – John znowu się rozkleił. – Co na to twoi rodzice? Byli tacy surowi i zasadniczy. Boże, nawet sobie nie wyobrażam, jak to przyjęli.

– Kazali mi wyjechać z Byron Bay i tak też zrobiłam. Nie widziałam ich od tego czasu. Diane też nie.

– Rany boskie! – Chwycił się jej kurczowo i ukrył twarz w jej bluzce. – Wiedziałem, że jest moim synem. Jak tylko go zobaczyłem! Jedynie jakimś cudem nie zawołałem cię i nie podbiegłem do ciebie! Ale wiedziałem, że nie mogę. To byłoby nie *fair*.

– Wszystko w tym jest nie *fair* – wymruczała Bea. – Nazwałam go Wyatt i jest kubek w kubek podobny do taty.

– Wyatt! Czy... Czy on o mnie wie? – Głos mu się załamał.

– Nie. Jeszcze nie. Ale mu powiem. Nie chciałam ryzykować. Gdyby się dowiedział, mógłby próbować szukać z tobą kontaktu i przy okazji zburzyć ci całe życie. Nie wiedziałam, jaka jest twoja sytuacja, nie wiedziałam o Margaret.

– Jezus Maria! – powtórzył John.

Przez dłuższą chwilę oboje siedzieli w milczeniu, przytłoczeni ciężarem prawdy, a każde z nich roztrząsało w myślach to, co stało się później.

Wreszcie John wyprostował się i stanął na wprost kominka.

– Nie mogę już dłużej żyć w kłamstwie, Beatrice. Nie wiadomo, co czeka na nas za zakrętem, ale nie mogę dalej żyć w tym gąszczu niedopowiedzeń.

Bea wstała i wślizgnęła mu się w ramiona. I choć znajdowała się tysiące kilometrów od miejsca, gdzie mieszkała, poczuła, że jest u siebie.

Jakąś godzinę później nad ich głowami skrzypnęła klatka schodowa. Bea i John wypuścili się z objęć i stanęli w przykładowej odległości, przerażeni jak para nastolatków. Bea właśnie przemyślała, jak ma się zachować, kiedy ciszę przerwał donośny głos Flory:

– Ożeż, jasna cholera! – Flora przyglądała się obojgu od drzwi.

– To jest Flora, moja wnuczka. – Bea uśmiechnęła się do swojej ślicznej, karmelowłosej dziewczynki. – A przy okazji... twoja – dodała z wahaniem i poczuła falę gorąca na szyi, bo nagle dotarło do niej, że Flora jest także częścią historii Johna, jego ciałem i krwią.

John skłonił ku niej głowę.

– Witaj, Flora. – Wymówił jej imię z odpowiednio szkockim zaśpiewem.

Bea była ciekawa, czy zauważył kolor włosów Flory i czy, tak jak ona, widział

podobieństwo między Florą a swoim wnukiem, Callumem.

– Ominęło mnie coś? – zapytała Flora, zwracając się do Bei.

Bea się roześmiała.

– O, Flora, zbyt wiele, żeby teraz o wszystkim opowiadać!

Z góry zszedł Alex.

– Na twoim miejscu, tato, wszystko bym jej wyśpiewał. Ma wredny prawy sierpowy. –

Mrugnął wesoło i podszedł do ojca, który przytulił go mocno.

Gdy wracały we dwie do hotelu, Bea wciąż czuła się nieco rozchwiana, za to Flora kipiała z podniecenia.

– Z bliska jest superprzystojny!

– Mhm – zgodziła się Bea.

– Dobrze się czujesz? – Flora wsunęła jej rękę pod ramię.

– Chyba tak.

– Właśnie poznałam mojego dziadka! – Flora zapiszczała.

– Tak – potwierdziła Bea z uśmiechem.

Flora zatrzymała się nagle w pół kroku.

– To znaczy... Moim dziadkiem już zawsze będzie dziadek Peter. Zawsze. – Poprawiła się, żeby nie sprawić babci przykrości i nie uchybić pamięci swojego dziadka, tego, który potajemnie podarował jej kiedyś cygaro.

– Wiem, kochanie, i on też to wiedział. Bardzo cię kochał.

Flora przyjrzała się babci.

– Wyglądasz, jakbyś zobaczyła ducha!

– Nie, nie ducha. – Bea przełknęła ślinę. – Żyłam z duchem przez ostatnie trzydzieści kilka lat. To był żywy człowiek z krwi i kości! – Chwyciła gwałtownie wnuczkę i przytuliła ją mocno. – Nie mogę w to uwierzyć! To był mój John! Widziałam mojego Johna!

– Tak się cieszę, Bea.

– Musisz mi obiecać, że kiedy będziesz starsza, nie zadowolisz się kimś, przez kogo serce nie będzie ci śpiewać z radości! Miałam wielkie szczęście, że kiedy byłam młoda, przytrafiła mi się miłość Johna, a potem przez całe życie troszczył się o mnie Peter, wspomniały mąż i twój ukochany dziadek. To prawdziwy dar losu. Chcę, żebyś też tego spróbowała. Obiecuj mi, że nigdy nie zgodzisz się na mniej, niż zasługujesz.

Flora pokiwała głową z nosem na piersi babci i zamknęła oczy.

– Obiecuję.

Bea otworzyła jedno oko i natychmiast usiadła na łóżku. Potoczyła wzrokiem po odsuwanych do góry oknach, drukowanej tapecie i krzasiastym dywanie i z bezgraniczną ulgą stwierdziła, że to nie był sen. Była w Edynburgu, a wczoraj wieczorem siedziała razem z Johnem, trzymając się za ręce! Niczym młoda dziewczyna przed swoim pierwszym balem zacisnęła powieki, opadła z powrotem na plecy i wszystkimi członkami zaczęła bić w materac.

– Co robisz? – Flora wystawiła spod kołdry rozczochraną głowę.

– Co robię? – Bea usiadła i odrzuciła pościel na bok. – Żyję! Czuję! I po raz pierwszy od dłuższego czasu z radością patrzę w przyszłość! – Wskoczyła z łóżka i zaczęła płasać i wirować po pokoju jak balerina, objijając się przy tym o meble.

– Zwariowałaś! – Flora skonstatowała. Opadła na poduszkę, naciągnęła kołdrę na twarz i pozwoliła babci wariować dalej samej, z nadzieją, że uda jej się skraść jeszcze trochę snu.

Bea przetańcowała do łazienki, zdjęła bawełnianą piżamę i stanęła pod strumieniem wody. Zamknęła oczy i zwróciła twarz dokładnie w stronę natrysku, pozwalając, żeby ciepłe strugi oblewały jej ciało. Podśpiewując, rozrobiła na włosach szampon i namydliła się cała,

z głową pełną pomysłów i wibrującym z radości żołądkiem.

Następnie sięgnęła po ręcznik, stanęła przed wielkim lustrem i uważnie przyjrzała się swojemu ciału. Bardzo rzadko jej się to zdarzało, bo zwykle po prysznicu spieszyła się do pracy albo do łóżka. Ale dzisiaj było inaczej. Długi czas wpatrywała się w lustro, próbując spojrzeć na siebie cudzymi oczami. Po tylu latach małżeństwa przywykli z Peterem do widoku swoich nagich ciał. Przez to poczucie komfortu, które spowijało ich relacje niczym ciepły koc, nigdy tak naprawdę nie próbowała dociekać, w jaki sposób postrzegał jej fizyczność. Nie krępowali się przed sobą swojej nagości, ani się z nią nie obnosząc, ani się jej nie wstydząc. Czuli się swobodnie i naturalnie, kiedy któremuś obsunął się szlafrok albo gdy jedno szorowało zęby, a drugie brało prysznic. Żadne nie podglądało, kiedy zasłaniali się nawzajem ręcznikiem po kąpielii na plaży. Namietność ustąpiła miejsca przyjaźni, pragnienie zastąpiła zażyłość i to, w połączeniu z szacunkiem, jakim zawsze się darzyli nawzajem, był właśnie przepis na szczęśliwe i pełne miłości życie.

Jednak dzisiaj Bea czuła coś zupełnie innego. Gdy poprzedniego wieczoru znalazła się blisko Johna, ze zdumieniem odkryła u siebie taki przyływ seksualnej energii, o jaką w życiu by się nie podejrzewała. Jak płomień rozdmuchany z dogasających już węgli. I chociaż łącznie mieli sto jedenaście lat, najwyraźniej nie stanowiło to najmniejszej przeszkody, by ogień pożądania wybuchnął w niej z nową siłą. Spróbowała wyobrazić sobie swoje ciało takim, jakim John widział je po raz ostatni. Jak zwykle przed oczami przeleciała jej cała ta noc niczym film, w którym oglądała samą siebie z dystansu. Jednak tym razem, przypominając sobie ich ostatnie chwile, starała się nie skupiać na emocjach, tylko przyjrzeć się swojej sylwetce. Miała smukłe nogi o pełnych, wyraźnie zarysowanych kształtach łydek i ud. Teraz jej nogi były bardziej proste, o mocniej zaznaczonych kolanach i lekko zwiotczalej skórze. Kiedyś mlecznobiały, płaski brzuch przecinały dziś niebieskawe ślady rozstępów na skórze, zbyt obszernej, co najmniej o jeden rozmiar. Jej ramiona, chociaż nadal ładnie umięśnione, nabrały jakiejś galaretowatości, której nie zdołały zapobiec żadne, choćby najdłuższe spacerzy.

To było ciało kobiety po pięćdziesiątce – świetne ciało, ale zupełnie inne od tego, które John trzymał w ramionach tamtej nocy. Po plecach przebiegł jej dreszcz, jakby lęk, ale szybko zanikł pod wpływem uczucia jakiegoś dziwnego spokoju i rezygnacji. Była kobietą, która żyła, kochała i przetrwała, a to samo w sobie przydawało jej piękna. Przypomniała sobie niedawną rozmowę z Kim. „Nie istnieje żaden przełącznik, który przeskakuje, kiedy kończysz czterdzieści siedem lat i zupełnie przestajesz rozmyślać o seksie i pragnąć przyjemności!”. Zaśmiała się do swojego odbicia.

– Oj, Bea. Nawet gdybyś miała do końca życia rozwiązywać z nim krzyżówki i sadzić pomidory, to i tak byłoby cudownie!

– Z kim rozmawiasz? – zawołała Flora z pokoju.

– Ze sobą – odpowiedziała Bea.

– Mówiłam, że zwariowałaś! Niedługo zaczniesz gadać do swoich kotów jak pani McKay!

– Wiesz co, Flora, jeżeli wszyscy wariaci czują się tak jak ja, to niech to trwa jak najdłużej!

Pół godziny później zasiadły do śniadania w znajomej już hotelowej restauracji. Flora odchyliła się do tyłu na krzesło, kiedy ich sympatyczna kelnerka przyniosła świeżo wyciśnięty sok pomarańczowy i herbatę w dzbanuszkach.

– Masz zamiar podarować Johnowi jakiś prezent gwiazdkowy?

– Jeszcze się nad tym nie zastanawiałam. Jak myślisz, z czego by się ucieszył? Może z kasy na uggi? – Bea mrugnęła do niej porozumiewawczo.

– Nie sędzę – zakpiła Flora. – Starzy faceci nie noszą uggów.
– Mówiłam ci już, że on nie jest stary! – zawołała Bea żartobliwie.
– Może nie dla ciebie! – odparowała Flora i zawahała się chwilę przed zadaniem kolejnego pytania: – Nie boisz się, że może się wam nie ułożyć?

Bea przerwała nalewanie herbaty do filiżanki i obrzuciła wnuczkę uważnym spojrzeniem. To była zdecydowanie uzasadniona obawa. Być może przez długie lata pielęgnowała zbyt wyidealizowany obraz swojej romantycznej historii, podciągając ją pod scenariusz tragicznej, zakazanej miłości rodem z *Romea i Julii*, co ostatecznie mogło wypaczyć jej wyobrażenie i zatrzeć niektóre wspomnienia. To było bardzo możliwe. Chociaż John, z którym spotkała się wczoraj, który ścisnął ją przez stół za rękę i płakał, opowiadając, jak pierwszy raz ujrzał swojego syna...

– Nie, raczej nie, Flora. To znaczy masz rację, że się praktycznie nie znamy, w każdym razie niezbyt dobrze, ale myślę, że mamy solidne podstawy.

Flora zamyśliła się, przeżuując grzanekę.

– Ale jak myślisz, co was w ogóle łączy? Macie jakieś wspólne zainteresowania? – Przyszło jej do głowy, jak bardzo oboje z Marcusem uwielbiają morze i nie znoszą sera.

Bea się roześmiała.

– Mamy wspólne dziecko.

– O, to już punkt zaczepienia. – Flora przyjrzała się babci. – Wyglądasz na niesamowicie szczęśliwą.

– Tak się właśnie czuję.

– Mogę jeszcze o coś zapytać?

– Strzelaj. – Bea napięła się, wiedząc już, że pytania Flory mogą być bezczelne, przykre albo z głupia frant lub też wszystkiego po trochu.

– Jak to ma niby działać? W sensie super, że się odnaleźliście i w ogóle, ale ty mieszkasz w Sydney, a on w Edynburgu.

– Szczerze? Nie mam zielonego pojęcia. I dużo jeszcze wody musi upłynąć, zanim się nad tym zaczniemy zastanawiać.

– Wiem, Bea, ale pytanie, czy ta woda będzie płynąć pod Sydney Harbour Bridge czy pod Forth Road Bridge?

– Nie wiem, skarbie.

– Mogę zadać jeszcze jedno pytanie? Już ostatnie.

– Proszę.

– Co będzie, jeżeli oficjalnie już poznacie się z Moirą, a ona cię nie polubi albo jeżeli tata dowie się o Johnie, spotkają się i też się nie polubią? Chodzi mi o to, co byście zrobili, gdyby wszystkie wasze dzieci się na was obrażyły?

Bea wbiła we wnuczkę kamienny wzrok.

– Jedz śniadanie, Flora – powiedziała.

Szesnaście

Bea umościła się wygodnie na swoim siedzeniu w samolocie. Flora, podobnie jak większość pozostałych pasażerów, zasnęła twardo na tym ostatnim odcinku podróży. Jej wzrok padł na torbę księgarni Topping wystającą z kieszeni siedzenia przed sobą i uśmiechnęła się na wspomnienie tego cudownego dnia, jaki spędzili w St Andrews.

– Naprawdę myślisz, że ja się do tego zmieszczę? – Westchnął z powątpiewaniem John, kiedy Bea podjechała po niego ich małą, czerwoną bombką.

– Zdziwiłbyś się, ile tu jest miejsca! – Bea zachęciła.

– Tak, zupełnie jak w Tardis7! – dodała Flora dla rozwiania wszelkich wątpliwości.

– A, w takim razie jestem w dobrych rękach. A wiecie, że kilku Doktorów Who było Szkotami? Sylvester McCoy, David Tennant i Peter Capaldi.

– Lubisz ten serial? – zapytała Flora z respektem.

– Niespecjalnie. Ale lubię rozwiązywać krzyżówki.

– Ty też, Bea! Czyli to już jedna rzecz, która was łączy! – Rozpromieniła się Flora, a Bea spojrzała na nią z ukosa nad dachem fiacika.

Ostatecznie postanowili jednak przesiąść się do samochodu Johna, który jeździł wygodnym land roverem z wysokim prześwitem, dzięki czemu w drodze do St Andrews, gdzie John studiował za młodu, Bea i Flora miały wspaniały widok na pejzaż szkockiego wybrzeża i małych miejscowości. Gdy wyjechali z przedmieść Edynburga i ruszyli A90 w kierunku Queensferry, Bea nieustannie popatrywała na prawo, jakby chcąc się upewnić, że to naprawdę John zabiera ją na przejażdżkę w ten mroźny, zimowy dzień.

– A oto Forth Road Bridge – zaanonsował John, wjeżdżając na wiszący most rozpięty nad zatoką Firth of Forth.

Flora wpuściła głowę między kolana i wygięła szyję do góry, żeby zobaczyć przez okno metalowe słupy, które zdawały się znikać w szarej otchłani nieba. – Piękny!

– Prawda? Uwielbiam mosty – rzucił John przez ramię.

– A jechałeś kiedyś Sydney Harbour Bridge? – zapytała Flora z tylnego siedzenia.

– Nie. Ale bardzo bym chciał. – John zerknął szybko na Beę.

– A jak myślisz, pod którym z nich płynie więcej wody? – ciągnęła Flora niewinnie.

– Rany, Flora, co za naukowe pytanie. Zrobię małe rozpoznanie tematu i wtedy ci powiem. – Roześmiał się.

Bea obejrzała się i zgromiła wnuczkę spojrzeniem.

W St Andrews było pięknie. Dachy i pobocza zadbanych uliczek pokrywały grube czapy śniegu, a skupione w grupki sklepy o gregoriańskich fasadach migotały od świątecznych dekoracji na wystawach. Chropowate szyby oszronione w rogach i obramowane sznurami mrugających lampek nadawały miastu prawdziwie magiczny nastrój, a na drzwiach wielu kamiennych domów wisiały wieńce udekorowane wrzosami i kokardami w kratę. Słynny klub Royal and Ancient, uważany za ojczyznę golfa, wyglądał nieskazitelnie nawet w środku zimy, a spienione grzywy fal Morza Północnego idealnie dopełniały krajobraz od wschodu. Wydawało się, jakby pejzaż stanowił scenografię do jakiegoś filmu.

John oprowadził je po ruinach katedry św. Andrzeja i wieży św. Regulusa, a Bea z fascynacją słuchała jego opowieści, zachwycona, że zechciał razem z nimi odwiedzić to miejsce. Z dumą pokazał im imponujący budynek akademika St Salvator's Hall, gdzie mieszkał kilka lat, zanim wyjechał na drugi koniec świata i spotkał pewną dziewczynę...

Następnie udali się na ulicę Greyfriars Garden, żeby pobuszować w Topping Books. Przyjemnie było wejść do wypełnionego książkami sklepu, w którym buzował ogień, a w powietrzu unosił się aromatyczny zapach świeżej kawy. Bea i Flora całkowicie zatraciły się wśród regałów, oczarowane bogato zdobionymi okładkami i różnorodnością tematyki. Najwięcej czasu spędziły w dziale kulinarnym. Przesuwały palcami po smakowitych fotografiach miejscowych potraw, takich jak zupa rybna z Arbroath z serem cheddar i chlebkiem *bannock* czy młoda jagnięcina po hebrydzku z dodatkiem tłuczonych ziemniaków.

– Jak myślisz, Flora? Panu Giraldiemu spodobałaby się zupa rybna z Arbroath?

– Pewno nie na śniadanie, ale myślę, że tak. Z początku wyrzekałby na czym świat stoi, a potem nie mógłby bez niej żyć!

Bea roześmiała się na to celne podsumowanie swojego uroczego przyjaciela i posłała mu ciepłą myśl z drugiej półkuli.

W czasie kiedy John myszkował między półkami, Bea i Flora wyskoczyły przelecieć się po sąsiednich sklepach. Gdy wróciły pół godziny później, Bea zauważyła go przy kasie, jak wręczył ekspedientce kartę kredytową i wetknął sobie elegancko zapakowaną książkę pod pachę. Dostrzegł ją kątem oka i uśmiech rozjaśnił mu twarz. Ruszyła w jego stronę, a on patrzył na nią tak, jakby była jedyną osobą w całym sklepie, jakby inni kupujący nagle przestali istnieć i zostali tylko oni dwoje. *Znam cię...*

Bea stanęła przy nim, czekając, aż skończy płacić. Dziewczyna za ladą wyciągnęła kartę Johna z czytnika i podała Bei.

– Oj, przepraszam bardzo. Chciałam oddać kartę pana żonie! – Roześmiała się i wręczyła kartę Johnowi.

Beę mimo woli zaszczypały oczy, bo przepełniła ją gwałtowna radość, że ma go przy sobie, i żal z powodu tych wszystkich lat, które stracili.

John wziął ją za rękę.

– Beatrice, nie ma się co smucić. Nie płacz, proszę.

Wtuliła twarz w rękaw jego płaszcza i wdychała ten rozkoszny zapach.

Niespiesznie wrócili we trójkę do samochodu.

– Co tam masz? – John zainteresował się, wskazując zawinięty w gazetę pakunek w rękach Bei.

– Nie mogłam się powstrzymać! Wygrzebałam taką makatkę w sklepie o wdzięcznej nazwie Szpargalek. Jak znalazł dla mnie. Uważam, że jest przepiękna. – Bea odwinęła gazetę, ukazując wyhaftowany obrazek. Podniosła na niego wzrok, a John zrobił w odpowiedzi pocieszny grymas.

– Hmm, to chyba jedna z tych chwil, kiedy wypada stwierdzić, że o gusta nie należy się spierać! Troszkę przykurzona! – Skrzywił się, marszcząc nos, i wytarł palce w szalik.

– Prawda – przyznała Bea. – Ale musisz na nią spojrzeć inaczej. Zobacz, jaka oryginalna ramka. I jak precyzyjnie wykrzyżowano każde słowo. To musiało zająć całe wieki! Została wykonana w 1860 roku i nawet jest podpis. Popatrz! – Wskazała palcem prawy dolny narożnik. – Zrobiła ją pani E.H. Arbuckle. Ciekawe, kim ona była, co robiła i gdzie mieszkała.

– Miejmy nadzieję, że nie spędzała na dzierganiu każdej nocy i nie robiła więcej takich arcydzieł! – John roześmiał się ku uciesze Flory. – Pomyśleć, że biedna pani E.H. Arbuckle dniami i nocami siedziała w pokoju i haftowała obrazki, których nikt przy zdrowych zmysłach nie powiesiłby w domu! – pohukiwał John.

– A właśnie, że ja go u siebie powieszę – odparowała Bea.

– Cóż, to nam wiele mówi, no nie, Flora? – John puścił do niej oko.

Bea uśmiechnęła się na myśl o makatce, teraz starannie zapakowanej w walizce w luku

bagażowym. Zamknęła oczy w oczekiwaniu na sen. Jej myśli uleciały do chwili ich rozstania, które wcale nie było tak trudne, jak się spodziewała. Tyle czasu żyła, rozmyślając o tym, czy żyje i czy jeszcze kiedyś go zobaczy, że tęsknota za nim stała się stałą cechą jej zwykłej egzystencji. W porównaniu z tym świadomość, że spotkają się za kilka miesięcy, jak ustalili, wydawała się wręcz radosna. Co to jest kilka miesięcy?

John szczególnie się cieszył, że będzie mógł pisać do niej w końcu prosto z serca i nie musieć podszywać się pod Alexa.

– Będę o tobie myślał codziennie, w dzień i w nocy. – Przytulił ją mocno i pocałował w czoło.

– Tak? – zapytała rozpromieniona.

John skinął głową.

– Jak zawsze.

Bea poczuła przyjemne trzepotanie w żołądku. Czyli ta więź, którą wyczuwała przez wszystkie te lata naprawdę istniała. Z uśmiechem przyłożyła zieloną poduszczkę do policzka i zapadła w sen.

– Wyglądasz inaczej, niż kiedy wyjeżdżaliśmy. – Flora zauważyła, kiedy Bea zarzuciła sobie plecak na ramię i umieściła okulary słoneczne na włosach. Peter mówił o nich „najdroższa przepaska w Sydney”.

– Inaczej się czuję – potwierdziła Bea.

Odebrały bagaż z taśmy na lotnisku Kingsford-Smith i wyszły prosto w lejący się z nieba żar południowego australijskiego słońca.

– Rany, ale upał. – Bea wstrząsnęła sobie przód długiej bluzki.

– No, masakra! – zawtórowała Flora i obie wybuchnęły szaleńczym śmiechem.

Wyatt wystawił rękę z samochodu i zamachał, jednocześnie błyskając światłami. Bea podeszła do syna, który otworzył bagażnik i sięgnął po jej ciężką torbę.

– Jak było na Bali? – zapytała.

– Drogo i potwornie gorąco – odpowiedział Wyatt, a obie podróżniczki znowu zachichotały. Wyatt uniósł brwi, nie rozumiejąc, co w jego odpowiedzi mogło je tak rozśmieszyć.

– Tata! – Flora objęła go w pasie i przytuliła się mocno.

Bea patrzyła, jak na twarz wypływa mu szeroki uśmiech.

– Witaj w domu, Flora. Gotowa na Boże Narodzenie?

Flora kiwnęła głową.

– Tęskniłam za tobą. I za mamą też. I przepraszam. – Łzy stoczyły się jej po policzkach.

Wyatt przygarnął ją i uśmiechał się z twarzą w jej włosach.

– Niedługo zacznie się nowy rok. To chyba dobry moment, żeby zacząć wszystko od nowa, nie uważasz?

– Tak. I będę miała już czternaście lat. Pozwolisz mi przekłuć sobie uszy? – Uśmiechnęła się.

– Zobaczymy. – Wyatt pokręcił głową. Było oczywiste, że „zobaczymy” w gruncie rzeczy oznacza tyle, co „tak”.

– Jedziemy prosto do Manly, mamo, czy chcesz najpierw jechać do siebie i się rozpakować, a ja zajrzę po ciebie jutro?

– Tak. Może lepiej jutro. Dziękuję ci, kochanie. Chcę się jeszcze zobaczyć ze wszystkimi, zanim zamkniemy Kuchnię na kilka dni.

– Nie ma problemu. – Uśmiechnął się Wyatt lekko.

– Przyjechali! – wrzasnęła Kim, kiedy holden zatrzymał się przy Reservoir Street. Kim i Tait czekali na chodniku. Kim podskakiwała w miejscu, a Tait jaśniał uśmiechem.

– Wygląda na to, że cię tu brakowało. – Uśmiechnęła się do babci Flora.
– Spodziewam się. – Bea posłała Florze pocałunek. W samolocie kazała wnuczce obiecać, że pozwole jej samej opowiedzieć ojcu o wszystkim.

W uszach nadal dzwoniły jej jakże rozsądne słowa młodej dziewczyny:

– Musisz tacie wszystko opowiedzieć. O tym, co czujesz, o tym, co się stało, o Johnie, Aleksie i całej reszcie! Musisz z nim porozmawiać!

Bea przez chwilę zwlekała z odpowiedzią.

– Tak, Flora, masz rację. Ale muszę się zastanowić, jak i od czego zacząć. Zawsze tak jest, kiedy się coś ciągnie za człowiekiem niedopowiedziane. Każda sprawa nabiera coraz większej wagi, jak się jej zbyt długo unika.

– No to musisz przestać jej unikać! – Flora przewróciła oczami z irytacją.

Bea zaśmiała się na to wspomnienie.

– Dzięki za podwiezienie, Wyatt.

– Nie ma sprawy. – Uśmiechnął się i w tym momencie tak bardzo przypominał jej Johna, że aż przełknęła ślinę.

Kim rzuciła się ku niej.

– Jak tam pan McKay? Śmierdział kocim moczem i zrobił ci na drutach szalik z kociego futerka?

– Wyobraź sobie, że nie, Kim. Powiedziałabym, że wręcz przeciwnie. Nasz drogi Alex jest przesympatycznym, zabawnym i pełnym uroku gejem.

– Ha! Czyli miałam rację! To naprawdę klub kielbasiany! – dowcipkowała Kim.

Bea zaśmiała się

– Jest świetny i bardzo się zaprzyjaźniliśmy.

– Mam wrażenie, że bije od ciebie jakieś nowe światło! – Tait mrugnęła. – Masz nam może coś do powiedzenia?

– Zdziwiłbyś się, Tait! – odparła Bea pogodnie. – A co u was?

– Mnóstwo pracy, prawda, Kimmy?

– Tak. Ale wszystko jest pod kontrolą. Wydatki zaksięgowane, zamówienia złożone, taras uprzątnięty i wszystko gotowe na nadejście Nowego Roku! – potwierdziła Kim z dumą.

– Doskonale. Powinam wyjeżdżać częściej. – Bea była zdumiona płynną wymową Kim.

– Lepiej nie. To znaczy daliśmy sobie radę, ale brakowało nam ciebie. – Tait uśmiechnął się i zarzucił sobie plecak na ramię. Kim nachyliła się do ucha szefowej i wyszeptęła:

– Zrobiłam to, Bea. Zapamiętałam sobie, że życie jest wyłącznie dla odważnych i wzięłam się do roboty! Jeszcze wszystkiego do końca nie zdobyłam, ale jestem blisko – uśmiechnęła się.

– Bardzo się cieszę, kochana! – Bea klasnęła w ręce. – A jak się miewa nasz pan Giraldi?

– W porządku. Marudził, że jego musli z miodem nie jest takie dobre, kiedy ciebie nie ma, ale i tak zamawiał je co rano przez dwa tygodnie z rzędu. Musiał się widać upewnić – westchnął Tait.

Bea wybuchnęła śmiechem.

– I chwala mu za to! Dobra, moi drodzy, jazda do domu i zobaczymy się w przyszłym tygodniu. – Uściskała najpierw Kim, potem Taita. – Dziękuję wam bardzo, obojgu. Nie wiem, co bym bez was zrobiła. A prezenty gwiazdkowe już są na waszych kontaktach. – Jak zwykle przyznała każdemu po nader wysokim bonusie.

– O, Bea, jesteś aniołem – ucieszył się Tait.

Kim wyglądała na szczerze wzruszoną.

– Dziękuję. – Zarzuciła Bei ręce na szyję.

– Jestem z ciebie dumna, Kim – wyszeptła jej do ucha Bea, ogarniając ją ramionami.

Bea pomachała im, gdy każde ruszyło w swoją stronę i rozejrzała się wokół. Cudownie było wrócić do domu. Rzuciła torbę w kąt i poszła przetrząsnąć składzik na narzędzia w poszukiwaniu młotka i gwoździ, po czym zawiesiła makatkę z St Andrews na wolnym skrawku ściany. Jeszcze raz z uśmiechem przeczytała napis, rozważając w myślach, co powiedziałyby pani E.H. Arbuckle, gdyby się dowiedziała, że jej piękny obrazek i wspiane przesłanie, które wyhaftowała ponad sto pięćdziesiąt lat temu, wylądowały w kawiarence w Surry Hills po drugiej stronie świata.

7 Fikcyjny statek kosmiczny i maszyna do podróżowania w czasie znana z serialu telewizyjnego science fiction *Doktor Who* (przyp. red.).

Siedemnaście

– Kto chce ostatnią porcję musu czekoladowego? – Sarah podniosła miseczkę wysoko nad stołem niczym licytator oferujący ostatnią szansę zakładów. – No, proszę bardzo! Są święta, a to jest, uwaga, legendarny mus Bei!

Bea zauważyła czułość w oczach Wyatta, kiedy spoglądał na żonę. Najwyraźniej byli razem szczęśliwi i Bea wyrzucała sobie, że tak długo nie mogła zaakceptować tego prostego faktu. Czy na pewno w ciągu tych lat zrobiła wszystko, żeby włączyć Sarah do ich małego grona? Czy wystarczająco postarała się, żeby synowa czuła się wśród nich dobrze? Nie podobała jej się odpowiedź, która nasuwała się sama. Po raz pierwszy zdała sobie sprawę, że ona też przyczyniła się do rozluźnienia więzów z synem i jego żoną. Tyle miała przed Wyattem do ukrycia, że nic dziwnego, że przestali się ze sobą komunikować.

– Bea, skusisz się? – Sarah podniosła miseczkę jeszcze wyżej, jakby to miało pomóc w znalezieniu chętnego.

– Dziękuję, nie dam rady. Najadłam się po uszy – odmówiła Bea z uśmiechem. – Obiad był wspaniały, Sarah. Dziękuję.

– Och, nie ma za co. – Sarah odwzajemniła uśmiech. – A ty, Flora? Prawie nic nie zjadłaś.

Flora przez cały dzień była dziwnie milcząca. Bea podejrzewała, że ciągle jest rozbita po podróży.

– Nie, dziękuję, mamu. Wszystko było przepyszne.

– Nie wiem jak wy, ale ja bym się przeszedł na spacer brzegiem morza. – Wyatt wstał z za stołu na tarasie i spojrzął na ocean.

– Wiesz, że ja też chętnie się ruszę.

– A! – Wyatt zerknął na żonę. Najwyraźniej pomysł, żeby się trochę przewietrzyć i wytrząsnąć świąteczny obiad nie przewidywał towarzystwa matki. – Zapraszam. – Uśmiechnął się krzywo.

Flora na boku pokazała babci podniesione kciuki.

Matka z synem w milczeniu ruszyli ramię w ramię w stronę deptaka, przystając raz po raz, kiedy napotkali sąsiadów lub znajomych wykrzykujących do nich świąteczne pozdrowienia i uganiających się wokół dzieci, które z zapałem testowały swoje nowe skutery i trzykołowe rowerki na bulwarze.

– Sarah jest ci bardzo wdzięczna, mamu. Nie może się nadziwić, jak ci się udało tak wpłynąć na Florę. Odkąd wróciła, jest o niebo lepiej. Miałaś rację, że ten wyjazd wyszedł jej na dobre.

– Cieszę się, że Sarah jest zadowolona. Z nią też chciałabym się bardziej zbliżyć, tak jak z Florą. Wspaniale było spędzić z nią trochę czasu w Szkocji. Naprawdę wspaniale. – Bea przygotowywała grunt pod rozmowę, która, jak miała nadzieję, pomogłaby przebić mur między nimi.

– To dobre dziecko. – Wyatt kiwnął głową ze wzrokiem skierowanym na morze.

– Bardzo dobre. I miałaś rację, ta paczka, z którą się zadaje, wygląda nieciekawie. Ale Flora jest bardzo rozsądna. Musisz jej zaufać. Sama musi zrozumieć, co jest co. Już prawie do tego doszła. Chociaż ma pewną słabość do tego Marcusa, a z tym może być trudniej.

– Tego, którego pobiła? – Wyatt nie nadał.

– Dokładnie. Tego samego.

– A niech mnie, to ci nowość. Nawet nie chcę myśleć, co zrobiłaby Sarah, gdybym ja tak zaczął! – powiedział z uśmiechem.

Bea zauważyła, że ramiona mu się rozluźniły, jakby wcześniej nastawiał się na jakąś przepychankę w kwestii Flory.

– Domyślam się jednak, że zależy ci, żeby spotkała kogoś, z kim będzie szczęśliwa?

Wyatt skinął głową.

– No pewnie.

– A ty jesteś z Sarah szczęśliwy?

Wyatt popatrzył na matkę.

– Tak. Zawsze tak było.

– Wiem. A to najlepsze, co można sobie wymarzyć dla swojego dziecka. – Bea się zawahała. – Flora wspomniała, że czasami sprzeczasie się z Sarah na mój temat...

Wyatt rzucił jej spojrzenie przez ramię.

– To prawda.

– Mogę spytać, o co dokładnie?

Wyatt milczał.

– Pytam tylko dlatego, że gdybym wiedziała, co robię nie tak, mogłabym spróbować to naprawić.

– Dlaczego raptem? – spytał bezbarwnym tonem.

Bea wzruszyła ramionami. Musiała przejąć ten nawyk od Flory.

– Bo nigdy nie jest za późno, żeby wszystko naprawić, aż robi się za późno.

Wyatt westchnął.

– Sarah myśli, że ty jej nie lubisz.

– To nieprawda! Bardzo ją lubię.

– Ale ona ma wrażenie, że nie, więc coś jest na rzeczy – skontrował. – Mówi, że zawsze czuła, jakbyś była rozczarowana moim wyborem.

Bea spojrzała na swoje stopy, czując nieprzyjemne zawirowanie w brzuchu, które potem jakby osiadło jej na wątrobie.

Wyatt mówił dalej.

– Powtarzałem jej setki razy, że to nie ma żadnego znaczenia, co ktokolwiek myśli. Ważne jest to, co czujemy my, ona i ja. Dobrze nam razem, jesteśmy szczęśliwi, a jeżeli ktoś nie chce uczestniczyć w naszym życiu, to jego sprawa.

– Ale ja chcę uczestniczyć w waszym życiu. Zawsze chciałam. – Bea przełknęła kulę rosnącą jej w gardle.

– Wydaje mi się, że ty najczęściej nawet nie wiesz, jaka jesteś wobec niej opryskliwa – westchnął.

– Opryskliwa? Jak to? – Głos Bei był cienki i pełen napięcia.

Wyatt klepnął się w udo, próbując znaleźć przykład.

– Nie wiem... Weź chociaż Boże Narodzenie. Co roku pyta, co by cię najbardziej ucieszyło, bez końca łamie sobie głowę, a ty zawsze odpowiadasz to samo: „Och, tylko nie to! I tak mam już zbyt wiele gratów”. Co roku odbierasz jej przyjemność z tego, żeby sprawić ci radość. Trudno się dziwić, że jest trochę zdystansowana.

Bea oniemiała.

– Ja tylko chciałam oszczędzić jej kłopotu. Nie potrzebuję prezentów!

– Mówiłem jej, żeby dała sobie spokój, ale nie potrafi. Za wszelką cenę chce cię zadowolić, zdobyć twoje uznanie. Próbuje nawet robić ten przekłety mus czekoladowy! Nie mogę patrzeć, jak się przy tym męczy. Nic jej się nie udaje, ale nie odpuści, aż wszystkim nie

dogodzi. Taka już jest, zawsze myśli najpierw o innych. A kiedy jesteś u nas, pije więcej niż zwykle, bo jest zestresowana. Widzę, jak liczysz jej każdy kieliszek, ale nie wiesz, że za każdym razem wymiotuje ze zdenerwowania, zanim przyjedziesz.

– Nie miałam pojęcia. – Bei było wstyd. Zapatrzyła się w bezkres oceanu. – Nam też przydałby się tłumacz.

– Kto?

– Nieważne. Rzecz w tym, Wyatt, że chcę to naprawić. Mówię poważnie.

Wyatt tylko skinął głową. Na tyle dobrze go znała, żeby wiedzieć, że nie przykładła wielkiej wagi do słów. Wolał poczekać na czyny.

– Co Flora mówiła o naszej podróży? – Bea usiłowała jakoś zahaczyć o temat, którego bała się, odkąd sięgała pamięcią.

– Że było zimno! – Uśmiechnął się przelotnie, błyskając białymi zębami. – Podobno diabelnie zimno! Wydaje się, że to jedyne jej wspomnienie.

– Coś nam się przydarzyło.

– Tak? Co, zobaczyłyście potwora z Loch Ness? – zażartował, idąc ciągle o pół kroku przed nią i nie patrząc jej w oczy.

– Lepiej.

Wyatt przyspieszył kroku. Miał ochotę przejść się w spokoju i uciszyć myśli, tak jak lubił.

– Wyatt, czy możesz się na chwilę zatrzymać, do cholery? – powiedziała Bea nieco głośniejszym i bardziej ostro, niż sama zamierzała.

Wyatt rozejrzał się, czy ktoś nie usłyszał, po czym stanął przy niej i popatrzył w morze. Po spienionych falach szaleli surferzy w piankowych kombinezonach i mikołajowych czapkach, a za nimi rozciągał się migoczący bezmiar oceanu.

Bea potarła się w nos, a bransoletki zagrzechotały jej na przedramieniu.

– Chodźmy nad wodę. – Zsunęła sandały i zawróciła do szerokich, płaskich schodów, którymi zeszła ostrożnie na gorący, mięciutki piasek.

Wyatt ruszył za nią.

– Kiedy byłeś mały, woda przyciągała cię jak magnes. Nieważne, w co byłeś ubrany ani gdzie akurat musieliśmy iść. Jak zobaczyłeś ocean, nie było siły, żeby cię zatrzymać, aż byłeś cały mokry. Pokrzykiwałam na ciebie najbardziej surowym tonem, na jaki było mnie stać: „Nie waż się wchodzić do wody!”. Jak grochem o ścianę.

Wyatt pamiętał i parsknął rozbawiony.

– Umierałam ze strachu, że coś ci się stanie, ale woda to był twój żywioł, jakbyś był trytonem⁸. Pamiętam, jak raz przywlokłam cię do szkoły całego ociekającego wodą. W drodze robiłam, co mogłam, żeby cię osuszyć, ale byłeś kompletnie przemoczony. Nauczyciele mieli wtedy niezły ubaw. Siedziałeś potem w klasie w samych majtkach, dopóki ci spodenki nie wyschły. – Bea uśmiechnęła się do tych szczęśliwych wspomnień.

Podążali dalej, lawirując pomiędzy rodzinami i grupkami przyjaciół, którzy przysli porozkoszować się świątecznym dniem na plaży, popijając napoje w puszkach. Tuż nad wodą Bea położyła plecaczek na piasku i przycupnęła obok. Wyatt także usiadł z podciągniętymi nogami, opierając łokcie na kolanach. Ósemka dziewcząt stojących po kolana w wodzie, wszystkie w bikini i mikołajowych czapkach, ustawiła się w rzędzie do zdjęcia, a te na obu końcach wyciągnęły butelki szampana do góry.

Na chwilę zapadła cisza. Oboje, Bea i Wyatt, zasłuchali się w miarowy, hipnotyczny szmer morza. Podbiegająca do nich niestrudzenie grzywa piany w jakiś sposób dodała jej odwagi. Przygryzła wargi i nabrała powietrza, po czym powiedziała krótko i wyraźnie:

– Widziałam się z twoim ojcem.

Wyatt obrócił całą górną część tułowia w kierunku matki i wpatrywał się w nią osłupiały.

– Proszę? Że co?

Bea znowu wzięła głęboki oddech.

– Widziałam się z twoim ojcem – powtórzyła, wytrzymując jego spojrzenie.

Przez chwilę nic nie mówił.

– To jakiś żart? – zapytał.

Bea pokręciła głową.

– Nie.

Wyatt wyciągnął nogi płasko przed siebie i pochylił głowę. Zaraz za nim przemknęło dwoje ludzi z deskami, którzy, trzymając się za ręce, wpadli do wody i ze śmiechem przeskakiwali przez fale. Wyatt poczekał, aż będą daleko, przetrawiając to, co usłyszał.

– Widziałaś się z moim ojcem?

– Tak.

– Czyli ty wiesz, kto to jest? – Jego ton był opanowany.

– Tak. Zawsze wiedziałam – wyszeptła.

– I nigdy mi nie powiedziałaś? Nie... Nie przyszło ci do głowy, że to mogło być dla mnie ważne? – zapytał już nieco mniej spokojnie, mimo woli zaciskając szczęki.

– Nie wiedziałam jak. Najpierw czekałam na odpowiedni moment, a potem im dłużej pomijaliśmy ten temat, tym trudniej było mi zacząć.

– Ożeż, w mordę. – Wyatt przyłożył sobie rękę do piersi i oboje zamilkli na chwilę, nie bardzo wiedząc, co dalej. – I przez cały ten czas byłaś z nim w kontakcie?

– Nie. Nie miałam o nim żadnych wiadomości. Nie wiedziałam, co się z nim stało, aż do tego wyjazdu do Szkocji. To był zupełny szok, gdy się spotkaliśmy. Wszystko ci opowiem.

– Nie wierzę – rzekł Wyatt. – Kompletnie mnie zastrześliłaś. Niedobrze mi.

– Wiem, że to spory wstrząs.

– Spory wstrząs? Mało powiedziane – warknął.

– Nie wiedziałam, jak było dla ciebie lepiej. Chciałam, żebyś był blisko z Peterem i myślałam...

– Nie, mamu, nie myślałaś! – Wyatt podniósł głos o oktawę. – Robiłaś wszystko, żeby zrobić ze mnie i z Petera rodzinę, bo tak było lepiej dla ciebie i pozwalało ci pozbyć się poczucia winy. I w końcu najzwyczajniej nie dałaś nam nawet szansy, żebyśmy byli blisko!

– Co ty opowiadasz? – Bea wpatrywała się w niego. – Zawsze chciałam dla ciebie jak najlepiej. Wszystko, co robiłam, robiłam dla ciebie! Peter zapewnił ci dobre życie, zapłacił za twoją szkołę...

– Tak. To prawda. To był dobry człowiek. Ale ty krążyłaś wokół nas niczym pies pasterski i na chwilę nie spuszczałaś nas z oka. Jakby to był jakiś eksperyment. Nie wiedziałem, jak udawać szczęśliwą rodzinę, bo bez końca analizowałaś każdy mój ruch. Trzeba było...

– Co? Co trzeba było? – Bea słyszała, że łamie jej się głos.

– Trzeba było pozwolić nam dotrzeć się samym. Nie musiałaś wiecznie naciskać, kontrolować, pouczać. Przez ciebie nigdy tak naprawdę się nie poznaliśmy, przez ciebie czułem się przy nim jak piąte koło u wozu. Byliśmy ciągle spięci, wszystko zawsze musiało przechodzić przez ciebie, bo baliśmy się, że nie spełnimy twoich oczekiwań. – Wyatt uniósł ciemne okulary i otarł sobie pot z oczu.

Bea z trudem łąpała oddech.

– Nie wiedziałam.

Wyatt przesypywał piasek między palcami.

– Nie mogę uwierzyć, że wiedziałaś, kim jest mój ojciec. Byłem pewien, że byś mi

powiedziała, gdybyś wiedziała. Zawsze miałem poczucie, że jestem jakiś niepełny. Z twoją rodziną nie miałem żadnego kontaktu, a druga strona była jedną wielką niewiadomą! A ty przez cały ten czas...

– Nie, Wyatt, to nie było tak.

– Nie? Jak to nie? Nie zrobiłaś nic, żeby mi pomóc sobie z tym poradzić, żebym przestał się czuć kompletnie niepotrzebny i nie rozmyślał w nieskończoność po nocach, kim jestem i skąd się wzięłem. A przez cały czas to wiedziałaś!

– A ty myślałaś, że co? Że twój ojciec był po prostu jednym z wielu? – Poczula, że drżą jej usta.

– Szczerze? Tak! Brałem to pod uwagę, podobnie jak setki innych możliwych scenariuszy, a każdy tak samo żalony.

– Jezu. Nic dziwnego, że masz do mnie tyle żalu.

– Kto to jest, mamó? – Wyatt zdjął okulary i spojrzał jej prosto w oczy. – Kim jest mój ojciec?

– Nazywa się John Brodie – wyszeptala Bea. – Jest lekarzem. Pochodzi z Edynburga i jesteś do niego podobny jak dwie krople wody. – W oczach wezbrały jej łzy i rozplakała się bezgłośnie ze spuszczoną głową, zawstydzona ocierając twarz.

Wyatt oparł dłonie na udach i oddychał głęboko jak lekkoatleta przed strzałem.

– Boże! Po prostu nie wierzę. Z Edynburga? A Flora go poznała?

Bea kiwnęła głową.

– Tak.

– Rany boskie! Flora się z nim spotkała?

– Tak. To wspaniały człowiek. Byliśmy zakochani. Zwyczajnie zakochani, tyle że on miał żonę i musiał do niej wracać. Jak wiesz, byłam wtedy młodziutka. Po prostu złamał mi serce – bełkotała Bea przez łzy. – A ja jemu. Nic o tobie nie wiedział, nigdy mu nie powiedziałam. Dopiero teraz, w czasie tej podróży, okazało się, że jednak wie. W ogóle nie miałam zamiaru się z nim spotykać, ale tak się złożyło. I wiesz, Wyatt, było tak, jakby czas stanął w miejscu. On jest dla mnie... – Pokręciła głową.

– A Peter o nim wiedział?

– Tak – potwierdziła skinieniem. – Peter wiedział o wszystkim. Nie mieliśmy przed sobą tajemnic. Pokochał mnie mimo wszystko i za to już zawsze będę mu niezmiernie wdzięczna.

– Cholera. – Wyatt potarł się po twarzy i szyi, jakby to miało pomóc mu zebrać myśli. – Nie wiem, co powiedzieć.

– Zawsze robiłam to, co wydawało mi się dla ciebie najlepsze, Wyatt. Mam nadzieję, że o tym wiesz?

– Wiem.

To wyznanie wyzwoliło u niej kolejną falę łez.

– Jest lekarzem?

– Tak.

– I nadal jest żonaty? – Pytania padały teraz jak pociski, jedno za drugim.

– Nie, jego żona nie żyje od dziesięciu lat.

– Ma dzieci?

Bea się zawahała.

– Tak. Masz przyrodnią siostrę i brata. Moira i Xander. Bliźnięta, są o kilka lat starsi od ciebie.

– Jasny gwint! – Wyatt odchylił się do tyłu z rękami splecionymi za głową. – I oni o mnie wiedzą? – Podniósł na nią rozszerzone oczy, jak mały chłopiec, którego ubóstwiała.

– Tak. John im powiedział. Xander wiedział od jakiegoś czasu, a Moira dowiedziała się dopiero niedawno. Okazuje się, że John przyjechał do Australii jakieś dziewięć lat temu. Odnalazł mnie i z daleka obserwował mnie, Petera i ciebie z małą Florą.

– Jezus Maria, to jakaś tragikomedial! – To było dla Wyatta za dużo. – Czemu ze mną nie porozmawiał? Przejechał taki szmat drogi i nawet się nie przedstawił?

– Z tego samego powodu, dla którego ja nie próbowałam go szukać. Nie chciał narobić zamieszania, poza tym nie był pewien, ile w ogóle wiesz.

– Okazuje się, że bardzo niewiele – odparował, znów przechylając się naprzód, jakby dostał w brzuch.

– Prosił, żeby ci to przekazać. – Bea sięgnęła do plecaka i wyjęła papierową paczkę z firmowym nadrukiem Topping.

Wyatt ostrożnie wziął od niej prezent i wyjął cienką książkę.

– *Wiersze zebrane Rudyarda Kiplinga* – przeczytał na głos i spojrzał na nią zdezorientowany. – Kipling był jednym z ulubionych pisarzy Petera...

– Tak – potwierdziła Bea. – I tak się składa, że Johna również. To dlatego znam tyle jego wierszy na pamięć.

Wyatt przesunął ostrożnie palcami po okładce, jakby to był najcenniejszy skarb. Delikatnie otworzył książkę i na pierwszej stronie trafił na wsuniętą pod okładkę pocztówkę z fotografią zburzonej katedry w St Andrews.

– Skończył studia w St Andrews – powiedziała Bea, szczęśliwa, że może wreszcie zacząć uzupełniać brakujące fragmenty układanki.

Wyatt odwrócił kartkę i po raz pierwszy zobaczył pająkowate pismo swego ojca skreślone niebieskim tuszem. Odkasznął i przeczytał na głos, nie zważając na wesołe krzyki surferów i pływaków dokazujących w bożonarodzeniowym słońcu.

– „Jeżeli czekać zdołasz, nie czując zmęczenia.../ I przegrasz, i zaczniesz wieść żywot nowy.../ Twoja jest ziemia i wszystkie jej stworzenia/ I – mój synu – będziesz prawdziwym człowiekiem! Najserdeczniejsze życzenia, John Wyatt Brodie”. – Wyatt pociągnął nosem i podsunął sobie okulary do góry. – Mam imię po nim?

– Tak.

Siedzieli obok siebie, spoglądając w morze i próbując dojść do ładu z burzą w swoich sercach.

– I co teraz robimy? – zapytał Wyatt nieco zagubiony.

Bea podniosła się, otrzepała pupę z piasku, wygładziła tunikę i wypięła pierś. Wyatt zrobił to samo, ściskając w rękach świąteczny prezent od ojca.

– Robimy to, czego nauczył nas Peter – powiedziała przez łyżę. – Nie zapominamy, że życie jest wyłącznie dla odważnych i bierzemy z niego, co się da. Mamy tylko tę jedną jedyną szansę do wykorzystania!

Wyatt przytulił ją i obejmował za ramiona przez całą drogę powrotną.

– Jak tam spacerki? – zapytała Sarah, podając Bei kieliszek białego, schłodzonego wina, gdy tylko wstąpiła na werandę.

– Świetnie. A właśnie, Sarah, mam dla ciebie gwiazdkowy upominek.

Sarah przeniosła spojrzenie z teściowej na męża.

– Ale przecież dałaś mi już talony do spa. Tak się cieszę, czeka mnie fantastyczny dzień.

– Mogę iść z tobą, mamo – zaproponowała Flora łaskawie. – Włożę moje uggi!

– Nie zapomnij też zatyczek do uszu – mrugnęła do niej Bea, po czym wstała i jedna po drugiej zsunęła z nadgarstka wszystkie bransoletki. Uważnie sprawdziła wygrawerowane dedykacje, odłożyła kilka na kupkę, a resztę wsunęła sobie z powrotem na rękę. Sięgnęła po

pierwszą z tych leżących na stole. – „Na pamiątkę dwudziestych pierwszych urodzin Wyatt! Kolejny krok milowy!” – przeczytała napis, po czym podała ją Sarah. Podniosła następną: – „Twój chłopak się żeni! Niech rozzwonią się dzwony!”. – Kontynuowała tak, aż Sarah znalazła się w posiadaniu sześciu srebrnych bransoletek, z których każda uwieczniała jakieś ważne wydarzenie z życia jej męża.

– Powinny być twoje, Sarah.

– Ale... Dlaczego? Jak to? – Sarah położyła sobie rękę na piersi. – Przecież uwielbiasz te bransoletki, one są częścią ciebie!

– To prawda, że je uwielbiam, ale jesteś przecież moją córką i to jest już nasza wspólna historia. Te powinny należeć do ciebie. Byłoby mi bardzo miło, gdybyś zechciała je nosić. – Bea podała garść bransoletek oszołomionej Sarah.

– Nie wiem, co powiedzieć! – Sarah zarumieniła się, a w oczach błysnęły jej łzy. – Jestem naprawdę wzruszona. – Spojrzała na męża uszczęśliwionym wzrokiem. – Patrz, Wyatt! Twoja mama dała mi kilka swoich bransoletek! – Wyciągnęła ramię i potrząsnęła z brzękiem.

– Widzę – odparł z uśmiechem.

8 W mitologii greckiej i rzymskiej pół ludzie, pół ryby (przyp. red.).

Epilog

Bea otworzyła jedno oko, uśmiechnęła się i wyslizgnęła z łóżka. Było Boże Narodzenie i po raz pierwszy od wielu lat ta świadomość nie napawała jej lękiem. Wręcz odwrotnie. Czowała dreszcz podniecenia i radosne wibrowanie w żołądku. Zgarnęła z krawędzi łóżka swoje jedwabne kimono i na bosaka przemknęła przez korytarz do kuchni.

W ciszy słychać było jedynie świergot ptaków za oknem i skrzypienie drewnianych desek pod jej stopami. Zarzuciła szlafrok na ramiona, przeciągnęła się i związała włosy w koński ogon.

– Och, mus czekoladowy! – wymruczała sama do siebie przy napełnianiu czajnika wodą, żeby nie zapomnieć wyjąć masy lodowej z zamrażalnika.

Serce podskakiwało jej z radości. Skręciła głowę w lewo i w prawo, aż chrupnęły jej kręgi, i uśmiechnęła się. Wkrótce przypadają jej pięćdziesiąte piąte urodziny. *Mój Boże, kiedy to zleciało?* Jedno, czego się w tym czasie nauczyła, to że życie jest o wiele piękniejsze, jeżeli nie chowa się w sercu żalu i urazy. Ostatni rok był dla niej przełomowy. Dużo rozmyślała o swoich rodzicach. Próbowwała postawić się w ich sytuacji i wyobrazić sobie, z jakim bólem i rozczarowaniem musieli przyjąć fakt, że życie ich córki potoczyło się inaczej, niż planowali. Nie oznacza to, że im wybaczyła – o, co to, to nie – ale starała się ich przynajmniej zrozumieć. Pewnie oboje już od dawna nie żyli i mogła wreszcie wyrzucić z serca długo noszoną urazę. Udało jej się w końcu przełknąć twardą bryłę zaskorupiałych pretensji, która od tak dawna dławiła ją w gardle, i nawet nie przypuszczała, o ile lżejsze i bardziej radosne stanie się przez to jej życie. Czowała, że wyzdrowiała.

Uśmiechnęła się na wspomnienie zeszłorocznej Gwiazdki. Przypomniała jej się wyprawa do Szkocji i znamienny spacer z synem w Boże Narodzenie. To, co się wtedy stało, całkiem odmieniło jej życie. Wzięła głęboki oddech i pstryknęła przełącznik na ścianie. Na skromnej choince w kącie zamigotały światełka. Ujęła w palce jedną z prześlicznych kokard w złoto-czerwoną kratę przyczepionych do każdej gałązki. Wyglądały zjawiskowo.

– Co ty tu robisz o tak niehumanitarnej porze?

Odwróciła się, słysząc głos za plecami i jak zwykle aż się zachłysnęła z zachwytu i niedowierzania na widok ukochanego mężczyzny, który przeniósł się na drugi koniec świata, żeby z nią być i więcej jej nie porzuci. Już nie.

– Tak sobie rozmyślam, jaka jestem szczęśliwa...

– Jacy jesteście szczęśliwi.

– Tak. – Rozjaśniła się. – Jacy jesteście szczęśliwi.

John podszedł bliżej i przyciągnął ją do siebie, przyciskając sobie jej głowę do piersi. – Mam w sobie taki spokój.

Pokiwała głową z nosem w jego bluzie.

– Ja też. Chociaż nie powinnam. Mam przecież jeszcze z milion rzeczy do zrobienia!

– Wszyscy ci pomożemy. Mam obudzić Florę?

– Nie! Bóg jeden wie, o której wczoraj wrócili z Callumem. Niech sobie jeszcze pośpią.

– Sprowadza go na złą drogę! W kółko przypomina, że niedługo skończy piętnaście lat i strach pomyśleć, co to dla nas oznacza! Biedny Callum, mało mu oczy nie wyskoczą z orbit. Nie jest przyzwyczajony do tak intensywnego życia, jakie prowadzi jego kuzyneczka. Boję się, że niewiele z niego zostanie po tym miesiącu tutaj. Nieborak będzie się modlił, żeby czym prędzej wracać już do Szkocji. – John zachichotał.

– Mówisz? A ja sądzę, że on sam wie doskonale, na jaką drogę schodzi, gwarantuję ci!

– O, ukochana babcia – uśmiechnął się John.

– Staram się. W każdym razie Kim i Tait wszystkim się już zajęli. W ogóle chyba przypisuję sobie zbyt wielką rolę, tak naprawdę wszystko jest praktycznie gotowe.

– O, to świetnie. Wobec tego możesz zabrać tę herbatę z powrotem do łóżka i przejrzymy sobie wiadomości. Poza tym utknąłem na jednym hasle w krzyżówce w lokalnej gazecie. – Wziął jej dłoń, która idealnie wpasowała się w jego i poprowadził Beę w stronę sypialni.

– Jakie to hasło? – zapytała.

– „Kopia barokowego posągu z brązu przed szpitalem w Sydney, która przynosi szczęście”. Dziesięć liter, ostatnia „o”.

– To nasz słynny dzik, Porcellino – powiedziała Bea, uśmiechając się do zdjęcia Petera na ścianie. Peter też się uśmiechnął.

Późnym rankiem Bea otworzyła drzwi do Kuchni Reservoir Street, która na jeden dzień w roku przeistoczyła się w Świąteczną Kawiarenkę, o czym informowała wisząca na ścianie tablica autorstwa Flory i Calluma. Sala wyglądała fantastycznie. Tait przeszedł samego siebie, rozpinając sznury lampek pod sufitem, a pośrodku pyszniła się wspaniała choinka udekorowana kraciastymi kokardami. Stoły zostały połączone w ciąg, tworząc literę U, a białe, lniane obrusy zdobiły stroiki ze świec, gałązek sosnowych, szyszek, pomalowanych na złoto orzechów i cukierkowych lasek. Przed każdym krzesłem czekał komplet starych, porcelanowych talerzy i wizytówka z nazwiskiem.

Bea jeszcze raz sprawdziła usadzenie gości. Pan Giraldi siedział rzecz jasna ze swoją rodziną: synem Giovannim, jego żoną i synami, Claudią i Roberto, i dwójką ich dzieci oraz Bertą, która przyjechała aż z Melbourne. Tait z rodzicami miał miejsce pośrodku, z Kim po lewej ręce. Siostra Bei, Diane, jej mąż i córka Lou mieli usiąść zaraz obok Wyatta, Sarah i Flory. Nic tak nie cieszyło Bei jak fakt, że Diane znowu pojawiła się w jej życiu. To miały być ich pierwsze wspólne święta od blisko czterdziestu lat. Bea wzięła do ręki karteczkę z imieniem Marcusa. Wspaniały, wspaniały chłopak z rewelacyjnym świadectwem i świetlaną przyszłością, który, chociaż rok temu nadział się na dobrze wymierzony prawy sierpowy, przebaczył Małemu Kliczce i był teraz po uszy zakochany, posławszy w diabły jędzowatą Lori i jej duży biust. Naprzeciwko Flory siedział Alexander, a ona sama i John mieli koło siebie Moirę z mężem, a dalej Calluma.

Do sali wparował Tait.

– Wesołych świąt, Bea! – Pomachał jej, zaczepiając torbę na wieszaku przy drzwiach. – Nieźle wygląda, co? – Oparł ręce na biodrach i zaczął liczyć. – To ile nas w końcu będzie na obiedzie?

– Dwadzieścia siedem osób. – Bea się uśmiechnęła.

– Sprawdzę tylko, czy Kim i Mario czegoś nie potrzebują.

Bea podążyła za nim do kuchni, w której cała powierzchnia blatu zastawiona była czareczkami wypełnionymi sosem, paterami owoców morza, misami sałatek, brytfankami pieczonych mięs pod folią aluminiową i ekspozycją wspaniałych ciast i deserów, od widoku których aż ciekła ślinka.

– Siema! Wesołych świąt! Trzeba wam w czymś pomóc? – zapytał Tait, związując sobie długie, jasne włosy w węzeł na czubku głowy.

– No pewnie! Chodź tu i zacznij zawijać te kielbaski w plastry boczku, a potem ubijesz mi śmietanę na pudding – zarządziła Kim i dmuchnięciem odgarnęła sobie grzywkę z oczu, jednocześnie dziobiąc szpikulcem pierś indyka, żeby sprawdzić, czy doszedł. Bea się roześmiała.

– Coś jeszcze, pani kierowniczo? – zażartował Tait.

Kim podniosła głowę.

– Nie, na razie to wszystko, ale jak coś wymyślę, to dam ci znać.

– To tylko ja! – zawołał Alex od drzwi. Wszedł do kuchni w obciętych na krótko dżinsach i podkoszulce, które podkreślały jego piękną, złotą opaleniznę. – Wiem, że miało nie być prezentów, ale dla mojej najlepszej e-przyjaciółki... – Mrugnął i wręczył Bei prostokątną paczkę.

– Och, Alex! Nie trzeba było! – Bea rozerwała czerwony, śliski papier i jej oczom ukazał się blok ozdobnych karteczek do zapisywania. – Dziękuję ci, kochany. O tym właśnie marzyłam.

– Podobało mi się wysyłanie do ciebie listów. Może dzięki temu będziesz częściej do mnie pisać!

– Obiecuję, mój drogi. – Uśmiechnęła się.

– Poza tym chciałbym się czasem dowiedzieć, co słyhać u staruszka.

– Oczywiście, Alex. Bardzo za wami tęskni, wiesz? Tak się cieszę, że jesteś. Musisz nas częściej odwiedzać!

– A po co? Ledwo się tu trochę zadomowiłem, a ci już lecą za mną! Nie sposób się uwolnić – rzucił wesoło John, wchodząc do kuchni.

– Jestem ci potrzebny, bo robię najlepsze ciasto świąteczne na południe od Dundee! – odparował Alex i mrugnął figlarnie.

– O, w to nie wątpię – śmiał się John. – Mógłby mi ktoś z tym pomóc? – zapytał, podnosząc w górę pęk chińskich lampionów, które chciał rozwiesić pod sufitem.

– O, ale będzie pięknie! – Bea się zachwyciła.

Bea toczyła wzrokiem po roześmianych twarzach bliskich zgromadzonych wokół stołu, gdy John wniósł wielgachnego, złocistego indyka wśród chóralnych okrzyków podziwu. Postawił go na stole i zasadził się z długim nożem wzniesionym do góry. Wino lało się strumieniami, a przy stole rozbrzmiewał radosny gwar i śmiechy.

– Chyba wypadaloby wnieść mały toast – oświadczył tubalnie John i podniósł kieliszek. – To jest dla nas bardzo wyjątkowa uroczystość. O tej samej porze rok temu nikt by nie pomyślał, że akurat tego dnia spotkamy się wszyscy razem jak jedna wielka rodzina.

Pan Girdali wypiął pierś uszczęśliwiony, z dumą spoglądając na swoje pociechy. Bez wątpienia myślał o swojej najukochańszej Angelice.

Bea uśmiechnęła się do Diane, a ta w odpowiedzi mrugnęła radośnie do siostry, której nie spodziewała się już nigdy spotkać.

– Nie martw się, Di, mamy mnóstwo błyskawicznego puddingu Birda na deser! – Roześmiała się.

– Bananowego? – Upewniła się Di.

– A jak! – potwierdziła Bea.

Sarah objęła Florę za ramiona, z przyjemnością słuchając brzęku srebrnych bransoletek na swoim przegubie. Była niezwykle dumna z córki i bardzo zadowolona z jej wyboru chłopaka. Bea puściła do synowej oko i wymownym gestem dotknęła sobie pięknego szalika na szyi, który dostała od niej w prezencie. Musiała przyznać, że Sarah ma doskonały gust. Moira i Alex śmiali się do Bei, kobiety, dzięki której pierwszy raz widzieli ojca tak szczęśliwego i która dała mu wszystko, na co zasługiwał w jesieni życia.

John odkasznął i mówił dalej.

– Chciałbym wnieść toast za nas wszystkich tutaj. Za pierwsze, ale na pewno nie ostatnie święta w Świątecznej Kawiarence, gdzie panuje miłość i życzliwość, a nasze serca i drzwi stoją dla wszystkich otworem. – Podniósł kieliszek wyżej. – Wesołych świąt!

Zewsząd odezwały się pohukiwania i gromkie okrzyki „Na zdrowie!”, „Wesołych świąt!” i „Niech żyje Świąteczna Kawiarenka!”.

– Na koniec – ciągnął John wolno i z powagą – chciałbym oddać głos pani E.H. Arbuckle, która ujęła to lepiej, niż kiedykolwiek bym zdołał. – Odwrócił się do ściany, na której pośród

fotografii zdobiących kawiarnię wisiała znajoma makatka i przeczytał głośno wyhaftowany napis: – „Miej odwagę iść naprzód, miej odwagę odejść, miej odwagę powrócić, bo tylko odważni znajdują najprawdziwsze szczęście”.

– Tak jest! – rozległo się z różnych stron stołu.

Nikt z obecnych nigdy nie zapomniał tego przyjęcia. Stoły ugiwały się pod ciężarem tradycyjnych, świątecznych potraw, smakowitych australijskich owoców morza i wybornego włoskiego puddingu. Każdy jednak pilnował, żeby zostawić sobie miejsce na legendarny mus czekoladowy Sarah. Alex sypał anegdotami, wzbudzając salwy śmiechu niosące się pod sam dach. Miłość i śmiech królowały w tej wyjątkowej rodzinie.

Bea przyglądała się swojemu mężczyźnie, który w najlepsze dyskutował z Diane, zaśmiewając się pewnie z opowieści z czasów Byron Bay, jak to wsiadali na strzelisty jacht, nie mając pojęcia, jak bardzo ten krótki rejs do Przylądka Byrona odmieni im wszystkim życie.

Nagle rozległo się pukanie do drzwi.

– Nieczynne! – zakrzyknęli goście chórem, nie pierwszy raz tego dnia, i wybuchnęli śmiechem.

– Czekajcie no, to może być do mnie! – John pospieszył do drzwi. Chwilę potem wetknął głowę do środka.

– Sprzątnijcie ze stołów! Szybko! Trzeba przesunąć je na bok!

Wszyscy się podnieśli i posłusznie zaczęli robić miejsce. Bea stanęła pod ścianą, niepewna, co się dzieje i, prawdę powiedziawszy, silnie zdenerwowana.

W kilka minut potem John pojawił się znowu w towarzystwie czterech mężczyzn w irlandzkich strojach, z których jeden taszczył harmonię, inny skrzypce, trzeci piszczałki i fujarkę, a ostatni – *bodhrán*.

Bea złapała się za usta, próbując uciszyć serce i opanować łzy.

Muzycy ustawili się w kątce i zaczęli grać. Melodia była tak porywająca, że nie minęło nawet kilka minut, gdy parkiet zapełnił się tańczącymi. Flora podskoczyła, złapała ojca za rękę i zaczęła kręcić z nim piruety wraz z nasilającym się rytmicznym dudnieniem bębna. W przelocie krzyknęła do Bei nad ramieniem:

– No, *to* jest dopiero impreza!

Bea promieniała. O tak, to była impreza. Wyatt zrzucił swój sztywniacki pancerz i tupął energicznie w betonową podłogę, cały roześmiany. Bea nigdy nie widziała go tak odprężonego. Marcus szarmancko skłonił się przed Sarah.

Kim podbiegła do Taita i wzięła go pod ramię.

– Już wiem.

– Co? – zaciekawiał się Tait.

Kim uśmiechnęła się.

– Mówiłam ci, że dam ci znać, jak jeszcze coś wymyślę i wymyśliłam.

– Co, brakuje czegoś? – zapytał Tait, spodziewając się, że pośle go do kuchni.

– Masz ze mną zatańczyć. – Położyła mu drugą rękę na biodrze.

– Poważnie? Chcesz ze mną tańczyć? Dla mnie bomba! – Rozjaśnił się.

– Rety, Tait, przecież ona cię kocha od zawsze. Nie tak, Kim? – Nie mógł powstrzymać się Alex.

– No, można by tak to ująć. – Kim podniosła oczy na swojego surfera i kiwnęła głową.

Tait przyciągnął ją blisko do siebie.

– Chyba żartujesz! Taka dziewczyna jak ty?

– To samo powiedziałam! – zawołała Flora, mijając ich w tańcu. – Tylko mi tu bez pogruchiwania!

– Eh! – zaśmiała się Kim, ale zaraz zamilkła, bo Tait zamknął jej usta słodkim pocałunkiem.

– Jesteś niesamowita! – wyszeptał jej do ucha, z trudem łapiąc powietrze.

– I zabawna. Jestem naprawdę zabawna! – roześmiała się Kim, a roztańczony tłum porwał ich ze sobą.

Pan Giraldi postukiwał laską w rytm muzyki, siedząc w centrum koła, które utworzyły wokół niego płaszące wnuczeta. Podniósł oczy do góry, jakby chciał się upewnić, że Angelica także cieszy się razem z nimi.

John wyciągnął rękę, a dłoń Bei wślizgnęła się w nią naturalnie.

– Pamiętasz, jak sądzę? – zapytał z kosmykiem włosów opadającym na oczy.

Bea skinęła głową.

– Tylko jej, John, nie przeforsuj, nie jest już taka młoda jak kiedyś! – rzucił mu Wyatt do ucha, przekrzykując muzykę, i oparł się ojcu na ramieniu.

– Dla mnie jest, synu. – Uśmiechnął się John.

– Polubiłbyś Petera. – Wyatt poczuł się w obowiązku wspomnieć o człowieku, który troszczył się o niego w dzieciństwie.

John odwrócił się w jego stronę i popatrzył mu w oczy.

– Polubił? Ja kocham tego faceta! Zaopiekował się dwiema osobami, które kocham najbardziej na świecie. Jestem jego dłużnikiem na wieki.

Wyatt zarzucił mu ręce na szyję i przygarnął do siebie. Stojący najbliżej zaczęli bić brawo. Bea już nic nie widziała przez zasłonę łez.

John wyciągnął ją na środek sali i zaczęli tańczyć, a z każdym krokiem gubili kolejny rok, aż w końcu została para młodych, zauroczonych sobą ludzi z całym życiem przed sobą. Bea spojrzała w twarz ukochanego mężczyzny, a jego słowa rozbrzmiały jej w uszach jak najpiękniejsza muzyka. „Chyba na całej planecie nie ma drugiego miejsca, gdzie wolałbym teraz być”.

Przytulił ją mocno w tańcu i wyszeptał do ucha:

– Czekałem na ciebie, kochanie, nie czując zmęczenia. Wesółych świąt, Beatrice.

Zamknęła oczy i położyła mu rękę na piersi, wyczuwając bicie jego serca pod palcami.

– Wesółych świąt, mój Johnie.